

Roger Zelazny

*STWORY ŚWIATŁA I
CIEMNOŚCI*

(PRZEŁOŻYŁA: ANNA KRAŚKO)

W DOMU ŚMIERCI - PRELUDIUM

Człowiek. Idzie. To jego Tysiącletnia Noc w Domu Śmierci. Gdybyś mógł rozejrzeć się wewnątrz olbrzymiej komnaty, którą przemierza, nie dostrzegłbyś absolutnie nic. Jest zbyt ciemno, żeby oczy się na coś przydały.

Na ten mroczny czas nazwiemy go po prostu „człowiekiem”.

Są dwa powody, aby tak zrobić:

po pierwsze - odpowiada on ogólnie przyjętemu opisowi nie zmodyfikowanego wzorca istoty ludzkiej płci męskiej. Chodzi prosto, ma przeciwstawne kciuki i inne typowe cechy swego gatunku;

- po drugie - pozbawiono go imienia.

W tym miejscu nie ma powodu, żeby wdawać się w dalsze szczegóły.

W prawej ręce dzierży berło swego Pana i Władcy. Berło prowadzi go w ciemności. Ciągnie go to tu, to tam i jeżeli idący zboczy choćby o krok z wytyczonej trasy, parzy mu dłoń, palce i kciuk. Człowiek dociera do określonego punktu ciemności, wspina się po siedmiu stopniach na kamienne podium i po trzykroć uderza w nie berłem.

Wtedy pojawia się światło. Jest mdłe, pomarańczowe i wtłoczone w zaułki. Wydobywa z mroku zarysy olbrzymiej, pustej komnaty.

Człowiek odwraca berło do góry nogami i wkręca je w wydrążony kamień.

Gdyby ściany komnaty użyczyły ci swych uszu, posłyszałbyś wtenczas szelest, jakby to zbliżając się, to oddalając, jakieś skrzydlate owady krążyły dookoła.

Szelest ów jednak słyszy tylko ten jeden jedyny człowiek. Oprócz niego w komnacie znajduje się ponad dwa tysiące innych ludzi, ale wszyscy są martwi.

Wyłaniają się teraz z przezroczystych prostokątów, które rozwarły się nagle w posadzce, wyłaniają się z nieruchomymi powiekami, nie oddychają, by spocząć zaraz na niewidzialnych katafalkach zawieszeni metr nad podłogą, w różnokolorowych strojach i o skórach różnych kolorów oblekających różne wiekiem ciała. Teraz już widać, że niektórzy z nich mają skrzydła, inni ogony i rogi, a jeszcze inni długie szpony. Niektórzy wyposażeni są w to wszystko naraz, innym wbudowano w ciało fragmenty jakichś mechanizmów, a jeszcze innych pozostawiono takimi, jakimi byli za życia. Wielu wygląda jak człowiek z berłem Pana.

A jest on ubrany w żółte spodnie i w żółtą koszulę bez rękawów. Nosi czarny płaszcz i czarny

pas. Stoi obok jaśniejącego berła Pana i Władcy i spogląda na zmarłych u swych stóp.

- Powstańcie! - woła. - Powstańcie wszyscy!

Jego słowa mieszają się z pomrukiem huczącym teraz w powietrzu, są wciąż na nowo powtarzane, ale nie tak, jak powtarza je słabnące echo. Brzmia uporczywie i powracają, wibrując z siłą alarmowego bucza.

Powietrze nasącza się i rozbełtuje dźwiękami. Słysząc jęk, skrzywienie łamliwych kończyn, poruszenie. Szeleszcząc, klekocząc i ocierając się skóra o skórę, siadają, wstają.

Nagle wszelki ruch zamiera Hałas cichnie. Zmarli stoją obok otwartych grobów jak nie zapalone świece.

Człowiek schodzi z kamiennego podium, zatrzymuje się na chwilę i rzecze:

- Pójdźcie za mną!

Rusza z powrotem drogą, którą tu przybył, zostawiając na miejscu berło swego Pana i Władcy, gorejące w szarej poświacie.

Idzie i podchodzi do jakiejś wysokiej i złotowłosej kobiety - samobójczyni. Wpatruje się w jej niewidzące oczy i pyta:

- Czy znasz mnie?

I mimo że trupiopomarańczowe, suche jak wiór wargi rozchylają się, szepecząc: „Nie”, on nadal wpatruje się w kobietę i pyta:

- Czy znałaś mnie przedtem?

Powietrze drga tym zapytaniem, aż kobieta powtarza „Nie” raz jeszcze, a wtedy on idzie dalej.

Zapytuje dwóch innych: sędziwego staruszka z zegarkiem wmontowanym w lewą rękę i czarnoskórego karła z rogami, kopytami i ogonem kozła. Obaj jednak zaprzeczają i ruszają za nim krok w krok, wychodzą z olbrzymiej komnaty, przechodzą do drugiej, gdzie pod kamieniem grobów leżą rzesze innych. Ale ci nie będą wezwani na obchody Tysiącletniej Nocy służby człowieka w Domu Śmierci.

Prowadzi ich, wiedzie zmarłych, których przywołał i którym nadał zdolność ruchu. Oni idą za nim. Idą za nim przez korytarze, galerie i sale, wspinają się po schodach stromych, szerokich, idą w dół po stopniach wąskich i krętych, aż docierają w końcu do Sali Tronowej Domu Śmierci, gdzie Pan i Władca sprawuje urząd.

Siedzi teraz na czarnym tronie z gładkiego kamienia, a po lewej i po prawej ręce ma metalowe czary z płonącym ogniem. Na każdej z dwustu kolumn Sali jarzy się pochodnia. Jarzy się,

skwierczy, migocze, dym z buchających iskier zawija się i pełźnie w górę, staje się szarą, kłębiącą się chmurą, która szczelnie okrywa cały sufit.

Siedzi nieruchomo i tylko spogląda na człowieka jak idzie przez Salę, prowadząc za sobą pięć tysięcy zmarłych. Gdy człowiek zbliża się do tronu, oczy Pana rzucają czerwony blask na jego postać.

Człowiek pada na twarz i nie drgnie, póki Pan nie zwróci się do niego:

- A teraz mnie powitaj i wstań. - Każde słowo jest jak ostre, gardłowe pchnięcie noża rozdzielone głośnym wydechem powietrza.

- Bądź pozdrowiony, Anubisie, Panie i Władco Domu Śmierci - mówi człowiek i podnosi się z ziemi.

Anubis opuszcza nieco swój czarny pysk i obnaża białe kły. Wyrzuca żądlasty jęzor, po czym cofa go do środka jak czerwoną błyskawicę. Później wstaje, a długi cień przesuwają się po jego nagim, ludzkim ciele. Unosi lewą rękę i pomruk wpełza do Sali, niosąc jego słowa pośród migotliwego światła i dymu.

- Słuchajcie, wy, którzy jesteście martwi! - rozpoczyna. - Dzisiaj zabawicie się, żeby mnie rozbawić! Wasze trupy usta skosztują jedzenia i wina, chociaż nie poczują smaku! Wasze zeschnięte żołądki wypełnią się jedzeniem i napojami!

Wasze skórzaste nogi pójdą w tany! Wargi wasze ułożą słowa, których znaczenia nie pojmiecie, a ręce obejmować będą ciała innych uściskami bez rozkoszy! I jeżeli sobie tego zażyczę, zaśpiewacie mi i legniecie na powrót, jeśli taka będzie moja wola! - Unosi prawą rękę. - Niech rozpocznie się uczta! - mówi i klaszcze w dłoń.

Obładowane żywnością i napojami stoły wysuwają się spomiędzy kolumn i Salę wypełnia muzyka. Zmarli, posłuszni Władcy, ruszają do tańca.

- Możesz się do nich przyłączyć - powiada Anubis i siada na tronie.

Człowiek podchodzi do najbliższego stołu, wypija kielich wina, zjada niewiele. Trupy tańczą wokół niego, lecz on nie tańczy. Trupy artykułują dźwięki, które są nic nie znaczącymi słowami, ale on słów tych nie słucha. Nalewa sobie drugi kielich wina i pije, a Anubis patrzy na niego. Nalewa sobie trzeci kielich. Trzyma go w dłoniach i teraz sączy trunek, wpatrując się w szkło.

Nie potrafi określić, ile minęło czasu, nim odezwał się Pan.

- Sługo!

Człowiek wstaje i zwraca się ku Władcy.

- Zbliź się! -rozkazuje Anubis i człowiek się zbliża. -Wstań! Czy wiesz, jaką to dziś mamy noc?

- Tak, Panie. To Noc Tysiącletnia.

- Twoja Tysiącletnia Noc, sługo. Obchodzimy dzisiaj rocznicę. Służyłeś całe tysiąc lat w Domu Śmierci. Czy jesteś z tego zadowolony?

- Tak, Panie.

- Czy przypominasz sobie moją obietnicę?

- Tak. Obiecałeś mi, Panie, że zwrócisz mi imię, jeżeli będę ci wiernie służył przez tysiąc lat. Obiecałeś, że powiesz mi, kim byłem tam, w Wewnętrznych Światach Życia.

- Wybacz, ale tego ci nie obiecywałem.

- Nie...

- Przyszedłem, że dam ci jakieś imię, a to zupełnie inna sprawa.

- Myślałem, że...

- Nie obchodzi mnie, co sobie myślałeś, sługo. Pragniesz dostać imię?

- Tak, Panie.

- Ale wolałbyś swoje stare imię, prawda? To chcesz powiedzieć?

- Tak.

- Czy rzeczywiście sądzisz, że ktoś będzie pamiętał twoje imię po dziesięciu stuleciach? Czy myślisz, że w Światach Wewnętrznych byłeś człowiekiem na tyle ważnym, by ktoś upamiętnił twe imię? Że dziś jeszcze coś ono znaczy?

- Nie wiem.

- Ale chcesz je z powrotem, czy tak?

- Tak, jeśli będzie mi wolno. Panie.

- Ale dlaczego? Dlaczego chcesz je z powrotem?

- Ponieważ nie pamiętam niczego ani nikogo ze Światów Życia. Chciałbym wiedzieć, kim byłem, gdy tam przebywałem.

- Dlaczego? Po co?

- Nie umiem ci odpowiedzieć, bo sam nie wiem.

- Wiesz, że spośród wszystkich zmarłych tylko tobie przywróciłem pełną świadomość, abys mi służył. Czy sądzisz, że oznacza to, iż tkwi w tobie coś niezwykłego?

- Często zastanawiałem się, dlaczego postąpiłeś tak, jak postąpiłeś.

- Pozwól zatem, że uśmierzę twój niepokój, człowiecze. Jesteś nikim i byłeś nikim. Nikt cię nie pamięta. Twoje przedśmiertne imię nic nie znaczy. Człowiek spuszcza oczy.

- Czy wątpisz w moją prawdomówność?

- Nie, Panie.

- A dlaczego nie?

- Ponieważ ty nigdy nie kłamiesz.

- Udowodnię to. Odebrałem ci wspomnienia z życia tylko dlatego, że tutaj, wśród zmarłych, zadawałyby ci ból. Teraz z kolei zademonstruję ci twoją kompletną bezosobowość. W tej sali znajduje się ponad pięć tysięcy trupów. Są w różnym wieku i pochodzą z różnych światów.

Anubis wstaje, a jego głos dociera do każdego z obecnych.

- Posłuchajcie mnie, nędzne kreatury! Skierujcie oczy na tego oto człowieka! Stoi przed moim tronem! Obróć się do nich twarzą, sługo. Człowiek obraca się twarzą do zmarłych.

- Człowiecze, wiedz, że dzisiaj obleka cię inne ciało! Inne niż to, które służyło ci jeszcze ubiegłej nocy. Dzisiaj wyglądasz dokładnie tak samo, jak wyglądałeś tysiąc lat temu, gdy przekroczyłeś progi Domu Śmierci. Moi zmarli! Czy jest wśród was ktoś, kto spojrzawszy na tego człowieka powie, że go zna?

Złotowłosa samobójczyni wysuwa się do przodu.

- Ja go znam - mówi trupiopomarańczowymi wargami - gdyż mówił ze mną w mojej komnacie.

- O tym wiem - rzecze Anubis - ale powiedz, kim on jest?

- Jest tym, który mówił ze mną.

- To żadna odpowiedź! Idź kopulować z tamtym szkarłatnym jaszczurem! A ty, starcze?

- On mówił i ze mną.

- O tym wiem. Czy znasz jego imię?

- Nie, nie znam.

- Więc zatańcz na stole i oblej sobie głowę winem! A ty, czarnoskóry? Znasz go?

- Ze mną też mówił.

- Czy znasz jego imię?

- Nie pamiętałem jego imienia, gdy mnie pytał, ale...

- Więc niech cię ogień pochłonie! - woła Anubis, a wtenczas płomienie opadają z sufitu, wyskakują ze ścian i pożerają czarnoskórego, pozostawiając jedynie popiół, który zaraz umyka po podłodze, wirując i krążąc między stopami tancerzy i w końcu rozpada się w proch.

- Widzisz? - pyta Anubis. - Nikt nie zna twego starego imienia.
 - Tak - mówi na to człowiek - ale ten ostatni rzekłby może coś więcej, gdyby...
 - Bzdura! Nikt ciebie nie zna! Nikt cię nie potrzebuje prócz mnie! A to dlatego, że jesteś względnie biegły w sztuce balsamowania i czasami udaje ci się złożyć zgrabne epitafium.
 - Dzięki, Panie.
 - Na co przydałyby ci się tutaj imię i wspomnienia?
 - Myślę, że na nic.
 - A jednak wciąż chcesz mieć jakieś imię... Dobrze, dam ci imię. Dobądź sztyletu.
- Człowiek dobywa noża, który wisi u jego boku.
- A teraz odetnij sobie kciuk.
 - Który, Panie?
 - Może być lewy.
- Człowiek zagryza dolną wargę i zaciska powieki. Wbija ostrze w staw palca i na podłogę tryska krew. Płynie po klindze i ścieka cienkim strumyczkiem w dół. Człowiek osuwa się na kolana, ale tnie dalej, chociaż policzki ma mokre od łez, które spływając, mieszają się z krwią. Ciężko chwyta powietrze, a z piersi wyrywa mu się jęk.
- Uczyniłem jak chciałeś - mówi po chwili. - Proszę. - Rzuca na ziemię sztylet i podaje Anubisowi odcięty kciuk.
 - Precz z tym! Wrzuć to w ogień!
- Posługując się prawą ręką, człowiek wrzuca swój palec do metalowej czary z ogniem. Kciuk skwierczy, trzeszczy, puchnie i zajmuje się płomieniem.
- Teraz nadstaw dłoń i zbierz w nią krew. Człowiek wykonuje polecenie.
 - Wzniesź rękę i niechaj krew ścieka ci na głowę. Człowiek unosi rękę nad głowę i krew spływa mu na czoło.
 - Powtarzaj teraz za mną. Chrzczę siebie...
 - Chrzczę siebie...
 - ...imieniem Przebudzeniec z Domu Śmierci...
 - ...Przebudzeniec z Domu Śmierci...
 - ...W imię Anubisa...
 - ...W imię Anubisa...
 - ...Przebudzeniec...

- ...Przebudzeniec...

- ...Emisariusz Anubisa do Światów Wewnętrznych...

- ...Emisariusz Anubisa do Światów Wewnętrznych...

- ...i poza nie.

- ...i poza nie.

- Słuchajcie mnie, o wy, zmarli! Nadaję temu człowiekowi imię Przebudzeniec! Powtórzcie jego imię!

- Przebudzeniec! - wymawiają martwe wargi.

- Niechaj tak się stanie! Masz wreszcie imię, Przebudzeniec - rzecze Anubis. - Powinieneś zatem odczuć swe chrcziny, o ty, imieniem nazwany! Musisz czuć, że odchodzisz tym faktem odmieniony!

Anubis wznosi ręce ponad głowę, a następnie opuszcza je wzdłuż Boków.

- Tańczcie dalej! - rozkazuje zmarłym.

Słuchają go i podejmują taniec w takt muzyki.

Do Sali wjeżdża maszyna do cięcia ciała, a za nią sunie automatyczna protezarka. Przebudzeniec odwraca wzrok, lecz obie są już blisko i zatrzymują się tuż koło niego. Pierwsza maszyna wyrzuca ze swych wnętrzości chwytaki i przytrzymuje go.

- Ludzkie ręce są słabe - rzecze Anubis. - Zostaną ci odjęte.

Człowiek krzyczy przeraźliwie, kiedy dostrzega wirujące z szumem ostrza, i traci przytomność. Zmarli nie przestają tańczyć.

Kiedy przychodzi do siebie, widzi dwa srebrzyste ramiona gładko przytwierdzone do swoich boków. Ramiona są zimne i bez czucia. Zgina palce.

- A ludzkie nogi są zbyt wolne, zbyt podatne na zmęczenie. Niechaj odporny metal zastąpi te, które masz.

Kiedy Przebudzeniec po raz wtóry odzyskuje zmysły, stoi na srebrzystych podporach. Kiwa wielkim palcem u sztucznej nogi. Anubis wysuwa swój żądlasty jęzor.

- Włóż prawą dłoń w płomień i trzymaj ją w ogniu tak długo, aż rozgrzeje się do białości - rozkazuje.

Muzyka ogłusza Przebudzenieca, a płomień pieszczą jego rękę, aż staje się czerwona jak one. Zmarli toczą martwe rozmowy i piją wino, którego smaku nie czują. Ręka świeci rozpaloną bielą.

- Teraz chwyć swą męskość w prawą dłoń i wypal ją! - każe Władca. Przebudzeniec oblizuje

wargi.

- Panie... - zaczyna.

- Zrób to!

Człowiek wykonuje rozkaz i zapada w nieświadomość, nim udaje mu się skończyć dzieło.

Kiedy się budzi i patrzy w dół, widzi, że obleka go błyszczące srebro, że nie ma już płci i czuje, że jest teraz silny. Gdy dotyka czoła, słyszy odgłos, jaki wydaje metal pod powłoką z metalu.

- Jak się czujesz, Przebudzeńcze? - zapytuje Anubis.

- Nie wiem... - odpowiada, a głos ma obcy, chrapliwy.

Anubis kiwa głową, i wnet pokrywa maszyny do cięcia ciała staje się lustrem.

- Przyjrzyj się sobie.

Przebudzeniec widzi metalicznie lśniące jajo, które jest teraz jego głową, żółtawe soczewki, które są jego oczami i połyskujący cylinder torsu.

- Ludzie rozpoczynają i kończą życie na wiele sposobów - powiada Anubis. - Niektórzy są najpierw maszynami i krok po kroku zdobywają człowieczeństwo. Inni kończą jako maszyny, wolno tracąc swe człowieczeństwo za życia. To, co stracone, zawsze można odzyskać. To, co zdobyte, zawsze można stracić. Kim jesteś, Przebudzeńcze? Człowiekiem czy maszyną?

- Nie wiem...

- Więc pozwól, że pogłębię zamęt w twojej głowie jeszcze bardziej.

Anubis wykonuje gest. Ramiona i nogi Przebudzeńca rozluźniają się w stawach, odpadają. Metalowy tors uderza z hukiem o kamień posadzki, toczy się i zatrzymuje u stóp tronu.

- Teraz nie jesteś w stanie wykonać żadnego ruchu - mówi Anubis. Sięga nogą do maleńkiego przełącznika z tyłu głowy Przebudzeńca.

- A teraz zabrałem ci wszystkie zmysły prócz słuchu.

- To prawda - odpowiada Przebudzeniec.

- Podłączę cię do maszyny. Nie czujesz nic, ale twoja głowa jest już otwarta i za moment staniesz się częścią mechanizmu, który dogląda i utrzymuje cały mój świat. Zobacz, poznaj to wszystko!

- Widzę - pada odpowiedź, gdyż Przebudzeniec ma obecnie świadomość istnienia każdej komnaty, każdego korytarza, sali i izby tego wiecznie martwego, nigdy nie ożywionego świata, który nigdy nie był światem, światem stworzonym, poczętym w ogniu ze scalonego pyłu gwiazd, który od samego początku był światem wykutym, zespawanym, znitowanym, połatany,

odizolowanym i upiękaszonym nie morzami, lądami, powietrzem i życiem, lecz metalami, smarami, skałą i polami energetycznymi zawieszonymi w lodowatej otchłani, gdzie nigdy nie świeci słońce; pojmuję ogrom odległości, czuje napięcie metalu, wagę, rodzaj materiałów, odczuwa ciśnienia i poznaje tajne dane o liczbie zmarłych. Nie wie, że jego ciało jest biernym mechanizmem. On odbiera jedynie ruch fal układu konserwującego, które przenikają Dom Śmierci, on płynie z nimi i doświadcza bezbarwnych kolorów liczebnego postrzegania. Anubis odzywa się znowu.

- Znasz teraz każdy zakamarek Domu Śmierci Oglądałeś go wszystkimi utkwionymi weń oczami.

- Oglądałem...

- Zobacz teraz, co znajduje się poza nim.

Widzi gwiazdy i gwiazdki, gwiazdy i gwiazdeczki rozrzucone w bezbrzeżnej czerni. Sypią się kaskadami, zawijają się, zaginają, pędzą ku niemu, omiatają go, jarzą się kolorami, które są czyste jak źrenice aniołów, mijają go tuż tuż, mijają go hen, daleko, w wiecznej nieskończoności, którą zdaje się przemierzać. Nie ma poczucia czasu ani ruchu, rejestruje tylko ciągle zmiany pola. Przez chwilę szybuje obok niego wielkie, niebieskie słońce rozżarzone jak ofiarny stos krwiożerczego Molocha, a potem znów jest tylko czarna pustka i dalekie, migoczące plamki jasności, I w końcu dociera do świata - nieświata mieniącego się barwami cytryny, błękitu, zieleni, zieloności i zielonkowości. Świat ten otacza zielonkawoświatlista korona, po trzykroć większa od średnicy jego tarczy, otula go i zdaje się pulsować jakimś nie znanym, przyjemnym rytmem.

- Oto Dom Życia - słychać odległy głos Anubisa.

Przebudzeniec widzi ów świat, wie, że jest ciepły, promienny i żywy, czuje, jak jego samego ogarniają fale życia.

- Panem Domu Życia jest Ozyrys - objaśnia Anubis.

I Przebudzeniec widzi ogromną ptasią głowę osadzoną na ludzkich ramionach, jasne, żółte oczy, które są żywe, ach, jak bardzo żywe. A stwór ten stoi przed nim na bezkresnej równinie wiecznej zieloności przesłaniającej cały świat i w jednej ręce trzyma Berło, w drugiej ciąży mu Księga Życia. Cała postać zdaje się być źródłem promieniującego ciepła.

- Ramiona Domu Życia i Domu Śmierci obejmują wszystkie Światy Wewnętrzne - odzywa się głos Anubisa.

Nagle wrażenie opadania, wirowania i Przebudzeniec znów spogląda na gwiazdy, lecz tym razem

są to gwiazdy oddzielone od innych gwiazd, gwiazdy przytwierdzone więzami sił, które czasami widać, czasami nie widać, znowu je widać i znów nikną, słabną, odchodzą jak białe, wciąż zmienne, połyskliwe linie.

- Oto oglądasz Wewnętrzne Światy Życia - rzecze Anubis. I tuzin światów przetacza się przed nim jak dokładnie wymierzone, wypolerowane i upstrzone drobnymi kropeczkami kule drogiego marmuru.

- Leżą pośrodku - ciągnie Anubis. - Znajdują się pod wpływem pola, które otacza je zewsząd i łączy łukiem jedyne dwa naprawdę znaczące bieguny.

- Bieguny? - nie rozumie Przebudzeniec.

- Dom Życia i Dom Śmierci. Światy Wewnętrzne obiegają swe słońca, lecz wraz ze słońcami przemierzają ścieżki Życia i Śmierci.

- Nie pojmuję... - mówi Przebudzeniec.

- Oczywiście, że nie pojmujesz. Odpowiedz, co jest największym błogosławieństwem, a zarazem największym przekleństwem wszechświata?

- Nie wiem. Życie lub śmierć - wyjaśnia Anubis.

- Wciąż nie rozumiem - przyznaje Przebudzeniec. - Podałeś dwie odpowiedzi chociaż rzekłeś: „największym błogosławieństwem, a zarazem największym przekleństwem”. Chciałeś więc tylko jednego rozwiązania.

- Czyżby? - dziwi się Anubis. - Naprawdę? Czy to, że wypowiedziałem dwa słowa, bezwzględnie znaczy, iż nazwałem dwie różne i nie związane z sobą rzeczy? Czyż jedna rzecz nie może mieć kilku nazw? A na przykład ty? Kim jesteś?

- Nie wiem.

- Oho, to już załóżek mądrości! Równie dobrze możesz być maszyną, którą tymczasem zdecydowałem oblec w ludzkie ciało i której teraz przywróciłem oryginalne, metalowe kształty, jak też i człowiekiem, którego postanowiłem przeobrazić w maszynę.

- Więc jaką to czyni różnicę?

- Żadnej, absolutnie żadnej. Ty nie potrafisz tego odróżnić, nie pamiętasz... Powiedz, czy ty żyjesz?

- Tak.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Myślę, słyszę twój głos, mam wspomnienia, umiem mówić.

- A która z tych cech oznacza życie? Pamiętaj, że nie oddychasz, że twój system nerwowy jest plątaniną metalowych drutów, że wypaliłem ci serce. Nie zapominaj też, że dysponuję urządzeniami, które mogą cię pozbawić rozumu, zatrzeć wspomnienia, zabrać ci mowę. I jaki wówczas przytoczysz argument na to, że żyjesz? Powiadasz, że słyszysz mój głos. Słuch jest zjawiskiem subiektywnym, prawda? Bardzo dobrze. Pozbawię cię zatem słuchu, a ty obserwuj uważnie, czy przestaniesz istnieć.

... Pojedynczy płatek śniegu opada, wiruje w dół studni bez wody na dnie, bez ścian, bez dna, bez otworu na szczycie... .

Po czasie, który czasem nie jest, słyhać głos Anubisa.

- Wiesz już, jaka jest różnica między życiem a śmiercią.

- Moje „ja” jest życiem - odpowiada Przebudzeniec. - Jakkolwiek byś mnie nie odmienił, jeżeli moje „ja” pozostanie nietknięte ono właśnie będzie życiem.

- Zaśnij - rozkazuje Anubis i już nikt go nie słyszy w Domu Śmierci.

Kiedy Przebudzeniec wraca do świadomości, okazuje się, że usadzono go za stołem w pobliżu tronu, że znów widzi, że patrzy, jak zmarli tańczą i że słyszy muzykę, w takt której się poruszają.

- Byłeś trupem? - pyta Anubis.

- Nie, spałem.

- A co to za różnica?

- Moje „ja” żyło, chociaż nie zdawałem sobie z tego sprawy. Anubis wybucha śmiechem.

- A gdybym tak cię nigdy nie obudził?

- Myślę, że to byłaby śmierć.

- Śmierć? Gdybym nie zechciał użyć mej mocy, żeby cię obudzić? Nawet gdybym wiecznie był panem mojej mocy? Nawet gdyby twoje potencjalne „ja” zawsze było do mojej dyspozycji?

- Wtedy bym umarł.

- Przed chwilą powiedziałeś, że sen to nie to samo, co śmierć. Czy to może czas, jaki upływa, czyni ową różnicę?

- Nie, to kwestia istnienia. Po śmierci nadchodzi przebudzenie, a życie wciąż płynie. Kiedy istnieję, zdaję sobie z tego sprawę. Kiedy nie istnieję, nie zdaję sobie sprawy z niczego.

- Więc życie jest nicością?

- Nie.

- Zatem istnieniem. A ci zmarli? Oni przecież istnieją.

- Życ to wiedzieć, że się istnieje. Przynajmniej przez jakiś czas.

- Z czego wypływa ta wiedza?

- Z wewnętrznego „ja” - odpowiada Przebudzeniec.

- A czymże jest owo „ja”? Kim jesteś naprawdę?

- Nazywam się Przebudzeniec.

- Nazwałem cię tak dopiero chwilę temu! Kim byłeś przedtem?!

- Nie byłem Przebudzeńcem.

- Byłeś martwy?

- Nie! Ja żyłem! - krzyczy Przebudzeniec.

- Nie podnoś głosu w moim Domu - powiada Anubis. - Nie wiesz, kim ani czym jesteś, nie wiesz, jaka jest różnica między istnieniem a niebytem i śmiesz klócić się ze mną na temat życia i śmierci! Nie będę cię już pytał, nie, sam ci powiem! Opowiem ci o życiu i śmierci! Życia jest jednocześnie i za mało, i za dużo - rozpoczyna. - Podobnie jest ze śmiercią. Ale odrzucimy te paradoksy. Dom Życia położony jest tak daleko stąd, że promień światła, który oderwał się odeń w momencie, kiedy ty przekraczałeś granice mego królestwa, nie pokonał nawet ułamka dzielącej nas odległości. Między Domem Życia i Domem Śmierci znajdują się Światy Wewnętrzne. Krążą w objęciach fal Życia i Śmierci, które przepływają między moim Domem a Domem Ozyrysa. Jeśli mówię „przepływają”, nie chcę przez to powiedzieć, że fale te pełzną niczym jakieś, pozał się Boże, nędzne promienie światła. Układają się już raczej jak fale na oceanie o dwóch brzegach. A my potrafimy wzniecać te fale gdziekolwiek tylko sobie zażyczymy i nie burzymy przy tym tafli całego morza. Czymże są owe fale i czemu służą?

Na niektórych światach życie rozpleniło się ponad wszelką miarę. Pełza pulsuje, wciąż na nowo użyżnia te światy zbyt łagodne, zbyt rozbuchane wiedzą, która utrzymuje ludzi przy życiu, światy, które utopiłyby się w swym własnym nasieniu, zapchałyby wszystkie lądy tłumami brzuszastych bab, aż wreszcie zapadłyby się w śmierć pod ciężarem płodności, I są również światy nagie, ponure i niegościnnie. Są światy, które rozgniatają życie jak kamienie młyńskie rozgniatają ziarno. Uwzględniając nawet modyfikację ciał ludzkich, biorąc pod uwagę mechaniczne transformatory planet, to i tak znalazłoby się tylko kilkaset światów nadających się do zasiedlenia przez sześć inteligentnych ras. Właśnie te najbardziej martwe światy potrzebują życia. Życie na planetach bardziej przyjaznych jest tylko okrutnym błogosławieństwem. Kiedy

mówię, że potrzeba, czy też nie potrzeba tam życia, rozumie się samo przez się, że potrzeba, czy też nie potrzeba tam i śmierci, I wcale nie mówię o dwóch różnych sprawach - poruszam jedną i tę samą kwestię. Ozyrys i ja jesteśmy księgowymi. Udzielamy kredytów, obciążamy rachunki. Wzniesamy fale lub wygładzamy je. Czy można liczyć na to, że życie samo ograniczy swój rozrost? Nie. Ono jest bezmyślnym dążeniem dwóch jednostek do nieskończoności. A czy można liczyć na to, że śmierć sama ograniczy swe żniwo? Nigdy. Ona jest równie bezmyślnym wysiłkiem nicości pragnącej ogarnąć nieskończoność.

Lecz musi przecież istnieć jakiś nadzór nad życiem i śmiercią - ciągnie Anubis - bo w przeciwnym razie światy płodne rozkwitałyby, a potem upadały, znowu by rozkwitały i znów obracałyby się w ruinę, szarpiąc się między potęgą imperium i anarchią do momentu, kiedy rozpadłyby się w proch już na wieki. Światy martwe natomiast pozostałyby objęte ramionami nicości po wsze czasy. Życie nie zawrze się samo w granicach, które narzuciła mu statystyka. Dlatego musi się je ograniczać i ogranicza się. Ozyrys i ja władamy Światami Wewnętrznymi. Światy te leżą w polu naszych wpływów i rozbudzamy je, i uśmierzamy tak, jak chcemy. Czy pojmujesz to, Przebudzeńcze? Czy zaczynasz teraz rozumieć?

- Ograniczacie rozrost życia? Zsyłacie śmierć?

- Potrafimy zesłać bezpłodność na dowolnie wybraną lub na wszystkie sześć ras razem wziętych I to na tak długi czas, jaki okaże się niezbędny. Możemy to uczynić całkowicie lub częściowo. Potrafimy sterować długością ludzkiego życia, dziesiątkować ludność dowolnie wybranego świata.

- W jaki sposób?

- Przez pożary, głód, zarazy i wojny.

- A co robicie ze światami martwymi, ze światami bezpłodnymi? Co robicie z nimi?

- Zapewniamy tam wielorództwo i nie ograniczamy długości ludzkiego życia. Zmarli są natychmiast odsyłani do Domu Życia, a nie tutaj. Tam reperuje się zwłoki lub używa ich do budowy nowych osobników, którzy później mogą, ale nie muszą być wyposażeni w ludzkie mózgi.

- A inni zmarli?

- Dom Śmierci jest cmentarzem sześciu ras. Na Światach Wewnętrznych nie ma legalnych cmentarzy. Były czasy, kiedy Dom Życia zwracał się do nas o zwłoki i o części zwłok. Innym razem przesyłali nam ich nadmiar.

- Trudno jest mi zrozumieć... To wydaje się być takie okrutne, takie bezwzględne...
- To życie i śmierć - największe błogosławieństwo i największe przekleństwo wszechświata. Nie musisz tego rozumieć, Przebudzeńcze. Zrozumiesz, czy nie zrozumiesz, zaakceptujesz, czy potępisz, to i tak niczego nie zmieni.
- A wy? Anubis i Ozyrys? Jak doszliście do władzy?
- Są tajemnice, których nigdy nie zgłębisz.
- Dlaczego Światy Wewnętrzne podporządkowały się waszej władzy?
- Żyją i umierają pod jej wpływem. Nie są w stanie jej odrzucić, gdyż jest niezbędna dla ciągłości ich istnienia. Nasza władza stała się prawem natury, jest zupełnie bezstronna i podporządkowuje z jednaką siłą wszystkich, którzy znajdują się w jej zasięgu.
- Czy są tacy, którzy się opierają?
- Dowiesz się, kiedy nadejdzie po temu czas. Nie w tej chwili. Uczyniłem z ciebie maszynę, Przebudzeńcze. Teraz uczynię z ciebie człowieka. I ktoś stwierdzi, jak i gdzie zostałeś poczęty? Gdybym pozbawił cię wspomnień sięgających chwili obecnej, a później oddał ciało, rzekłbyś, że zawsze byłeś maszyną.
- Czy uczynisz to?
- Nie. Kiedy - jeżeli to w ogóle nastąpi - przypiszę ci nowe obowiązki, chcę, żebyś zachował wspomnienia.

I Anubis unosi ręce. Klaszcze.

Maszyna zdejmując Przebudzeńca z półki i opuszczając na ziemię, wyłącza jego zmysły. Muzyka wibruje, ogarnia tańczących. Dwieście pochodni bucha ogniem na dwustu kolumnach, które stoją jak pomniki nieśmiertelnych myśli. Anubis spogląda na zacernioną plamę rysującą się na podłodze Sali Tronowej, a w górze baldachim dymu drga własnym rytmem.

Przebudzeniec otwiera oczy i patrzy w szarość. Leży na plecach, widzi tylko sufit. Czuje chłód kamiennej posadzki i po lewej stronie dostrzega błysk światła. Nagle zaciska palce lewej ręki, szuka kciuka, odnajduje go, wzdycha.

- Zgadza się - odzywa się Anubis.

Przebudzeniec siedzi u stóp tronu. Zerka w dół na swe ciało, a potem na Anubisa.

- Zostałeś ochrzczony. Odrodziłeś się w ciele.

- Dzięki.

- Żaden kłopot - mam tu pełno surowca. Wstań. Czy pamiętasz moje nauki? Przebudzeniec wstaje.

- Jakie?

- O czasoportacji. Pamiętasz? Czas ma słuchać myśli, a ciało zostawić w spokoju.

- Pamiętam.

- A o zabijaniu?

- Pamiętam.

- I o możliwości łączenia tych dwóch rzeczy?

- Tak.

Anubis wstaje. Jest o głowę wyższy od Przebudzeńca, którego nowe ciało mierzy dobrze ponad dwa metry.

- Więc udowodnij to! - woła. - Niechaj muzyka zamilknie! Niech stanie przede mną ten, którego za życia zwano Dargotem!

Zmarli przerywają taniec i zatrzymują się w bezruchu z martwo otwartymi powiekami. Przez kilka długich sekund panuje cisza nie zmacona wypowiedzianym słowem, krokiem, nawet oddechem.

Nagle jakiś ruch. Dargot. Przepycha się przez nieżywy tłum, zbliża się w cieniu, w refleksach pochodni. Przebudzeniec prostuje się na jego widok, gdyż tężeją mu mięśnie karku, pleców i brzucha.

Czaszkę Dargota opasuje metalowa obręcz koloru miedzi. Chroni mu kości policzkowe i znika pod siwiejącą brodą. Inna obręcz, poprzeczna, biegnie tuż nad brwiami, osłania skronie i zamyka się z tyłu głowy. Oczy Dargota są szeroko rozwarte; na żółtym tle błyskają czerwone tęczęwki. Jego dolna szczęka porusza się jakby bezustannie coś żuł, a zęby pojawiają się i znikają niczym długie cienie. Czaszka Dargota chwieje się na pięćdziesięciocentymetrowej szyi, a jego ponad metr szerokie bary i korpus zwężają się gwałtownie ku dołowi, gdzie łączą się, jak wierzchołek stożka, z pierścieniowatym metalem podwozia, które wrasta mu w ciało. Jego koła toczą się wolno. Lewe tylne skrzypi za każdym obrotem. Półtorametrowej długości ramiona zwisają luźno ku ziemi tak, że czubkami palców muska podłogę. Cztery krótkie, ostre, stalowe nogi podkurczył do góry i ułożył płasko wzdłuż boków. Na grzbiecie falują mu brzytwiaste ostrza, a gdy zbliża się do tronu, rozwija za sobą dwuipółmetrowy batog.

Podjeżdża. Staje.

- Na tę noc, na tę Noc Tysiącletnią - mówi Anubis - zwracam ci imię, Dargocie. Byłeś kiedyś jednym z najmężniejszych wojowników w Światach Wewnętrznych. Nadszedł jednak dzień, kiedy stanąłeś twarzą w twarz z jednym z nieśmiertelnych. Przegrałeś bój i odszedłeś w otchłań śmierci. Naprawiliśmy twe okaleczone ciało i teraz użyjesz go w bitwie raz jeszcze. Zabij tego oto człowieka, Dargocie, zabij Przebudzeńca w pierwszym zwarciu, a zajmiesz jego miejsce jako mój sługa w Domu Śmierci.

Dargot krzyżuje na czole wielkie dłonie i skłania się do ziemi. Dotyka rękami posadzki.

- Przebudzeńcze, masz dziesięć sekund, żeby przygotować umysł do walki - uprzedza Anubis. - Jesteś gotowy, Dargocie?

- Panie - odzywa się Przebudzeniec - jakże można zabić kogoś, kto już nie żyje?

- To twoja sprawa! - odpowiada Władca. - Zmarnowałeś dziesięć sekund na głupie pytanie! Zaczynajcie!

Słychać ostre kłapanięcie i metaliczny klekot. Żelazne nogi Dargota strzelają w dół, prostują się i dodają mu metr wzrostu. Dargot rozpoczyna harce. Wznosi i zgina ramiona.

Przebudzeniec patrzy. Czeką.

Dargot staje dęba tak, że jego głowa jest teraz na wysokości trzech i pół metra nad ziemią, i wtedy rzuca się naprzód. Ma wyprostowane ramiona, zwinięty ogon, wysuniętą głowę i obnażone szpony. Brzytwiaste ostrza sterczą mu na grzbiecie jak lśniące, trójkątne płetwy rekina, a jego podkowy wałą w posadzkę niczym młoty.

Przebudzeniec robi w ostatniej chwili unik i zadaje cios, który Dargot blokuje przedramieniem. Przebudzeniec skacze wysoko do góry, a ogon tamtego niemal ociera się z trzaskiem o jego ciało. Mimo swej ogromnej masy Dargot zatrzymuje się prawie w miejscu i wykonuje gwałtowny obrót. Jeszcze raz staje na tylnych nogach i uderza przednimi, okutymi w kopyta. Przebudzeniec cofa się, ale łapy Dargota dosięgają go i opadają mu na ramiona.

Przebudzeniec chwytą je za przeguby, kopie tamtego w pierś, lecz batóg chlaszcze go w prawy policzek. Przebudzeniec łamie w końcu uścisk olbrzymich łap wojownika, pochyla głowę i krawędzią dłoni wymierza mocny cios w bok przeciwnika. Ogon trzaska ponownie, smaga tym razem plecy Przebudzeńca, a on razi w łeb Dargota. Długa szyja wygina się, odchyła z linii uderzenia i znów słychać trzask bata, który tym razem chybia, ale zaledwie o kilka centymetrów. Pięść Dargota łąduje na szczęce Przebudzeńca. Ten potyka się, traci równowagę i pada. Udaje mu się uniknąć podków, ale kiedy próbuje wstać, kolejny cios rozpląscza go na ziemi. Następne

uderzenie jednak blokuje. Obiema rękami chwytą Dargota, wstrzymuje jego ramię ciężarem ciała i uchyla głowę. Pięść Dargota druzgocze posadzkę. Przebudzeniec wstaje i trafia przeciwnika lewym prostym.

Łeb Dargota odskakuje po ciosie, a batóg trzaska tuż koło ucha Przebudzeńca. Przebudzeniec poprawia i wymierza jeszcze jedno uderzenie w łeb tamtego, lecz tylne nogi Dargota prostują się nagle jakby wyrzucone sprężynami, jego bark wali się na pierś Przebudzeńca i pozbawia oddechu. Dargot staje dęba i odzywa się po raz pierwszy.

- Teraz, Przebudzeńcze! Teraz! Tak oto staję się sługą Anubisa!

Przebudzeniec widzi błysk spadających kopyt, chwytą je w powietrzu, w połowie drogi i zatrzymuje. Przykuca, zapiera się mocno, jego wargi wykrzywają się do góry i odsłaniają zaciśnięte zęby. Dargot jakby zamarł w pół ciosu.

Przebudzeniec wybuchą śmiechem, gwałtownie prostuje nogi i mocno odrzuca przeciwnika do tyłu, tak że Dargot z trudnością zachowuje równowagę.

- Ty głupcze! - krzyczy Przebudzeniec, a głos jego jest dziwnie odmieniony. Słowa przetaczają się przez Salę niczym dźwięk jakiegoś wielkiego dzwonu. Tłum zmarłych zawodzi cicho jak wtedy, gdy szli na wezwanie Anubisa. - „Teraz”, powiadasz?! - krzyczy ze śmiechem i robi krok do przodu, wprost pod spadające kopyta. - Nie wiesz, co mówisz!

Zamyka ramiona wokół stali olbrzymiego torsu. Przednie nogi wojownika młóćą bezsilnie powietrze, batóg świszczce, trzaska i żłobi bruzdy na karku Przebudzeńca. Dłonie człowieka spoczywają między ostrymi szpikulcami na grzbiecie Dargota. Zaciska je i gniecie niezgniatalny, pierścieniowaty korpus wroga, opierając metal o ciało.

Łapy tamtego opadają na szyję Przebudzeńca, ale kciuki nie sięgają gardła. Człowiek zgina kolana, napręża się, mięśnie nabrzmiewają mu jak powrozy.

I stoją tak obaj w bezruchu przez jakiś czas i tylko blask ognia zмага się z cieniem, igrając na ich ciałach.

Aż wreszcie Przebudzeniec podnosi Dargota z ziemi, dźwiga go jednym gigantycznym ruchem, obraca się i ciska od siebie.

Nogi wojownika kopią dziko, podczas gdy ciało wiruje bezwładnie w powietrzu. Jego grzbiet faluje ostrzami brzytwiastych kolców, ogon rozwija się i sucho trzaska. Dargot unosi ręce i zasłania twarz, lecz jest już za późno. Spada z ogłuszającym hukiem u stóp Anubisa i tam zastyga. Metalowe cielsko jest pęknięte w czterech miejscach, a głowa rozłupana o pierwszy

stopień tronu.

Przebudzeniec staje twarzą do Pana.

- Wystarczy? - pyta.

- Nie użyłeś czasoportacji - odpowiada Anubis, nie patrząc na szczątki tego, co zwało się niegdyś Dargotem.

- Nie musiałem. Nie był aż tak silny.

- Był silny - utrzymuje Anubis. - Podczas walki śmiałeś się i, jak mi się zdawało, podawałeś w wątpliwość to, że nazywasz się tak, jak się nazywasz. Dlaczego?

- Nie wiem. Przez moment, kiedy zdałem sobie sprawę, że nie może ze mną wygrać, poczułem się tak, jakbym był zupełnie kimś innym.

- Człowiekiem bez strachu, litości i bez skrupułów?

- Tak.

- Czy teraz też tak się czujesz?

- Nie.

- Dlaczego więc przestałeś zwracać się do mnie poprawnie? Dlaczego nie zwiesz mnie Panem?

- Ogień walki podniecił mnie i sprawił, że nie zachowuję się zgodnie z etykietą.

-- Zatem napraw swe przeoczenie. Natychmiast!

- Tak, Panie.

- Przepróż! Błagaj o przebaczenie! Błagaj pokornie! Przebudzeniec pada na ziemię.

- Błagam cię o wybaczenie, Panie, błagam pokornie.

- Wstań. Możesz uważać, że ci wybaczyłem. Pożywienie, którym uprzednio napchałeś sobie żołądek, nie syci cię już. Idź i zjedz coś ponownie. Niechaj zabrzmie śpiew! Niechaj rozpoczną się tany! Pijcie i weselcie się dla uczczenia chrztu Przebudzeńca! Dla uczczenia jego Tysiącletniej Nocy! I zabierzcie stąd truchło Dargota! Nie chcę na niego patrzeć.

Rozkazy zostają wykonane.

Przebudzeniec kończy posiłek i wydaje mu się, że śpiewy i hulanki zmarłych trwać będą aż do sprawiedliwie zasłużonego końca Czasu. Lecz wtedy Anubis skłania głowę najpierw w lewo, potem w prawo i co drugi płomień na co drugiej kolumnie zwija się w sobie i niknie. Anubis otwiera usta i padają słowa:

- Zabierz ich z powrotem i przynieś moje berło!

Przebudzeniec wstaje i rzuca niezbędne rozkazy. Później wyprowadza zmarłych z Sali Tronowej.

Kiedy wychodzą, stoły chowają się między kolumnami. Szaleńcza wichura wdziera się do środka i rzuca na baldachim z dymów, zanim jednak rozedrze i rozpędzi ich grubą warstwę, gasi pozostałe ognie, tak że jedynym oświetleniem Sali są teraz dwie płonące czary po obu stronach tronu.

Anubis spogląda w ciemność. Jego źrenice chwytają promienie światła, które, ulegając woli Pana, przybierają uprzednie kształty, I oto znowu widzi Anubis jak Dargot upada, jak leży nieruchomo u stóp tronu, widzi, jak ten, którego nazwał Przebudzeńcem, szczyrzy w uśmiechu zęby, a przez moment widzi nawet... Czy to refleks światła? Widzi jakiś znak na jego czole!

Daleko, w olbrzymiej komnacie, gdzie światło jest przyćmione, pomarańczowe i wtłoczone w zaułki, gdzie zmarli kładą się na swych niewidzialnych katafalkach nad otwartymi grobami, Przebudzeniec słyszy najpierw słaby, później silniejszy, a jeszcze potem jakby gasnący dźwięk. Nie zna tego odgłosu, nie słyszał go nigdy przedtem. Kładzie rękę na berle Pana i schodzi z podium.

- Starcze - zwraca się do zmarłego, z którym rozmawiał już wcześniej, a którego włosy i broda są teraz ochlapane winem. Zegarek wbudowany w jego lewy przegub nie chodzi. - Starcze, usłysz me słowa i odpowiedz, jeżeli potrafisz. Co to za dźwięk?

Nieruchome oczy spoglądają w górę, omijają wzrok Przebudzeńca, a martwe wargi poruszają się.

- Panie... - mówią.

- Nie ja jestem tu Panem.

- Panie, toż to ino psa wycie.

Przebudzeniec wraca na podium i rozmieszcza zmarłych w grobach. Światło rozmywa się i już tylko berło wskazuje Przebudzeńcowi drogę w ciemności, prowadząc go po wytyczonej trasie.

- Oto twe berło, Panie.

- Wstań i zbliż się.

- Zmarli wrócili na miejsce.

- Bardzo dobrze. Przebudzeńcze, czy jesteś moim człowiekiem?

- Tak, Panie.

- Czy spełnisz mą wolę? Czy będziesz mi wszędzie usługiwał?

- Tak, Panie.

Dlatego zostaniesz mým wysłannikiem do Światów Wewnętrznych i poza nie.

- Mam opuścić Dom Śmierci?

- Tak. Wysyłam cię z misją.

- Z jaką misją?

- To długa historia... W Światach Wewnętrznych żyje wielu starych ludzi. Wiesz o tym?

- Tak.

- Są wśród nich i tacy, których ani czas, ani śmierć się nie imają.

- Których śmierć się nie ima, Panie?

- Takim czy innym sposobem, niektórzy z nich osiągnęli rodzaj nieśmiertelności. Może kierują się prądami życia, czerpią z nich siły i uciekają przed falami śmierci?... Może zmodyfikowali jakiś system biochemiczny, może bezustannie naprawiają swe ciała, a może mają wiele ciał i ciągle je wymieniają?... Może kradną powłoki cielesne, może wytapiają je z metalu, a może wcale nie mają ciał?... Jakimkolwiek posługują się sposobem, kiedy zapuścisz się w Światy Wewnętrzne, usłyszysz plotki o Trzystu Nieśmiertelnymi. To tylko przybliżona liczba, gdyż zaledwie kilku wie coś o nich naprawdę. W rzeczywistości jest ich dokładnie dwustu osiemdziesięciu trzech. Jak sam rozumiesz, nieśmiertelni żerują na życiu i śmierci. Już sam fakt, że w ogóle istnieją, zakłóca wszelką równowagę, skłania i inspiruje innych do pójścia w ich ślady, sprawia, że ludzie traktują ich jak bogów. Niektórzy z nieśmiertelnymi są tylko nieszkodliwymi tułaczami. Ale tylko niektórzy. Wszyscy natomiast są potężni i chytry, wszyscy są biegli w sztuce przedłużania życia. Jeden z nich jest szczególnie groźny i wysyłam cię, abyś go zniszczył.

- Któż to jest, Panie?

- Zwą go Księciem, Który Ma Tysiąc Lat. Bawi gdzieś poza Światem Wewnętrznym. Jego siedziba leży z dala od królestwa życia i śmierci. Spowija ją wieczny półmrok. Trudno go tam jednak zastać, bo często przekracza granice swego terytorium, zapuszcza się w Światy Wewnętrzne lub wędruje jeszcze gdzieś indziej. Chcę, by nadszedł jego kres, gdyż od wielu już lat sprzeciwia się woli Domu Śmierci i Domu Życia.

- A jak wygląda ów Książę, Który Ma Tysiąc Lat?

- Jak tylko zechce.

- Gdzie go znajdę?

- Nie wiem. Musisz poszukać.

- W jaki sposób go rozpoznam?

- Po jego czynach, słowach... On zwalcza nas wszelkimi metodami.
- Z pewnością inni też sprzeciwiają się waszej woli.
- Zniszcz wszystkich, którzy to robią! Zabij tych, których spotkasz! I rozpoznasz Księcia, Który Ma Tysiąc Lat, gdyż on będzie najtrudniejszym przeciwnikiem. To właśnie jemu uda się prawie zniszczyć cię w walce.
- A jeśli mnie zniszczy mimo wszystko?
- Wówczas stracę kolejne tysiąc lat, żeby przygotować do tego zadania następnego emisariusza. Nie pragnę upadku Księcia już dziś czy jutro. Miną bez wątpienia wieki, zanim go odnajdziesz. Czas nie gra tu roli. Upłynie sto lat nim Książę zagrozi Ozyrysowi lub mnie. Poznasz go lepiej w trakcie poszukiwań. A kiedy go w końcu znajdziesz, będziesz wiedział, że to on.
- Czy jestem wystarczająco silny, by przywieść go do zguby?
- Myślę, że tak.
- Jeżeli tak, jestem gotów.
- Więc pokieruję tobą. Gdy znajdziesz się w Światach Wewnętrznych, otrzymasz moc przyzywania mnie. Dam ci też dar, który pozwoli ci czerpać siły z pól Życia i Śmierci, kiedy tylko znajdziesz się w potrzebie. To uczyni cię niezwycięzonym. Gdy zechcesz podzielić się ze mną nowinami, wezwij mnie, jeżeli ja pocuję takie pragnienie, sam cię odnajdę.
- Dzięki ci, Panie.
- Masz natychmiast wykonywać moje polecenia.
- Tak, Panie.
- Teraz idź i odpocznij. Kiedy prześpisz się i posilisz, wyruszysz w drogę i rozpoczniesz swoją misję.
- Dzięki ci, Panie.
- Będzie to twój ostatni odpoczynek w Domu Śmierci, Przebudzeńcze. Pomyśl o tajemnicach, które Świat ten zawiera.
- Robię to cały czas, Panie.
- Ja jestem jedną z nich.
- Panie...
- Tak, to jest część mego imienia. Zawsze o tym pamiętaj.
- Jakże bym mógł zapomnieć, Panie?

KOSZMARNY SEN CZERWONEJ WIEDZMY

Wiedźma Balkonii rusza się niespokojnie i krzyczy dwukrotnie przez sen. Spała długo i głęboko. Powierniczek śpieszy ją uspokoić, ale czyni to tak niezręcznie i nieudolnie, że Wiedźma budzi się na dobre.

Siada na miękkich poduszkach w olbrzymiej jak katedra komnacie, a Czas, stąpając jak bezecny Tarkwiniusz, umyka chyłkiem z jej otomany. Jest niczym duch, lecz Wiedźma dostrzega go, osadza gestem i zaklęciem w bezdrożach wędrówki, a słysząc swój zwielokrotniony wrzask, spogląda wstecz i widzi tę zmoreę z koszmarne go snu, zmoreę, którą urodziła, to stworzenie o pomstę do nieba wołające.

I usłysz wtenczas dziesięć kolejnych salw armatnich, a później oczyść z ich huku powietrze i uszy, zachowując jeno dziewięć momentów stłamszonej ciszy, które salwy dzielą. I niechaj będą uderzeniem serca twego i poczuj je w ciele swym mistycznym Potem, w owym martwym środku, połóż wyleniąta skórę, która porzuciła węża i niechaj zamilkną lamenty w tawernie, jeśli zatopiony okręt wraca szczęśliwie do portu. Zamiast rozpaczać, odetnij się od zmory koszmaru, od zimnych i bajecznych kropel jej deszczu, które jak różaniec win grzechoczą o twój brzuch. Miast rozpaczać, pomyśl o zmęczonych wierzchowcach, o Kłątwie Latającego Holendra, a może przypomnij sobie jakiś werset tego szalonego poety Vramina, choćby pojedynczą linijkę, jak na przykład: „Cebulka wskrzesi żonkil, gdy ku temu pora”. Jeżeli kochałaś cokolwiek w życiu, spróbuj to sobie przypomnieć. Jeżeli zdradziłaś cokolwiek, niech ci się na moment wyda, że ci wybaczone. Jeśli bałaś się czegośkolwiek, niech ci się zdaje, że dni strachu minęły i już nigdy nie wrócą. Przełknij kłamstwa i wierz w nie tak długo, jak tylko potrafisz. Przytul powierniczka czymkolwiek on jest, przytul go do piersi i głaszcz, aż zamruczy z zadowolenia.

Przehandlujesz życie i śmierć za zapomnienie i co? Chyżo, czy ślamazarnie, ale w końcu ogarną twe ciało i kości. Nadejdzie ranek, a z nim wróci pamięć.

Zawieszona między przeszłością a przyszłością, Czerwona Wiedźma zasypia w olbrzymiej jak katedra komnacie. Ten, który zburzył jej sen, pierzcha i znika gdzieś w ciemnych zaułkach, a Czas dalej odmierza historię wokół zdarzeń, I uśmiecha się Wiedźma przez sen, bo Janus znów bawi się w połowiczność.

Przywrócona wspaniałości, grzeje się w jego ciepłym, zielonkawym spojrzeniu.

ŚMIERĆ, ŻYCIE, CZARODZIEJ I RÓŻE

Wsluchaj się w ten świat. Nazywa się Błogoria i łatwo go usłyszeć. Otaczają go odgłosy śmiechu, westchnienia, beknięcia sytości, towarzyszy mu puk-puk-puk bijących serc i tur-tur-tur maszynierii w ruchu. A może usłyszysz oddech tłumów lub ich słowa? A może będzie to stukot kroków i kroczków, odgłos pocałunku, potem klaps i płacz dziecka? Muzyka? Może dojdzie ciebie i muzyka. Że co? Słyszysz tylko stukot maszyny do pisania w nieświadomości Nocy Czarnego Luda? Czcionki muskające papier? Może i tak. A jeśli tak, to nie myśl już o dźwiękach czy słowach i lepiej spójrz na ten świat.

Najpierw zajmijmy się kolorami. Wymień jakiś. Czerwony? Jest tam brzeg rzeki w tym kolorze. Rzeka pędzi swe zielone wody między szkarłatnymi skarpami skał. Dalej leży miasto. Jest żółtoszare i czarne. Lecz tutaj, na przedpolu, oba brzegi rzeki usiane są namiotami. W jakich kolorach? W jakich tylko zechcesz, we wszystkich. Jest tu ponad tysiąc namiotów w kształcie balonów, wigwamów, grzybowatych kapeluszy i skrzą się zwieńczone proporcami, błyszczą pośrodku niebieskiej łąki zatłoczonej punkcikami ruchliwych kolorów. Te punkciki to ludzie.

Brzegi rzeki spinają trzy wapiennobiałe mosty. Jej wody uchodzą do śmietankowego morza, które wzbiera, lecz z rzadka wylewa. Z morza w górę rzeki wypływają barki, łodzie i okręty, które cumują wzdłuż brzegów. Inne, bo napowietrzne statki, opuszczają się z nieba i lądują gdzie się da na niebieskim podłożu łąki. Ich pasażerowie spacerują wśród namiotów. Pasażerowie reprezentują wszystkie rasy i wszystkie gatunki. Jedzą i rozmawiają. Bawią się. Artykułują dźwięki i obnaszają swoje kolory. Dobrze mówię?

Wkoło snuje się aromat słodkości i pnące się ku górze życia, a lekki wiaterek rozdaje wszystkim lekkie pocałunki. Kiedy jednak zapachy docierają nad targowisko, ulegają ledwie uchwytniej zmianie. Nad targowiskiem unosi się bowiem nieco drażniąca woń trocin wymieszana z wonią potu. Zapach potu sam w sobie nie drażni cię zbytnio, bo jest tam i twój własny pot. Dołącza do tego dym z palonego drewna, kuchenny odór przyrządzanych posiłków i ostra woń alkoholu. Powąchaj ten świat, przelknij i zapychaj nim żołądek tak długo, aż pęknie. Nasyć się...

Tak, jak syci się nim człowiek w opasce na oku i z długą laską w ręku. Krąży między przysadzistymi handlarkami i zgrabnymi dziewczynami. Jest gruby jak eunuch, ale to tylko pozory. Jego ciało ma dziwny odcień cielistości, a prawe oko jest jak szare koło toczące się to tu,

to tam. Trzydniowy zarost pokrywa mu twarz, a jego strój już dawno pogubił wszystkie kolory. Stąpa pewnie, a ręce ma silne.

Przystaje, żeby kupić sobie garniec piwa, idzie trochę dalej, na walki kogutów.

Stawia monetę na mniejszego ptaka, który rozrywa na strzępy większego i tym sposobem mężczyzna może już zapłacić za wypite piwo.

Ogląda pokaz defloracji, próbuje narkotyków z wystawy, przechytrza jakiegoś brązowoskórego w białej koszuli, który usiłuje odgadnąć jego wagę. Wtedy z pobliskiego namiotu wyłania się niski człowiek o wąsko rozstawionych oczach. Podchodzi z boku do mężczyzny z laską i ciągnie go za rękaw.

- O co chodzi ? - pyta zaczepiony, a jego potężny głos płynie jakby ze środka ciała.

- Sądząc po stroju, jesteś zakonnikiem.

- Zgadza się, ale należę do ateistów i asekcjarzy.

- Tym lepiej. Chciałbyś pan zarobić? Zabierze to panu tylko kilka chwil.

- Co miałbym uczynić?

- Jakiś facet zamierza popełnić samobójstwo i chce być pochowany w tamtym namiocie. Grób już gotowy i wszystkie bilety wysprzedane. Ale publika się niecierpliwi, bo ten facet nie zrobi tego bez odpowiedniej oprawy religijnej, a my nie możemy otrzeźwić naszego kaznodziei.

- Rozumiem. Będzie to was kosztować dziesiątaka.

- Dam piątkę. - To poszukajcie sobie innego kapłana.

- Dobra, niech będzie dycha. Lećmy już, bo tamci zaczynają wyć i klaskać - mówi i mrużąc oczy wchodzi do namiotu. - Jest kaznodzieja! - woła.

- Możemy zaczynać! Jak cię zwa, Ojczulku?

- Czasami nazywają mnie Madrakiem.

Organizator przedstawienia zatrzymuje się w pół kroku, odwraca i gapi się na Madraka oblizując usta.

- Ja... Nie zdawałem sobie z tego... sprawy - powiada.

- Nie szkodzi. Zaczynamy wreszcie.

- Tak jest, natychmiast. Zróbcie przejście! Hej, dajcie przejść! Przejście dla Mistrza!

Tłum rozstępuje się. W namiocie znajduje się około trzystu ludzi. Jaskrawe reflektory zawieszane u góry celują w otoczony linami krąg nagiej ziemi, gdzie wykopano grób. W szczeblastych wiązkach promieni światła unoszą się drobiny pyłu i krążą owady. Obok otwartego

grobu spoczywa odkryta trumna. Na małym drewnianym podeście stoi krzesło. Mężczyzna, który na nim siedzi, może mieć z pięćdziesiąt lat. Ma bladą, płaską, pomarszczoną twarz i lekko wylupiające oczy. Jego jedynym ubiorem są szorty. Bujne, szare włosy, porastają mu pierś, ramiona i nogi. Gdy widzi dwóch mężczyzn wynurzających się z tłumu, pochyla się i przymyka oczy.

- Wszystko załatwione, Dolminie - odzywa się organizator.

- A mój dziesiątek? - domaga się Madrak.

Organizator wsuwa mu w dłoń zmięty banknot. Madrak ogląda go dokładnie i umieszcza w portfelu.

Organizator wchodzi na podest i uśmiecha się do tłumu. Zsuwa słomkowy kapelusz na tył głowy i zaczyna.

- Uspokójcie się, ludzie! Jesteśmy już gotowi! Czekaliście, ale jestem pewien, że nie pożałujecie. Mówiłem już wam, że ten oto człowiek, Dolmin, ma zamiar popełnić samobójstwo na waszych oczach. Z przyczyn osobistych postanowił usunąć się z szeregów wspaniałej rasy i zgodził się zarobić przy tym trochę grosza dla swej rodziny. Zapłacimy mu za to, że zabije się tu, na tej arenie. Później odbędzie się pogrzeb. Prawdziwy pogrzeb! Pogrzeb w ziemi, na której stoicie! Niewątpliwie już dawno nie mieliście okazji być świadkiem prawdziwej śmierci, a daję głowę, że nikt z was nie widział nigdy pogrzebu! Za chwilę kapłan i Dolmin rozpoczną przedstawienie! Powitajmy ich serdecznie!

Namiot rozbrzmiewa oklaskami.

- I jeszcze mała przestroga. Proszę nie zbliżać się do podestu. To, co robimy, jest wbrew zarządzeniom, chociaż namiot jest w pełni ogniotrwały. Dobra. Zaczynamy!

Zeskakuje i teraz Madrak wspina się na podwyższenie. Pochyla się nad siedzącym. Obok krzesła ktoś stawia kanister z napisem „PŁYN ŁATWOPALNY”.

- Czy jesteś pewien, że chcesz to zrobić? - pyta Madrak.

- Tak.

Madrak spogląda mu w oczy, lecz źrenice mężczyzny nie są ani rozszerzone, ani zwężone.

- Dlaczego?

- Z powodów osobistych, Ojciec. Wolałbym o nich nie mówić. Proszę, daj mi błogosławieństwo i odpuść mi moje grzechy. Madrak kładzie rękę na głowie Dolmina.

- Jeżeli coś, co łaskawie zechce spełnić me błagania lub może nie dba o to, co powiadam, słucha

mnie teraz, ja, Madrak, proszę, jeśli ma to jakiegokolwiek znaczenie, o wybaczenie dla ciebie, Dolminie, za wszystko, coś uczynił i czegoś nie uczynił, a co przebaczenia wymaga, i odwrotnie, jeżeli to nie wybaczenia, a czegoś innego potrzeba, żeby wyświadczyć ci pożądane po unicestwieniu ciała twego dobrodziejstwa, proszę, aby dobrodziejstwa owe, czymkolwiek by one nie były, zostały ci wyświadczone lub abyś został ich pozbawiony, jeżeli tak ma być lepiej i abyś tym samym otrzymał wspomniane wyżej korzyści. Proszę o to jako wybrany przez ciebie pośrednik między tobą a tym, co tobą nie jest, lecz co może, z takich czy innych powodów, pragnąć, byś otrzymał jak najwięcej z rzeczonych korzyści, a na co moja modlitwa może w jakiś sposób wpłynąć. Amen.

- Dzięki ci, Ojczce.

- To było piękne - szłocha z pierwszego rzędu jakaś gruba kobieta z niebieskimi skrzydłami. Mężczyzna zwany Dolminem podnosi kanister z napisem „PŁYN ŁATWOPALNY”, odkręca korek i wylewa na siebie całą jego zawartość.

- Czy ktoś ma papierosa? - pyta.

Organizator częstuje Dolmina. Dolmin sięga do kieszonki szortów po zapalniczkę. Nieruchomieje na moment i patrzy na tłum.

Ktoś woła:

- Dlaczego to robisz?! Dolmin uśmiecha się.

- Może to taki mały protest przeciwko życiu jako takiemu? Życie jest głupią zabawą, prawda? Pójdźcie w moje ślady... - mówi i pstryka zapalniczką.

W tym czasie Madrak jest już daleko, poza otoczonym liną kręgiem ziemi.

Wybuch ognia, podmuch gorąca i pojedynczy krzyk jak cios rozgrzanego noża w masło.

Sześciu ludzi, którzy stoją w pogotowiu z gaśnicami, odpręża się, bo już widać, że płomień nie rozszerzą się dalej.

Madrak składa dłonie pod brodę i opiera je na lasce.

Po chwili ogień gaśnie i do szczątków podchodzą ludzie w azbestowych rękawicach. Publiczność milczy. Jak dotąd nie było żadnych oklasków.

- Więc tak to wygląda... - ktoś szepcze i słychać go w całym namiocie.

- Może tak, a może nie - odpowiada mu wyraźny, wesoły głos z tylnych rzędów.

Ludzie odwracają się i patrzą jak ten, który wypowiedział te słowa, przesuwa się do przodu. Mężczyzna jest wysoki, ma ostro zakończoną zieloną brodę, jego włosy i oczy też są zielone. Ma

jasną skórę i długi, cienki nos. Ubrany jest na czarno i na zielono.

- To mag z przedstawienia na drugim brzegu rzeki! - pada z trybun.

- Zgadza się - odpowiada mężczyzna, kłaniając się z uśmiechem i przepycha się wśród tłumu, pomagając sobie srebrzyście zakończoną różdżką. Zamykają właśnie wieko trumny, kiedy czarodziej zatrzymuje się.

- Dzielny Madraku! - szepcze. Madrak odwraca się ku niemu.

- Szukałem cię - mówi.

- Wiem, dlatego tu jestem. Co to za głupoty?

- Publiczne samobójstwo człowieka imieniem Dolmin - odpowiada Madrak. - Zapomnieli już, jak wygląda śmierć.

- Tak szybko, tak szybko... - wzdycha jego rozmówca. - Dobra, więc niech przynajmniej wiedzą, za co zapłacili! Pokażmy im! Zróbmy przedstawienie!

- Vraminie, wiem, że potrafisz to uczynić, ale biorąc pod uwagę stan szczątków...

Organizator przedstawienia zbliża się i spogląda na nich małymi, ciemnymi oczami.

- Ojczy - zwraca się do Madraka - czy życzysz sobie wypełnić jakieś posługi przed pogrzebem?

- Ja...

- Jasne, że nie! - wtrąca się Vramin. - Grzebie się tylko zmarłych!

- Co pan chce przez to powiedzieć?

- Tamten człowiek nie umarł. Tli się w nim życie.

- Pan się myli. Tu nie ma żadnego oszustwa.

- Mimo to twierdzą, że on żyje i że zaraz wstanie ku waszej uciechu.

- Z pana chyba wariat!

- Nie, wasz uniżony cudotwórca - odpowiada Vramin i wstępuje na arenę.

Madrak idzie za nim. Vramin unosi do góry różdżkę i robi nią jakiś tajemniczy znak. Różdżka skrzy się zielonkawym światłem, które po chwili odrywa się od niej i spływa na trumnę.

- Powstań, Dolminie! - woła.

Tłum napiera. Vramin i Madrak odsuwają się pod ścianę. Organizator ruszyłby za nimi, ale jego uwagę przykuwa jakieś stukanie dobiegające ze środka trumny.

- Lepiej stąd wyjdźmy, bracie - powiada Vramin i czubkiem różdżki rozcina tkaninę namiotu.

Wieko trumny podnosi się wolno, ale oni są już na zewnątrz. Z tyłu słyszą jakiś harmider, wrzaski i krzyki.

- Oszustwo! Oddać forszę! Patrzcie! Spójrzcie na niego!

- „Jakimiż głupcami są ci śmiertelnicy” - powiada zielony człowiek. Jest on jedną z nielicznych, żyjących osób, które mogą wziąć powyższe zdanie w cudzysłów i wiedzą przy tym, dlaczego to robią.

Nadchodzi, szybuje po niebie, dosiada olbrzymiego rumaka z błyszczącego metalu. Rumak ma osiem nóg i brylantowe podkowy, jego ciało jest tak długie jak są dwa konie razem wzięte, szyja tak długa jak ciało, a głowa jest ze złota i wygląda jak demoniczny łeb chińskiego smoka. Z nozdrzy buchają promienie niebieskiego światła, a za ogon służą mu trzy anteny. Przemierza międzygwiazdną czerń wolnymi krokami mechanicznych nóg. Każdy przenoszący go z nicości w nicość krok jest po dwakroć dłuższy od poprzedniego, choć trwa tyle, ile poprzedni. Mija rozbłyskujące słońca, pozostawia je za sobą, a one spadają gdzieś, mrugają i gasną. Przebija na wylot litą skałę, wychodzi cało z gorejących piekieł, przesywa mgławice i pędzi coraz szybciej i szybciej w zamieci spadających gwiazd, w lesie nocy. Mówią, że po odpowiedniej rozgrzewce może okrążyć cały wszechświat jednym pojedynczym skokiem. A co by było, gdyby się po takim skoku nie zatrzymał? Na to pytanie nikt nie zna odpowiedzi.

Jeździec dosiadający metalowego rumaka był niegdyś człowiekiem. To właśnie jego nazywają Stalowym Generałem. Ale to, co na sobie nosi, nie jest żadną zbroją - to jego ciało. Na czas podróży zostawił sobie tylko część natury człowieczej i wyłączył resztę. Spogląda teraz przed siebie, poza zasłaniające oczy rumaka klapki, które sterczą z boku niczym spiżowe liście dębu. Opuszkami palców lewej ręki dzierży dwie pary cugli, każde grubości pasemka jedwabiu. Na małym palcu nosi pierścień z wygarbowanej ludzkiej skóry, bo w jego przypadku metalowe ozdoby byłyby bezsensowne i zbyt hałaśliwe. Skóra ta była przed wiekami jego własną skórą, a przynajmniej służyła mu wtedy jako ubranie.

Gdziekolwiek by nie wędrował, w schowku, w pobliżu miejsca, gdzie znajdowało się kiedyś jego serce, nosi składane, pięciostrunowe banjo. Kiedy na nim gra, staje się jakby Orfeuszem, a ludzie idą za nim nawet do Pieła.

Poza tym Stalowy Generał jest jednym z najwytrawniejszych mistrzów czasoportacji, a w całym wszechświecie jest ich zaledwie kilku. Powiadają, że nikt nie może go dotknąć, chyba że Generał wyrazi na to zgodę.

Jego wierzchowiec był przed laty koniem.

Przypatrz się Błogorii, nasyc oczy kolorami, śmiechem i wiatrem. Spójrz na Błogorię tak, jak patrzy na nią Megra z Kalganu.

Megra jest pielęgniarką. Pracuje w Kalganie, w Siedemdziesiątym Trzecim Centrum Położniczym i zdaje sobie sprawę z tego, że dzieci to przyszłość jej Świata. Błogorię zamieszkuje jakieś dziesięć miliardów ludzi. Umiera niewielu. Reszta żyje, oddycha i wciąż się mnoży, bo tu chorujących się uzdrawia, a śmiertelność noworodków jest równa zeru. Krzyki niemowląt i śmiech uradowanych rodziców to dwa najczęściej spotykane odgłosy na Błogorii.

Megra z Kalganu ogląda świat błękitnokobaltowymi oczami osadzonymi za parawanem długich, jasnych rzęs. Jej wspaniałe, płowe włosy ocierają się o nagie ramiona, a dwa szpiczaste zakończone kosmyki splatają się między brwiami w literę „X”. Dziewczyna ma niewielki nosek, usta w kształcie drobnego, niebieskiego kwiatka i delikatnie zarysowany podbródek. Nosi krótką, srebrzystą spódniczkę, złoty pas i srebrną przepaskę na piersiach. Ma zaledwie metr pięćdziesiąt wzrostu i roztacza wokół siebie aromat kwiatów, których nigdy w życiu nie widziała. Z szyi zwisa jej złocisty breloczek. Ilekroć mężczyźni podsuwają jej środki na zwiększenie popędu płciowego, breloczek rozgrzewa się lekko na jej piersiach.

Megra czekała dziewięćdziesiąt trzy dni, żeby uzyskać kartę wstępu na Targowisko. Lista oczekujących jest długa, gdyż ruchliwe Targowisko ze swymi barwami i zapachami ostało się jako jedno z niewielu takich miejsc na Błogorii.

Na Błogorii znajduje się tylko czternaście miast, lecz miasta te pokrywają wszystkie cztery kontynenty od morza do morza śmietankowego, wgryzają się w głąb ziemi, wyrastają ponad chmury, a niektóre dzielnice zagarnęły nawet dno oceanu. Splatają się z sobą, tworząc jakby wszechkontynentalną warstwę cywilizacji, ale ponieważ nadal istnieje czternaście rad miejskich, wciąż mówi się tu o czternastu miastach.

Megra mieszka w jednym z nich, w Kalganie. Tutaj pielęgnuje życie nowo powstałe i rozwrzeszczane, czasami życie jęczące ze starości, dogląda ludzi wszelkich odmian i kolorów skóry. Ponieważ inżynieria genetyczna jest w stanie ułożyć sekwencje genów w sposób dokładnie odpowiadający życzeniom rodziców, a następnie wszczepić je chirurgicznie do jądra zapłodnionego jaja, Megra ma teoretycznie szansę być świadkiem narodzin istot najdziwniejszych. Często też jest. Jej rodzice byli staromodni, więc pragnęli tylko, żeby urodziła się im dziewczynka o błękitnokobaltowych oczach, obdarzona siłą tuzina mężczyzn. To ostatnie

po to, żeby sobie dawała radę w życiu.

Megra dawała sobie znakomicie radę przez osiemnaście lat, aż doszła wreszcie do wniosku, że już pora wnieść wkład w pomnożenie owych dziesięciu miliardów na Błogorii. Sama nic tu jednak nie osiągnie - dążenie do przedłużenia nieskończoności gatunku wymaga dwojga partnerów. Megra zdecydowała się więc zaspokoić swe pragnienia wśród romantycznych barw na otwartej przestrzeni Targowiska. Jej pracą i religią jest życie i gotowa jest mu wiernie służyć. Teraz ma przed sobą miesiąc urlopu.

Musi tylko jeszcze znaleźć partnera...

W więzieniu bez krat To, Co Krzyczy Nocą podnosi głos. Wyje, zawodzi, pokasłuje, szczeka i mamrocze. Oplata je srebrzysty kokon pulsujących zwojów energii. Kokon zawieszony jest w niewidzialnej sieci sił w miejscu, które nigdy nie zaznało słońca.

Książę, Który Ma Tysiąc Lat łechce stworzenie promieniami laserów, kąpie je w strumieniach cząsteczek gamma i oblewa zmiennymi zakresami ultra- i infradźwięków.

To, Co Krzyczy Nocą milknie, a Książę unosi głowę. W ogołoconej z dźwięku sekundzie zerka znad aparatury, którą tu przyniósł i jego zielonkawe źrenice rozszerzają się, cienkie wargi układają się w zaczątek uśmiechu, którego nigdy nie złożą.

Stwór znów zaczyna krzyżeć i burzy ciszę.

Książę zgrzyta zębami, odrzuca w tył ciemny kaptur i spogląda na świetlisty, wijący się kształt. W półmroku Miejsca Bez Drzwi włosy Księcia mają odcień płowego złota. Na usta cisną mu się przekleństwa, których zawsze używa, ilekroć kolejny sposób zawiedzie. Jak dotąd zawiodły wszystkie.

Od dziesięciu stuleci książę próbuje zabić To, Co Krzyczy Nocą, a ono wciąż żyje.

Książę krzyżuje ręce na piersiach, skłania głowę i znika.

Krzyk znów szarpie noc, krzyk znowu rozdziera światło.

Madrak przechyla karafkę i napełnia kielichy.

Vramin spogląda na otwartą równinę przed namiotem, podnosi puchar i wychyla go jednym haustem... Madrak rozlewa następną kolejkę.

- Ani to targowisko próżności, ani próżność targowiska - rzecze w końcu Vramin.

- Nie popierałeś naszego programu zbyt aktywnie.

- A czy to ważne? Kieruję się teraz akurat takimi, a nie innymi odczuciami.

- Odczucia poety...

Vramin głaszcze się po brodzie.

- Nigdy nikomu nie byłem całkowicie wierny. Ani niczemu - odpowiada.

- A szkoda, mój ty biedny Aniele Siódmej Stacji...

- Tytuł przepadł wraz ze Stacją.

- Arystokracja na wygnaniu zawsze przechowuje jakieś drobnostki właściwe jej pozycji.

- Jeżeli spojrzysz na siebie w ciemności, co ujrzysz?

- Nic.

- Ano właśnie.

- A jaki istnieje między tym związek?

- Ciemność.

- Nie widzę tu...

- W ciemności z reguły nic nie widać, ty zakonniku z mieczem u pasa!

- Przestań mówić zagadkami, Vraminie. O co ci naprawdę chodzi?

- Dlaczego szukałeś mnie tutaj, na Targowisku?

- Mam przy sobie najświeższe dane o stanie naszych populacji. Rzecz to niebywała, ale wydaje mi się, że wkrótce osiągniemy legendarny Punkt Krytyczny, punkt, którego nie ma! Zechcesz rzucić okiem?

- Nie muszę, mniejsza o dane. A twój wniosek jest prawidłowy, owszem.

- Twoje receptory postrzegania rejestrują zmiany w polu Mocy? Vramin potwierdza ruchem głowy.

- Daj mi papierosa - prosi Madrak.

Vramin wykonuje gest ręką i między palcami zjawia się dymiący papieros.

- To coś bardzo szczególnego - powiada. - Tym razem to nie jakieś tam osłabnięcie Mocy w polu Życia. Obawiam się, że nadchodzi zderzenie dwóch różnoimiennych pól...

- Jak to się objawi?

- Nie wiem, Madraku, ale pozostanę tu tylko tyle, ile trzeba, żeby się dowiedzieć. Ani sekundy dłużej.

- O! A kiedy chcesz odejść?

- Jutro wieczorem, choć wiem, że ryzykuję jeszcze jeden flirt z Polem Czarnej Mocy. Chyba

zabiorę się wkrótce za testament. Napiszę go w formie eposu... Tak, epos heroiczny...

- A inni? Zostają?

- Jacy inni? Jedynymi nieśmiertelnymi na Błogorii jesteśmy ty i ja.

- Czy mógłbyś mnie zabrać ze sobą?

- Ależ oczywiście.

- Więc zostanę na Targowisku do jutrzejszego wieczora.

- Szczerze doradzam ci natychmiastową ucieczkę. Po co masz czekać? Mogę ci to umożliwić choćby zaraz. - Vramin znowu wykonuje gest ręką i po chwili sam zaciąga się dymem papierosa.

Dostrzega napełniony kielich i spija łyk. - Aktem nędzy byłoby odejść niezwłocznie – konstatuje – ale mądrość jako taka jest wytworem wiedzy. Wiedza natomiast jest niestety produktem poczynań ludzi niemądrych. Dlatego też, żeby wzbogacić mą wiedzę i pogłębić mądrość, zostanę do jutra i przekonam się, co się tu zdarzy.

- Sądzisz więc, że zdarzy się tutaj coś niezwykłego?

- Tak. Nastąpi starcie dwóch różnoimiennych pól. Czuję to, czuję naddciągające Moce. W wielkim Domu, gdzie rozstrzygają się wszelkie sprawy, coś się ostatnio wydarzyło...

- W takim razie wieści owe i mnie interesują, gdyż dotyczą mojego byłego Pana, Księcia, Który ma Tysiąc Lat - rzecze Madrak.

- Dochowujesz wierności zgasłym potęgom, o Wszechmocny...

- Może. A ty jakie masz wytłumaczenie? Dlaczego chcesz pogłębić swą mądrość aż takim kosztem?

- Mądrość jest celem samym w sobie. Poza tym moje czyny mogą stać się źródłem wspaniałej poezji.

- Jeżeli śmierć ma być źródłem wielkiej poezji, wolę już utwory lżejszego kalibru. A wracając do sprawy, myślę, że Książę powinien być informowany na bieżąco o wszystkim, co się dzieje w Światach Wewnętrznych.

- Wznoszę ten kielich za twą wierność, stary przyjacielu, chociaż moim zdaniem nasz były Pan jest przynajmniej w części odpowiedzialny za obecny galimatias.

- Twe odczucia nie są mi obce.

Poeta sączy trunek i odstawia puchar. Nagle jego oczy zmieniają kolor i stają się jednobarwne, zielone. Białka giną gdzieś, czarne kropki źrenic także i oczy są teraz jak jasne szmaragdy ożywane wewnętrzną iskrą złota.

- Natchniony potęgą maga i czarnoksiężnika – zaczyna – widzę, że już przybył, już jest na Błogorii. Jest tutaj ktoś, kto niesie zamęt. I jeszcze ktoś, przybywa ktoś jeszcze, gdyż słyszę niemy tętent w ciemności i widzę Niewidzialne, które mknie ponad gwiazdami. Wir wydarzeń może nas wessać, nas, którzy pragniemy stać z boku...

- Gdzie?! Jakim sposobem?!

- Tutaj, bo ani to targowisko próżności, ani próżność targowiska.

Madrak pochyla głowę i mówi:

- Amen.

Czarnoksiężnik zgrzyta zębami.

- Naszym przeznaczeniem jest widzieć wszystko – stwierdza, a oczy goreją mu jakimś piekielnym blaskiem.

Zaciska dłonie na czarnej lasce ze srebrnym okuciem, zaciska tak mocno, że bieleją mu kostki u rąk.

...Eunuchowaty kapłan najwyższego wtajemniczenia zapala cienkie woskowe świece przed parą starych butów.

...Pies tarmosi brudną rękawicę, która była świadkiem wielu szczęśliwych stuleci.

...Niewidomi kowale z Nornu kują młoteczkowatymi palcami. Na małym srebrnym, srebrnym kowadełku leży przycięta smuga niebieskiego światła. Lustro ożywa obrazami pustki, która przed nim stoi.

Lustro wisi w pokoju, w którym nigdy nie było mebli. Wisi na pokrytej tkanym obiciem ścianie, przed Czerwoną Wiedźmą i przed jej płomieniami.

Spojrzenie w nie, to zajrzeć w okno komnaty pełnej różowych pajęczym, miotanych gwałtownymi podmuchami wiatru.

Na lewym ramieniu Wiedźmy stoi powierniczek. Nagi ogonek owija szyję i opuszcza się między piersiami czarownicy. Powierniczek merda nim wesoło, kiedy Wiedźma głaszcze go po głowie.

Wiedźma uśmiecha się i lustrzane pajęczyny rozwiewają się stopniowo. Dokoła niej strzelają nagle wysokie języki ognia, chociaż nic się nie pali.

Pajęczyny znikają całkowicie i Wiedźma syci teraz oczy kolorami Błogorii.

Jej uwagę przykuwa wysoki, nagi do pasa mężczyzna, stojący w środku kręgu o średnicy około dziesięciu i pół metra. Krąg otaczają ludzie.

Mężczyzna jest szeroki w barach i wąski w pasie. Stopy ma nie obute, nosi czarne, obcisłe spodnie. Patrzy na ziemię żółtymi oczami. Jego włosy mają barwę piasku, ramiona są niczym powrozy mięśni, a skórę ma jasną. Owinięty szerokim, ciemnym pasem, który szczyrzy się rzędem złowrogich ćwieków, patrzy na innego mężczyznę. Ten drugi usiłuje wstać.

Leżący ma dobrze rozwinięte bary, szeroką pierś i silnie umięśniony brzuch. Wspiera się na jednej ręce, odrzuca głowę do tyłu i patrzy w górę. Jego długa broda ociera się o ramię, wargi drgają, ale zęby pozostają zaciśnięte.

Opasany człowiek unosi stopę i ledwie dostrzegalnym, jakby niedbałym ruchem podcina ramię, na którym tamten się wspiera. Brodacz upada na twarz i już się nie rusza.

Po chwili w obszar kręgu wkracza dwóch tragarzy i wynoszą pokonanego.

- Kto to? - piszczy powierniczek.

Czerwona Wiedźma potrząsa tylko głową i nie odrywa oczu od widowiska.

Na arenę wchodzi jakiś czwororęki. Ma olbrzymie płaskie stopy, które wyglądają jak dodatkowa para wielkich dłoni przyklejonych do krzywych nóg. Jest całkowicie pozbawiony owłosienia i skóra błyszczy mu w słońcu. Zbliża się do triumfatora poprzedniego zwarcia, przysiada w lekkim rozkroku, tak że dolne ręce dotykają trocin. Rozchyła jednocześnie kolana na zewnątrz i wygina się do tyłu w taki sposób, że chociaż tułów wciąż utrzymuje w pionie, jego głowa znajduje się zaledwie metr nad ziemią.

Nagle skacze w przód jak żaba, ale chybia celu. Chwytają go dwie ręce: jedna za kark, druga poniżej pasa. Każda z nich zatacza półobrót i czwororęki wylatuje w powietrze, młynkując rękami, nogami i głową. Wali się na ziemię, natychmiast przykuca, robi głęboko bokami i skacze jeszcze raz.

Wysoki mężczyzna łapie go teraz za kostki u nóg, odwraca głową w dół i trzyma tak w odległości wyciągniętego ramienia od siebie. Czwororęki wygina tułów, chwyta za przeguby, które go zniewalają i uderza bykiem w brzuch przeciwnika. Mężczyzna nie zwalnia jednak uścisku, a na czasce czwororękiego pojawia się krew - nadział się na jeden ze sterczących u pasa ćwieków. Mężczyzna opiera się na piętach i huśta ciałem przeciwnika. Potem zaczyna obracać się szybko, szybciej, coraz prędzej, aż wiruje jak bąk. Mija cała minuta, zanim zwalnia i widać już, że oczy czwororękiego są zamknięte. Mężczyzna kładzie ciało na ziemi, wali się na niego, jego ręce wykonują jakiś szybki ruch i jest po wszystkim. Wstaje.

Po chwili tragarze wynoszą i czwororękiego. Pokonuje trzech jeszcze, łącznie z Willym

Czarnocierniem, Mistrzem Quadropolis z Błogorii, który zwykł walczyć automatycznymi kleszczami. Ludzie biorą bohatera na ramiona, wieńczą girlandami kwiatów, niosą na podium i tam, wręczają mu puchar zwycięstwa oraz czek. Twarz mężczyzny jest nieruchoma. Uśmiecha się po raz pierwszy, gdy jego wzrok pada na Megrę z Kalganu. Megra stoi wśród kibiców, a on wyławia ją z gawiedzi, śledząc dwa ostro zakończone kosmyki włosów splatające się w literę „X” między brwiami. W końcu i ludzie puszczejają go. Nakłada buty i idzie za dziewczyną. Megra tylko na to czeka.

Czerwona Wiedźma czyta z ruchu warg.

- Przebudzenie... - mówi w końcu. - Tłum zwie go Przebudzeńcem...

- A po co go oglądamy?

- Miałam sen i odczytałam go tak: obserwuj miejsce, gdzie pole ulega zakłóceniom. Nawet tutaj, poza Światami Wewnętrznymi, umysł czarownicy znajduje się pod wpływem Mocy. Chociaż nie mogę teraz czerpać z pola, ale jestem w stanie je wytropić.

- Ale dlaczego on? Dlaczego ten Przebudzenie? Dlaczego on jest tutaj?

- To lustro ma jakoś niemej wszechwiedzy - nic nie wyjaśnia, niczego nie tłumaczy. Lecz przyszło to do mnie wraz ze snem, więc pozostaje mi tylko zagłębić się w medytacje i rozwiązać problem.

- On jest silny i bardzo szybki.

- To prawda. Od czasu, kiedy słonecznooki Set ugiął się przed Młotem Gwiazdomiażdżem podczas walki z Tym, Co Nie Ma Imienia, nie widziałam nikogo, kto mógłby się z tym człowiekiem równać. Ani tłum, ani dziewczyna, za którą idzie, nie doceniają Przebudzeńca. On jest kimś znaczniejszym. Popatrz tylko, kiedy silniej rozjaśni obraz lustra, wokół jego postaci zjawia się jakaś ciemna aureola. Nie podoba mi się to. To za jego przyczyną został zakłócony mój sen. Musimy go śledzić, musimy się dowiedzieć, kim jest naprawdę.

- Przebudzenie zabierze dziewczynę na wzgórze - szepcze Powierniczek, wtykając zimny nos w ucho Wiedźmy. - Popatrzymy, dobrze? Popatrzymy!

- Dobrze, obejrzymy to sobie - mówi Wiedźma, a Powierniczek merda ogonkiem i splata przednie łapki na kędzierzawej główce.

Wysoki mężczyzna stoi w środku kręgu otoczonego różanym żywopłotem. Dookoła rosną różnokolorowe kwiaty, stoją ławki, tapczaniki, krzesła, jakiś stół i wysokie, oplecione różami

altanki. Zielony parasol olbrzymiego drzewa osłania ogród przed słońcem. Powietrze jest nasycone zapachami perfum, olejków i dźwiękami muzyki, które zawisają na chwilę w górze, a później wolno się oddalają i rozmywają. Wśród gałęzi igrają blade ogniki światła, a na dole, tuż koło stołu, musuje i skrzy się niewielka fontanna upojenia.

Dziewczyna zamyka za sobą furtkę okoloną żywopłotem. Na zewnątrz zapala się jaskrawy napis: „NIE PRZESZKADZĄĆ”. Dziewczyna podchodzi do mężczyzny.

- Przebudzeniec... - mówi.

- Megra... - odpowiada tamten.

- Czy wiesz, dlaczego cię tutaj zaprosiłam?

- To ogród rozkoszy. Myślę, że poznałem już obyczaje twojej krainy.

Dziewczyna uśmiecha się, zdejmując z piersi przepaskę, wiesza ją na gałązce i kładzie ręce na ramionach Przebudzenia. Ten chce ją przytulić, ale nie daje rady.

- Silna jesteś, maleńka.

- Zaprosiłam cię tutaj na zapasy.

Mężczyzna zerka na niebieski tapczan, potem znowu na dziewczynę i uśmiecha się nieznacznie.

Megra potrząsa głową na znak odmowy.

- To nie jest tak, jak myślisz. Najpierw musisz mnie pokonać w walce. Nie chcę zadawać się z przeciętniakiem, któremu mogłabym niechcący złamać kark. Nie szukam też słabeusza, który zmęczyłby się po godzinie czy po trzech. Chcę mężczyzny o niewyczerpanej sile, o sile płynącej nieustannie jak wartka rzeka. Czy ty, Przebudzeniec, jesteś takim mężczyzną?

- Widziałas jak walczę.

- I co z tego? Jestem silniejsza od wszystkich mężczyzn, których kiedykolwiek poznałam. Widzisz? Nawet w tej chwili, gdy napierasz, żeby mnie przytulić, nic ci z tego nie wychodzi.

- Nie chcę zrobić ci krzywdy, maleńka.

Megra śmieje się i wyrывa z uścisku, opierając jednocześnie rękę Przebudzenia o swoje ramię. Łapie go za udo chwytem kata-garuma, będącym odmianą nage-waza i rzuca daleko na drugi koniec ogrodu.

Mężczyzna podnosi się i odwraca twarzą do Megry. Potem ściąga przez głowę białą niegdys koszulę i wiesza ją wysoko na gałęzi ogromnego drzewa. Megra zbliża się i zatrzymuje tuż przed nim.

- A teraz będziesz ze mną walczył?

W odpowiedzi Przebudzeniec zrywa różę z krat altanki i wręcza ją dziewczynie.

Megra zaciska dłonie w pięści, cofa daleko łokcie i nagle gwałtownie wyrzuca ramiona do przodu. Pięści skręcają się w podwójnym ciosie, który ląduje na jego brzuchu.

- Rozumiem, że nie chcesz mojego kwiatka - sapie Przebudzeniec, upuszczając różę na ziemię.

Oczy dziewczyny miotają niebieskie błyskawice. Depcze i zgniata kwiat.

- A teraz? Będziesz ze mną walczył?

- Dobrze - odpowiada mężczyzna - nauczę cię chwytu, który nazywają „pocałunkiem”.

Obejmuje ją potężnym uściskiem, przygniata do piersi, a jego usta odnajdują wargi dziewczyny.

Megra wykręca głowę na boki, ale on wyprostowuje się i podnosi dziewczynę do góry. Uścisk jest tak mocny, że Megra nie może ani oddychać, ani uwolnić się z objęć. Pocałunek trwa długo i dziewczyna traci siły, a wtenczas Przebudzeniec niesie ją do łóża i tam układa.

A potem są już tylko różę i różyczki, muzyka i blade światelka, i kwiat zdeptany na ziemi.

Czerwona Wiedźma cichutko płacze.

Powierniczek nic z tego nie rozumie.

Szybko jednak pojmie wszystko.

Lustro wypełnia się zbliżeniem mężczyzny na kobiecie i kobiety dzięki mężczyźnie.

Wczuwają się w rytm życia Błogorii...

W DOMU ŻYCIA - INTERLUDIUM

Ozyrys siedzi w Domu Życia, pijąc czerwone wino. Wkoło unosi się ciepła, zielonkawa poświata i wszystko jest lekko zamglone. Ozyrys siedzi w Komnacie Stu Arrasów. Nie widać tutaj ścian, gdyż są całkowicie zakryte tkaninami. Posadzkę wyściela gruby, miękki dywan w kolorze złota.

Ozyrys odstawia pusty kielich i wstaje. Przeciąwszy komnatę, zatrzymuje się przed zielonym arrasem. Podnosi go i wchodzi do kabiny, którą arras maskuje. Dotyka trzech płytek sterowania kierunkowego umieszczonych w ścianie, rozsuwa tkaninę i wkracza do izby położonej na głębokości dwóch tysięcy siedmiuset czterdziestu ośmiu metrów, pięćset pięćdziesiąt sześć kilometrów na południowy zachód od Komnaty Stu Arrasów.

W izbie, do której wchodzi, panuje półmrok, ale i tutaj wydziela się skądś ta sama zielonkawociepła poświata.

Człowiek siedzący ze skrzyżowanymi nogami na podłodze; ubrany jest tylko w czerwoną przepaskę na biodrach i zdaje się nie zauważać Ozyrysa. Jest odwrócony do niego tyłem i nie porusza się. Ma konwencjonalnie ukształtowane, raczej szczupłe ciało i mięśnie jak u pływaka. Jego włosy są gęste i bardzo ciemne, ale nie czarne. Ma jasną skórę. Tkwi pochylony do przodu i wydaje się, że nie oddycha.

Nagle zjawia się ktoś jeszcze. Siedzi naprzeciwko niego, w identycznej pozycji, identycznie ubrany. Kolor skóry, włosy, umięśnienie - wszystko jest identyczne, bo ten, który się niespodziewanie zjawiał, jest tym samym człowiekiem, który siedzi odwrócony plecami do Ozyrysa. Wpatruje się w małą kulę żółtego kryształu, potem odrywa od niej ciemne oczy i spogląda w górę. Przed sobą widzi ptasią głowę Ozyrysa mieniającą się barwami pomarańczy, zieleni, złota i czerni. Żrenice mu się rozszerzają i mówi:

- Znów mi się udało.

W tym momencie ten, który siedział przed nim, znika. Mężczyzna bierze kryształ, umieszcza go w płóciennym woreczku, zaciska rzemień i wiesza u pasa. Później wstaje.

- Dziesięć sekund czasoportacji - oświadcza.

- Twój rekord ? - zapytuje Ozyrys, a jego głos brzmi jak dźwięk uszkodzonej płyty gramofonowej wirującej na przyspieszonych obrotach.

- Tak, ojcze.

- Czy doszedłeś już do perfekcji?

- Nie, ojcze.

- A jak długo jeszcze?

- Któż to wie... Iszibaka twierdzi, że może za trzysta lat...

- I wtedy będziesz mistrzem?

- Nie sposób tego przewidzieć. We wszystkich Światach jest mniej niż trzydziestu mistrzów. Potrzebowałem dwustu lat, żeby osiągnąć to, co osiągnąłem, a od pierwszej udanej transformacji minęło zaledwie kilka miesięcy. Jasne, że kiedy już dojdę do wprawy, moc zacznie sama wzrastać, ale...

Ozyrys kiwa głową i zbliża się do syna. Kładzie mu rękę na ramieniu.

- Horusie, synu mój i mścicielu, chciałbym, żebyś coś dla mnie zrobił. Oczywiście dobrze by było, gdybyś został mistrzem czasoprzestrzeni, jakkolwiek nie jest to absolutnie niezbędne. Moc, którą posiadasz, powinna okazać się wystarczająca do zadania, jakie ci wyznaczyłem.

- Cóż mam uczynić, ojcze?

- Twoja matka, chcąc odzyskać moje względy i wrócić z banicji, znowu dostarczyła mi wiadomości na temat poczynąń mojego kolegi po fachu. Wynika z nich, że Anubis wysłał kolejnego emisariusza do Światów Wewnętrznych, bez wątpienia po to, żeby odnalazł i zabił mojego odwiecznego wroga.

- To chyba dobra wiadomość, prawda? Jeżeli mu się uda... Ale mam wątpliwości, bo przecież ilekroć próbował, zawsze doznawał porażki. Ilu to już wysłał? Pięciu czy sześciu?

- Sześciu. Ten jest siódmy. Nazwał go Przebudzeńcem.

- Przebudzeńcem?

- Tak, a ta suka twierdzi, że z niego prawdziwy artysta.

- Tak? W jakim sensie?

- Cóż, całkiem możliwe, że ten szakal poświęcił tysiąc lat, żeby przysposobić go do zadania. Walecznością może dorównywać samemu Madrakowi... I jeszcze coś. Przebudzeniec nosi jakiś znak, którego nie miał żaden z jego poprzedników. Wydaje mi się, że on potrafi czerpać energię bezpośrednio z pola.

- Ciekawe, skąd go Anubis wytrzasnął? - pyta z uśmiechem Horus.

- Zapewne przestudiował wszystkie sztuczki, jakie nieśmiertelni stosują w walce przeciwko nam.

- Więc czegoś pragniesz, ojcze? Chcesz, żebym pomógł mu zniszczyć twego wroga?

- Nie. Doszedłem do wniosku, że ten z nas, któremu uda się obalić Księcia, zdobędzie poparcie jego upadłych Aniołów. Pełno ich wśród nieśmiertelnych, a inni podążą za nimi. Ci, którzy będą się opierali, na pewno znajdą się w Domu Śmierci, w rękach swych własnych towarzyszy. To odpowiednia chwila, synu, bo nikt już nie pamięta o dawnych przymierzach. Jestem pewien, że wieść o nowym, ogarniającym wszystkie Światy związku będzie przyjęta z zadowoleniem, gdyż układ taki położy kres ich tułaczemu życiu. A z poparciem nieśmiertelnych, mój synu, jeden Dom może uzyskać przewagę nad drugim...

- Rozumiem, co masz na myśli, ojczu. Obyś miał rację. Chcesz, bym odnalazł Księcia, Który Ma Tysiąc Lat, nim znajdzie go Przebudzeniec i żeby go zniszczył w imieniu Życia, czy tak?

- Tak, mój mścicielu. Podołasz temu?

- Dziwię się, że pytasz, znając moje możliwości, ojczu.

- Księżę będzie trudnym przeciwnikiem, synu. Jego mocy nikt jeszcze w pełni nie zgłębił i nie umiem ci nawet powiedzieć, jak on wygląda ani gdzie przebywa.

- Znajdę go i skończę z nim. Ale może lepiej zabić najpierw tego Przebudzeńca, zanim rozpocznę wędrówkę?

- Nie! On jest teraz na Błogorii, gdzie powinna już wybuchnąć zaraza! Nie zbliżaj się do niego, Horusie! Nie szukaj z nim zwady, chyba że tak rozkażę. A zanim ci na to pozwolę, muszę dowiedzieć się, kim on był za życia. Mam co do tego Przebudzeńca jakieś dziwne przeczucia...

- Dlaczego, wszechpotężny ojczu? Cóż to ma za znaczenie? To pamięć dni zgasłych, nim nastaly dni twoje, synu, dni, których czas nigdy nie zabierze... I nie pytaj już o nic więcej.

- Dobrze, ojczu.

- Ta suka, twoja matka, błagała mnie, żebym wyjawiał przed nią me zamiary wobec Księcia. Gdybyś ją spotkał gdzieś w podróży, nie ulegnij czasem jej prośbom o litość. Księżę musi umrzeć.

- Ona pragnie go ocalić?

- Tak, lubi go. Dała nam znać o Przebudzeńcu tylko po to, by uratować przed nim Księcia. Wymyśli najpotworniejsze kłamstwa, żeby dopiąć swego. Pamiętaj, nie daj się jej zwieść, synu.

- Nie uda się jej, ojczu.

- A więc idź, Horusie, mój mścicielu i synu, pierwszy wysłanniku Ozyrysa do Światów Wewnętrznych.

Horus pochyla głowę, a Ozyrys kładzie na niej dłoń w chwili wzruszenia.

- On jest już trupem, ojcie - mówi Horus - bo czyż to nie ja zniszczyłem samego Stalowego Generała?

Ozyrys nie odpowiada, gdyż on także zniszczył niegdyś Stalowego Generała.

CIEŃ CZARNEGO KONIA

W Sali Tronowej Domu Śmierci, na ścianie, za tronem Anubisa, pojawia się olbrzymich rozmiarów cień. Mógłby on z powodzeniem uchodzić za nakładaną lub wymalowaną dekorację, gdyby nie fakt, że jego czerń jest absolutna i zdaje się zawierać w sobie coś z bezdennej głębi. Poza tym, lekko faluje.

Jest to cień monstrualnego konia. Migotliwe światło płomieni buchających z czar po obu stronach tronu ani odrobinę nie zmienia jego kształtu.

W Sali nie ma niczego, co mogłoby rzucić taki cień, lecz gdyby ściany użyły ci swych uszu, doszedłby cię szmer oddechu. Za każdym głośniejszym wydechem płomienie odchylają się, a później znów strzelają w górę.

Cień wędruje teraz po Sali, a następnie wraca i spoczywa na tronie, wymazując go zupełnie sprzed twych oczu, gdybyś takowe miał tam, w Domu Śmierci.

Porusza się bezszelestnie i kiedy się tak snuje, zmienia kształt i rozmiary. Widać zarys grzywy, ogona i czterech podkutych nóg.

Nagle znowu słychać dyszenie, tym razem jakby potężnych miechów organowych w kościele.

Cień staje dęba, prostuje się jak człowiek, a jego przednie nogi tworzą na tronie coś na kształt ukośnego krzyża.

Z oddali dochodzi ogłos kroków.

Kiedy Anubis wkracza do Sali, komnatą szarpie gwałtowna wichura, która przechodzi w końcu w zduszone parsknięcie.

Potem nastaje cisza. Anubis spogląda na cień za krzesłem tronu.

ZMIANY W POLU MOCY

Posłuchaj teraz odgłosów z Błogarii. Nad Targowiskiem Życia unoszą się okrzyki przerażenia.

W namiocie dla gości ktoś znalazł rozdętego trupa. Kiedyś człowiek, obecnie pocętkowany krostami zewłok, zdążył już rozpęknąć w kilku miejscach i sączy ropę, która ścieka na ziemię. Cuchnie i dlatego dokonano odkrycia.

Zewłok przeraża jakąś dziewczynę. Dziewczyna krzyczy. Krzyk dziewczyny sprowadza tłum gapiów.

Widzisz, jak kłębią się dookoła? Słyszysz, jak zadają pytania, na które nie umieją sobie odpowiedzieć?

Już zapomnieli, jak zachowywać się w obliczu śmierci.

Wielu z nich już wkrótce sobie przypomni.

Megra z Kalganu przepycha się przez zbiegowisko.

- Jestem pielęgniarzką! - woła.

Ludzie są zdumieni, bo pielęgniarzki zajmują się dziećmi, a nie śmierdzącymi zwłokami.

Wysoki mężczyzna, który jej towarzyszy, nie odzywa się. Idzie przez tłum, tak jakby tam wcale nie było tłumu.

Niski człowieczek w słomkowym kapeluszu zdążył już odgrodzić namiot linami i zaczyna sprzedawać bilety gapiom, którzy przechodzą gęsiego obok trupa. Megra prosi swego towarzysza, a jest nim Przebudzeniec, żeby powstrzymał tamtego. Przebudzeniec rozszarpuje liny i wyrzuca człowieka z namiotu.

- On nie żyje - stwierdza Megra, patrząc na ciało.

- Z pewnością - zgadza się Przebudzeniec, który spędziwszy tysiąc lat w Domu Śmierci, potrafi natychmiast rozpoznać zwłoki. - Przykryjmy go prześcieradłem.

- Nie znam żadnej choroby, która powoduje takie objawy.

- W takim razie to jakaś nowa choroba.

- Trzeba coś zrobić. Jeżeli to zaraźliwe, może wybuchnąć epidemia.

- I wybuchnie - mówi Przebudzeniec. - Ludzie będą szybko umierać, bo zaraza prędko się rozprzestrzeni. Na Błogarii są takie tłumy, że nic nie zdoła temu zapobiec. Nawet jeżeli w ciągu kilku dni wynajdą szczepionkę, ludność zostanie zdziesiątkowana.

- Musimy odizolować zwłoki i odesłać je w jakiś sposób do najbliższego Centrum Położniczego.

- Jeżeli tego sobie życzysz...

- Jak możesz być tak obojętny w obliczu tragedii?!

- Śmierć nie jest tragiczna. Może trochę wzruszająca, ale nie tragiczna. No, przykryjmy to prześcieradłem.

Megra policzkuje go tak mocno, że odgłos uderzenia niesie się po całym namiocie. Odwraca się plecami do Przebudzeńca i szuka wzrokiem kręgofonu na ścianie. Kiedy robi krok w tamtą stronę, jakiś ubrany na czarno jednooki zatrzymuje ją i mówi:

- Już zadzwoniłem do najbliższego Centrum. Aerobulans jest w drodze.

- Dziękuję, ojczulku. Czy usuniesz stąd tych ludzi? Może ciebie będą skłonni posłuchać.

Jednooki kiwa głową. Przebudzeniec przykrywa zwłoki. Podczas gdy zakonnik nawołuje tłum do rozejścia się, Megra ponownie zwraca się do swego towarzysza.

- Jak możesz traktować śmierć tak lekko? - pyta.

Zbiegowisko rozprasza się posłuszne słowom i lasce jednookiego.

- Bo się zdarza - odpowiada Przebudzeniec - bo jest nieunikniona. Nie przywdziewam żałoby, kiedy liść spadnie z drzewa lub gdy załamuje się fala. Nie współczuję spadającej gwieździe, kiedy rozpala się w atmosferze. Dlaczego miałbym to robić?

- Ale te rzeczy są martwe!

- Tak samo jak ludzie, którzy przychodzą do Domu Śmierci. A wszyscy tam kończą.

- Tak było dawno temu. Już od wielu stuleci nikt z Błogorii nie odszedł do Domu Śmierci. To tragiczne, jeżeli czyjeś życie dobiega kresu.

- Życie i śmierć wcale się tak od siebie nie różnią.

- Jesteś zboczeńcem! Masz odchylenia od norm społecznych! - krzyczy dziewczyna i znowu wymierza mu cios.

- To obelga czy diagnoza? - zapytuje Przebudzeniec.

Wtem słyhać krzyki dochodzące z innej części Targowiska.

- Musimy tam natychmiast iść - mówi dziewczyna odwracając się do drzwi.

- Nie! - Przebudzeniec chwyta ją za nadgarstek.

- Puszczaj! Puść mnie!

- Obawiam się, że tego nie zrobię. Byłoby bezcelowe gdybyś miała biegać do wszystkich zwłok, które tu znajdują. Wystawisz się tylko na działanie zarazków i tyle. A ja nie chcę stracić takiej kochanki jak ty. W dodatku tak szybko. Zabiorę cię z powrotem do ogrodu i poczekamy, aż to się

skończy. Tam jest jedzenie, picie, zapalimy naszą wywieszkę „NIE PRZESZKADZAĆ” i...

- ... i pofoglujemy sobie, podczas gdy wkoło umiera świat, co?! Jesteś bez serca!

- Nie chcesz więc przyczynić się do powstania nowego życia, które wypełniłoby choć maleńką lukę po żniwie śmierci?

Megra uderza Przebudzeńca wolną ręką, rzucając go na kolana. Przebudzeniec zasłania się ramieniem.

- Puszczaj! - krzyczy dziewczyna.

- Pozwól pani odejść, jeżeli tego sobie życzy.

Oprócz nich w namiocie są jeszcze dwie osoby. Ten, który wypowiedział powyższe słowa to rycerz zakonny, Madrak. Obok niego stoi zielony czarnoksiężnik znany ludziom jako Vramin. Obaj pozostali, kiedy rozproszyło się zbiegowisko.

Przebudzeniec wstaje i zwraca się do nich.

- Kim jesteście? - pyta. - Kim jesteście, że wydajecie mi rozkazy?

- Ja jestem znany jako Madrak, a niektórzy zwań mnie również Wszechwładnym.

- Nic mi to nie mówi. Nie masz prawa mi rozkazywać. Odejdź stąd. Chwyta Megrę za nadgarstek wolnej ręki, chwilę się szamoczą, po czym Przebudzeniec podnosi dziewczynę do góry i obejmuje ramionami.

- Ostrzegam cię, uwolnij tę kobietę - mówi Madrak i wysuwa przed siebie łaskę.

- Zejdź mi z drogi!

- Zanim uczynisz cokolwiek, muszę cię ostrzec, że należę do nieśmiertelnych i że moc, którą posiadam, jest wysławiana we wszystkich Światach Wewnętrznych. To ja zabiłem centaura Dargota, obróciłem w ruinę i odesłałem do Domu Śmierci. Dziś jeszcze śpiewają pieśń i o tej walce, co trwała cały dzień, całą noc i jeszcze jeden dzień.

Przebudzeniec stawia Megrę na ziemi i zwalnia uścisk.

- To rzeczywiście zmienia postać rzeczy, Madraku. Dziewczyną zajmę się za chwilę. Powiedz mi teraz, czy występujesz przeciwko mocom Domu Śmierci i Domu Życia?

Madrak żuje przez chwilę brodę.

- Tak - odpowiada w końcu. - A tobie co do tego?

- To, że zaraz pozbawię życia ciebie i twego przyjaciela, jeżeli i on należy do dwustu osiemdziesięciu trzech nieśmiertelnych. Czarnoksiężnik uśmiecha się i skłania głowę. Megra wybiega z namiotu.

- Panienska ci uciekła - zauważa Vramin.

- Na to wygląda, ale zdążę ją jeszcze odzyskać - powiada Przebudzeniec.

Podnosi lewą rękę i zbliża się do Madraka. Laska Madraka zaczyna się obracać. Obraca się tak szybko, że jest prawie niewidoczna i wtedy uderza. Przebudzeniec uchyla się od pierwszego ciosu i próbuje za nią chwycić. Nie udaje się i następny cios trafia go w ramię. Ponawia natarcie, ale wstrzymuje go poprzeczne uderzenie w pierś. Cofa się i gotuje do skoku poza zasięgiem broni Madraka. Zaczyna krążyć wkoło przeciwnika, nie odrywając nóg od ziemi.

- Jak to się dzieje, że jeszcze stoisz? - pyta z boku Vramin, ćmiąc papierosa.

- Nie można mnie powalić - odpowiada Przebudzeniec i rzuca się do przodu.

Kij Madraka zmusza go do odwrotu.

Madrak również atakuje, lecz przeciwnik za każdym razem unika ciosów i usiłuje wyrwać mu laskę. W końcu Przebudzeniec przerywa walkę i cofa się o kilka kroków.

- Dość tej zabawy! - woła. - Czas ucieka, a chcę odzyskać moją dziewczynę. Dobrze ci idzie z tą laską, grubasku, ale teraz nic ci już nie pomoże! - Skłania lekko głowę i znika z miejsca, w którym przed chwilą jeszcze stał.

Madrak leży na ziemi, a przed nim wala się złamana laska.

Przebudzeniec zjawia się tuż obok. Rękę ma uniesioną do góry, jakby odzyskiwał równowagę po otrzymanym ciosie.

Poeta odrzuca papierosa, a jego różdżka ożywa nagle, rysując dookoła kręgi zielonych ogni.

Przebudzeniec odwraca się, by stawić mu czoła.

- Czasoportacja! - woła Vramin. - W dodatku z wyprzedzeniem! Prawdziwy mistrz z ciebie! Kimże jesteś?

- Zwą mnie Przebudzeńcem.

- W jaki sposób poznałeś dokładną liczbę nieśmiertelnych, których jest dwustu osiemdziesięciu trzech?

- Co wiem to moje, a te płomienie cię nie uratują.

- Może tak, może nie, Przebudzeńcze. Ale ja nie występuję przeciwko mocom Domu Życia i Domu Śmierci.

- Należysz do nieśmiertelnych. Już sam fakt, że istniejesz, zaprzecza twoim słowom.

- Z reguły jestem zbyt leniwy, żeby występować przeciwko cemukolwiek, ale moje życie to inna sprawa - mówi Vramin, a jego oczy rzucają zielone błyski.

- Nim spróbujesz użyć mocy swej przeciwko mnie, wiedz, że jest już za późno.

- Unosi różdżkę. - Ten kundel cię nasłał albo ptaszydło. Który z nich - nie ma znaczenia. - Zielonkawa fontanna ognia tryska w górę i pochłania namiot.

- Jesteś kimś znaczniejszym, siejesz nie tylko zarazę! Zbyt posażnyś w moce! Tyś emisariusz! - Namiot znika i stoją teraz na otwartej przestrzeni, na środku Targowiska. - Wiedz, że przed tobą byli tu inni i żadnemu się nie udało.

- Z różdżki strzela zielony płomień i jak raca mknie łukiem po niebie. - Dwóch ugięło się przed tym, który oto nadchodzi! - Pulsowanie światła nad ich głowami nie ustaje. - Przyjrzyj się mu, przyjrzyj się temu, który nawiedza piekła chaosu, którego stalowe ramiona wspomagają biednych i ciemionych!

- Nadchodzi, szybuje po niebie, dosiada olbrzymiego rumaka z błyszczącego metalu. Rumak ma osiem nóg i brylantowe podkowy. Z każdym krokiem porusza się wolniej, każdy następny krok pokonuje coraz to mniejszą i mniejszą odległość. - Zwią go Stalowym Generałem, Przebudzeńce i on także jest mistrzem czasoportacji. Przychodzi tu posłuszny światłu mej różdżki. Przebudzeniec kieruje wzrok do góry i spogląda na tego, który był niegdyś człowiekiem. Czy to dzięki czarom Vramina, czy też dzięki własnym przeczuciom wie, że za chwilę rozpocznie swój pierwszy prawdziwy bój. Bój, jakiego nie stoczył nigdy przedtem, jak daleko tylko sięga tysiącletnią pamięcią.

Zielone ogniki spadają teraz na Madraka, a ten porusza się i wstaje z jękiem.

Osiem brylantów styka się z ziemią i Przebudzeniec słyszy daleki brzęk banjo.

Czerwona Wiedźma wzywa swój Dekawan i decyduje się na złoty płaszcz. Dzisiaj poszybuje po niebie do Kręgu, do Światów Wewnętrznych. Dzisiaj poszybuje po niebie, by zaszaleć...

Tam, w światach Życia i Śmierci, w światach, gdzie niegdyś bawiła.

Jedni twierdzą, że na imię ma Dobroć, inni mówią, że miano jej Chuć. W sekrecie tajemnym Izydą woli się zwać, prochu duszy jej niczym nie da się skuć.

...Eunuchowaty kapłan najwyższego wtajemniczenia zapala cienkie, woskowe świece przed parą starych butów.

...Pies tarmosi brudną rękawicę, która była świadkiem wielu szczęśliwszych stuleci.

...Niewidomi kowale z Nornu kują młoteczkowatymi palcami. Na metalu leży przycięta smuga niebieskiego światła.

TAM, DOKĄD SERCE WIEDZIE

Książę, Który Ma Tysiąc Lat spaceruje nad i pod morzem. Jedyna inteligentna istota zamieszkująca świat, który Książę przemierza, nie jest pewna, czy on go stworzył, czy też odkrył. Dzieje się tak dlatego, że nigdy nie można być pewnym czy mądrość kreuje, czy tylko umiejscawia. A Książę jest mądry.

Chodzi po plaży. Ślady jego stóp zaczynają się siedem kroków za nim. Wysoko nad głową zalega morze.

Morze zalega wysoko, nad jego głową, dlatego że nie ma po prostu innego wyjścia. Świat, w którym Książę przebywa, jest tak zbudowany, że gdyby ktoś miał dotrzeć tutaj z jakiegokolwiek kierunku, zdawałoby się mu, iż jest światem całkowicie pozbawionym masywów lądowych. A gdyby ktoś zdołał zanurzyć się wystarczająco głęboko w otchłań światów otaczającą, wynurzyłby się z drugiej strony wód i znów otoczyłaby go atmosfera planety. Gdyby natomiast zejść jeszcze głębiej, dotrze się do suchego lądu. Jeśliby z kolei przemierzyć ten ląd, napotka się tu i inne masy wodne, wodę otoczoną brzegami, wodę pod morzem zawieszonym na niebie.

To wielkie morze przelewa się na wysokości ponad trzech tysięcy metrów. Po jego dnie, niczym wędrujące konstelacje gwiazd, suną gromady jasných ryb. A poniżej, na brzegu, wszystko tonie w mglistej poświacie.

Powiadają, że taki nie nazwany świat z morzem zamiast nieba nie może istnieć. Jakże się mylą ci, którzy tak gadają. Niechaj tylko wyobrażą sobie nieskończoność, a reszta będzie prosta.

Książę, Który Ma Tysiąc Lat zajmuje wyjątkową pozycję. Jest, między innymi, teleportatą, a rzecz to jeszcze rzadsza niż mistrz czasoportacji. A tak w ogóle jest Księciem jedynym w swoim rodzaju. Umie natychmiast przenieść się do każdego miejsca, jakie tylko potrafi sobie wyobrazić i nie potrzebuje na to ani sekundy czasu.

A ma Książę niezwykle bujną wyobraźnię. Jeśli założymy, że dowolne, jakie tylko można sobie wymyśleć, miejsce istnieje gdzieś w nieskończoności i że Książę pomyśli akurat o takim właśnie miejscu, to będzie w stanie je odwiedzić. Skoro już o tym mowa, niektórzy teoretycy utrzymują, że fakt, iż Książę potrafi wyobrazić sobie jakieś miejsce i przenieść się doń siłą woli jest właściwie aktem stworzenia. Jeśli bowiem Książę umie odszukać dowolne miejsce, o istnieniu którego nikt nic przedtem nie wiedział, może więc to odszukanie jest niczym innym, jak tylko stworzeniem tegoż miejsca? Cóż, wyobraźmy sobie nieskończoność - reszta będzie prosta.

Książę nie ma zielonego pojęcia, pojęcia najbledszego z bladych odcieni zieloności, gdzie leży ów bezimienny świat. To znaczy, gdzie leży względem reszty wszechświata. Książę ma to zresztą gdzieś. Może pojawić się tu i zniknąć, kiedy tylko zechce i do tego może jeszcze zabrać z sobą kogo tylko zażyczy.

Przybył jednak sam, gdyż pragnie odwiedzić żonę.

Stoi teraz nad morzem i pod morzem, wołając jej imię - Nefyta. Potem czeka, aż znad wód nadejdzie łagodny podmuch wiatru, aż go obejmie i wyszepta imię, które jest jego imieniem.

Pochyla wówczas głowę i czuje, że ona jest już z nim.

- Jak ci się powodzi, ukochana? - pyta Książę.

Dobiega go cichy szloch, przerywany monotonnym szumem łamiących się fal.

- Dobrze - odpowiada głos. - A tobie, mój Panie?

- Prawdę powiem raczej niż grzecznością skłamię - kiepsko.

- Ono wciąż krzyczy nocą?

- Tak...

- Myślałam o tobie, Panie, kiedym się tu snuła, kiedym szybowała. Ptaki żem płoszyła, towarzystwa w powietrzu spragniona, lecz krzyk ich dla ucha przykry i smutny. Cóż mam ci rzec, ukochany, grzecznością kłamię? Mamli ci wyznać, żem istnieniem, które życiem nie jest, nie schorowana? Iż mię tęsknota nie nęka, by miast tchnieniem i tęczą, lubo ruchem jeno, na powrót miała stać się kobietą? Czyż mówić ci, Panie, iżem od bólu wolna, gdy ni dotknąć cię nie mogę, ni twej dłoni poczuć na mem ciele? Wszak ty o tem wiesz, lecz nawet bogowie nie są wszechmocni. Skarg wznosić nie powinnam, ale mię strach zjada, strach przed szaleństwem, Panie, co nierzadko przychodzi: nigdy już nie zasnąć, nigdy strawy nie skosztować, nigdy niczego nie dotknąć... Ileż to lat minęło, ukochany?

- Wieki całe...

- Wiem, niewiasty wylewają żale przed swymi mężami. Błagam, przebacz mi to, lecz przed kimż mam łzy ronić jak nie przed tobą, Panie?

- Pojmuję, co czujesz, ukochana Chmurko. Gdybym tylko umiał oblec cię w ciało! Jam też samotny, a wiesz, żem próbował...

- Tak, mój Panie. Kiedy poskromisz To, Co Krzyczy Nocą, ukarzeszli Ozyrysa i Anubisa?

- Z pewnością.

- Proszę, nie pozbawiaj ich życia od razu, jeśli ulżyć mi zechcą. Obiecay choć cień łaski, oby mi

tylko ciebie, Panie, oddali.

- Zobaczymy...

- Takam samotna... Gdybym tak mogła stąd odejść...

- Tylko miejsce wodami otoczone życie ci daje. Potrzeba ci świata całego, byś istnieć mogła.

- Wiem, wiem...

- Gdyby Ozyrys nie obstawał był przy zemście tak szaleńczo, sprawy mogłyby przybrać inny obrót. Lecz obstawał, jak wiesz i muszę go uśmiercić, kiedy tylko rozprawię się z Tym, Co Nie Ma Imienia.

- Pojmuję to i zgadzam się z tobą, mężu. Lecz co z Anubisem?

- Nastawa na mnie od czasu do czasu, ale to bez znaczenia. Jemu być może wybaczę. Temu Aniołowi o łbie ptaka nie przebaczę nigdy.

Książę, Który Był Niegdyś Królem (między innymi) siada na kamieniu i spogląda na wodę. Później patrzy w górę, na dno morza. Snują się tam leniwe gromady światełek, a szczyty okolicznych gór sięgają hen, wysoko, do najgłębszych głębin. Światełka rzucają blade promienie. Promienie rozpraszają się i zdawać się może, że dochodzą tu zewsząd. Książę rzuca płaskim kamieniem tak, że kamień odbija się od powierzchni wody, skacze i nie wraca.

- Panie mój, opowiedz mi raz jeszcze o dniach, kiedy toczyłeś bitwę - odzywa się głos. - Opowiedz, jak tysiąc lat wstecz poległ ten, który był twym synem i twym ojcem, najmężniejszy rycerz sześciu ras człowieczych. Poległ w obronie ludzi.

Książę milczy, wpatrując się w horyzont.

- Po co? - pyta.

- Ponieważ ilekroć mi o tym opowiadałeś, zawsze podniecało cię to do nowych czynów...

- Zakończonych nowymi porażkami - kończy za nią Książę.

- Opowiedz - naciska.

Książę wzdycha, a niebo, w którym pływają ławice jasnych ryb z przeźroczystymi brzuchami, faluje nad nim z łoskotem. Książę wyciąga rękę i płaski kamień wraca do niego z morza, wskakując prosto w otwartą dłoń. Książę zaczyna mówić. Wiatr pieści go i owiewa powracającym tchnieniem.

ANIOL DOMU OGNI

Anubis patrzy w górę i widzi śmierć.

Śmierć ma kształt czarnego konia, ale nigdzie nie widać rumaka, który mógłby taki cień rzucić.

Anubis gapi się nań, ściskając berło obiema rękami.

- Bądź pozdrowiony, Anubisie, Aniele Domu Śmierci! - woła głos wibrujący, śpiewny i głęboki.

Echo niesie się przez Salę Tronową.

- Bądź pozdrowiony. Panie Domu Ognia, który już nie istnieje - odpowiada cicho Anubis.

- Trochę się tutaj zmieniło...

- Upłynęło sporo czasu - mówi Anubis.

- Owszem, sporo.

- Czy mogę spytać, jaki stan twego zdrowia, Panie?

- Niczego sobie, w normie, rzecz jasna.

- A czy mogę spytać, co cię tu sprowadza?

- Możesz.

Na chwilę zapada milczenie.

- Myślałem, że zginąłeś - powiada Anubis.

- Wiem o tym.

- Ciesz się, że jakoś przeżyłeś ten śmiertelny cios.

- Mnie też. Potrzebowałem wielu stuleci, żeby tu wrócić z miejsca, gdzie rzuciło mnie to szaleńcze użycie Młota w bitwie. Tuż przedtem zanim Ozyrys zadał cios, który miażdży gwiazdy, wycofałem się tam, gdzie znana wam przestrzeń nie sięga. Odrzuciło mnie jednak dalej niż zakładałem, w krainy, co krainami nie są.

- I co robiłeś przez ten czas?

- Wracalem.

- Spośród wszystkich bogów tylko ty, Tyfonie, umiesz przetrwać tak straszliwe pożogi.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Set Destruktor, ojciec twój, poległ w bitwie.

- Iiiiiiiii...!!!

Anubis zatyka uszy, zamyka oczy, a berło wali się na ziemię. Krzyk dźwięczący w Sali rozdziera duszę, jest na pół ludzki, na pół zwierzęcy i chociaż Anubis słyszy teraz niewiele, nawet to, co

słyszysz, sprawia mu ból.

Po pewnym czasie zalega przeraźliwa cisza. Anubis otwiera oczy i opuszcza ręce. Cień jest nieco mniejszy, jakby bliższy.

- Rozumiem, że To, Co Nie Ma Imienia też zginęło w walce.

- Tego nie wiem.

- A co dzieje się z twym panem? Co z Totem?

- Abdykował z tronu władcy Życia i Śmierci i odszedł gdzieś poza Światy Wewnętrzne.

- Trudno w to uwierzyć!

Anubis wzrusza ramionami.

- To pewne jak życie życiem, a śmierć śmiercią.

- Dlaczego miałby to zrobić?

- Nie mam pojęcia.

- Chcę odwiedzić Tota. Gdzie go można znaleźć?

- Nie wiem.

- Niezbyt jesteś pomocny, Aniele. Powiedz mi zatem, kto tu teraz wszystkim dysponuje pod nieobecność mego brata a twego pana?

- Nie rozumiem, co masz na myśli.

- Daj spokój, psi pysku! Żyjesz wystarczająco długo, żeby zrozumieć proste pytanie! Kto steruje polami Mocy?!

- Dom Życia i Dom Śmierci, rzecz jasna.

- No proszę, „rzecz jasna”! A któż to obecnie zasiada w Domu Życia, co?

- Ozyrys, naturalnie.

- Aha...

Cień cofa się i powiększa.

- Psi pysku - woła Tyfon, cień nieokiełznanego rumaka - czuję tu spisek! Ale ja nigdy nie zabijam na podstawie samych podejrzeń. Czuję jednak, że nie wszystko tu gra. Mój ojciec nie żyje i może będę musiał go pomścić. Jeżeli skrzywdzono też mojego brata, krew poleje się i za to. Odpowiadałeś szybko i prawie bez zastanowienia. A może powiedziałaś więcej niż zamierzałaś?... Uważaj teraz: wiem, że spośród wszystkich i wszystkiego najbardziej boisz się mnie. Zawsze obawiałaś się końskiego cienia i miałaś ku temu słuszne powody. Jeżeli ten cień spadnie na ciebie, mój Aniele, przestaniesz istnieć. Przestaniesz, kompletnie. A spadnie, jeśli

miałeś cokolwiek wspólnego z tym, czego nie pochwalam. Czy wyrażam się jasno?

- Tak, potężny Tyfonie. Tyś jedynym bogiem, którego czczę - mówi Anubis i nagle rzuca się z wyciem do przodu. W jego prawym ręku żarzy się końska uzda.

Kształt podkowy mija go tuż tuż i Anubis pada na ziemię. Cień ogarnia błyszczącą srebrem uzdę i uzda znika.

- Ty głupcze! Chciałeś mnie poskromić?!

- Gdyż boję się śmierci z twych rąk, Panie!

- Leż, nie wstawaj! Niech ci żaden mięsień nie drgnie, bo obrócę cię w nicość! Nie miałbyś powodów do obaw, gdybyś nie dźwigał ciężaru winy na swych barkach!

- Nie, nie, to nieprawda! Bałem się, Panie, że możesz źle mnie zrozumieć i przez to cios zadać! Nie chcę obracać się w nicość. Próbowałem poskromić cię w samoobronie! Myślałem, że przytrzymam cię. Panie, dopóki mnie nie wysłuchasz, gdyż zgadzam się z tobą - w świetle faktów, moje obecne stanowisko czyni mnie wysoce podejrzanym.

Cień rusza z miejsca i spada na prawą rękę Anubisa. Ręka obumiera i wiotczeje.

- Rękę, którą na mnie podniosłeś, nigdy nie wymienisz, ty psie! Przeszczepisz sobie nową, nowa też ci uschnie! Dokręcisz ramię ze stali, a nie będzie działało! Za twój czyn zostawiam ci tylko lewe ramię. Ja dokopię się do prawdy! Całej prawdy! Jeżeliś winny, a myślę, że jesteś, będę sędzią, ławą przysięgłych i katem w jednej osobie. Wiedz, że żadne uzdy ze srebra, żadne wodze ze złota nie okiełznają Tyfona! I wiedz, że jeśli znajdziesz się w moim cieniu, nie zostanie z ciebie nawet pył! Nadejdzie dzień, już niedługo, kiedy wrócę do Domu Śmierci. Jeżeli coś tu będzie nie tak, posadzę na tronie innego kundla!

Obrzeża czarnej sylwetki zaczynają się palić. Cień staje dęba jakby przymierzał się do ataku, bucha z niego jasny ogień i chwilę później Anubis zostaje sam na podłodze Sali.

Mozolnie wstaje i lewą ręką chwyta za berło. Strzela czerwonym jęzorem i chwając się idzie do tronu.

Powietrze rozchyła się i układa w olbrzymie okno. Anubis dostrzega w nim Władcę Domu Życia.

- Ozyrysie! - woła. - Ten diabeł żyje!

- O czym ty prawisz?

- O tym, że dzisiaj nawiedził mnie cień konia!

- To niedobrze... Zwłaszcza teraz, gdy wysłałeś kolejnego emisariusza.

- A ty skąd o tym wiesz?

- Mam swoje sposoby. Lecz ja też to uczyniłem, po raz pierwszy zresztą. Wyprawilem mego syna, Horsa. Mam nadzieję, że zdążę go jeszcze zawrócić.

- Tak, zawsze lubiłem Horsa...

- A co z twoim emisariuszem?

- Nie zawrócę go. Bardzo chciałbym zobaczyć, jak też Tyfon da mu radę...

- Ten twój Przebudzeniec, kim on naprawdę jest? To znaczy, kim był?

- To moja sprawa.

- Jeżeli jest tym, kim myślę, że jest, a ty już dobrze wiesz, o kim mowa, nawróć go, psi pyszczku, bo nigdy nie zapanuje między nami pokój. Jeśli, oczywiście, przeżyjemy.

Anubis chichocze.

- A czy kiedykolwiek panował?

- Nigdy, skoro gawędzimy otwarcie.

- Ale Księżę nam grozi. Po raz pierwszy rzeczywiście nam grozi, że ukróci nasze panowanie!

- Tak, dwanaście lat przeleciało i musimy działać... Z tego, co mówi, wynika, że miną wieki, nim się za nas weźmie. Ale weźmie się, gdyż zawsze dotrzymuje słowa. Któż to zresztą wie, co on knuje...

- Mnie o to nie pytaj.

- Co ci się stało w rękę?

- Musnął mnie jego cień.

- Obaj skończymy w ten sposób, jeżeli nie odwołasz swego wysłannika. Pojawienie się Tyfona zmienia cały gry plan. Musimy skontaktować się z Księciem. Trzeba się z nim dogadać, jakoś go udobruchać... - Księżę jest za sprytny, żeby dać się nabrać na obietnice bez pokrycia. A Poza tym, nie doceniasz Przebudzeńca.

- Może powinniśmy dogadać się z nim naprawdę? Oczywiście nie po to, żeby przywrócić go na tron, ale...

- Przenigdy! Triumfować będziemy my!

- Udowodnij to i spraw sobie drugą rękę.

- Zrobię to!

- Żegnaj, Anubisie i pamiętaj: Anioła Domu Ognia nie zwyciężysz nawet Czasoportacją.

- Wiem o tym. Żegnaj, Aniele Domu Życia.

- Dlaczego używasz mego dawnego tytułu?

- Z powodu nie licującego z tobą strachu, Ozyrysie. Boisz się, że znów wrócą stare czasy.

- Więc zatrzymaj Przebudzeńca.

- Nigdy.

- No to żegnaj, ty głupi, najniżej upadły Aniele.

- Adieu.

Okno błyszczy Mocą i miriadami gwiazd, dopóki leworęczny nie zamknie go wśród płomieni.

W Domu Śmierci zapada cisza.

A TYM CZASEM...

...Eunuchowaty kapłan najwyższego wtajemniczenia zapala cienkie, woskowe świece przed parą starych butów.

...Pies tarmosi brudną rękawicę, która była świadkiem wielu szczęśliwszych stuleci.

...Niewidomi kowale z Nornu kują młoteczkowatymi palcami. Na metalu leży przycięta smuga niebieskiego światła.

STALOWY GENERAL

Przebudzenie spogląda do góry i widzi Stalowego Generała.

- Zdaje mi się, że skądś go znam... - mówi.

- No wiesz! - rzecze na to Vramin, a jego oczy i różdżka rozbłyskują zielonkawym ogniem. - Wszyscy, znają Stalowego Generała, obieżywszechświata - samotnika! Ze wszystkich kart historii niesie się tętent Spiza, jego ognistego rumaka. Generał bił się ramię w ramię z Eskadrą Lafayette'a, brał udział w akcji opóźniającej w Solinie Jarama, w największe mrozy wspomagał obrońców Stalingradu, to on, wraz z garstką przyjaciół, usiłował wkroczyć na Kubę. Nie ma takiego pola bitewnego, na którym by nie zostawił części swego ciała. Obozował pod Waszyngtonem, gdy czas był niedobry i dopiero Generał znaczniejszy niż on wyprosił go stamtąd. Przegrał pod Little Rock, a w Berkeley oblali mu kwasem twarz. Minister Sprawiedliwości wciągnął go na czarną listę, bo Generał był niegdyś członkiem Światowej Organizacji Pracowników Przemysłowych. Ogniste zarzewia, w których walczył, dziś już wygasły, ale wraz z nimi zgasła też jakaś część Generała, gdyż był wszędzie tam, gdzie rodziła się i dojrzewała rewolucja. Okuwając się w protezy, przeżył jakoś swój wiek. Miał sztuczne serce i tętnice, żuł sztucznymi zębami i patrzył na świat sztucznymi oczami. W czaszkę wstawiono mu metalową płytkę i dano mu kości z plastyku, i żył tak z drutem i porcelaną w środku, aż nadszedł czas, kiedy nauka mogła już stworzyć członki lepsze od tych, którymi natura obdarzyła człowieka. Organ po organie znów rozebrano go na kawałki i w następnym stuleciu przewyższał sprawnością człowieka z krwi i kości, i znowu zmagął się w powstaniach i znowu ścierano go na proch w wojnach, które toczyły kolonie przeciwko rodzimej planecie i w bitwach rozpętanych przez Światy wyłamujące się z Federacji. On zawsze jest na czarnej liście jakiegoś tam Ministra Sprawiedliwości, ale nie dba o to i dalej gra na banjo. Wyniósł siebie ponad wszystko, przestrzegając raczej ducha niż litery prawa. Wielokrotnie zamieniał metal na ciało i stawał się na powrót normalnym człowiekiem, lecz zawsze kusi go odległy sygnał trąbki polowej. Chwyta wtedy banjo i pędzi, i znów gubi w walce swą ludzką postać. Grywał w kości z Leonem Trockim, od którego dowiedział się, że pisarzom nędznie płacą. Mieszkał w wagonie towarowym z Woodym Guthriem, który czas jakiś popierał Fidela Castro. Od niego dowiedział się, że i prawnicy kiepsko zarabiają. Prawie zawsze przegrywa, ciągle się nim wysługują, wykorzystują go, ale on o to nie dba, bo ideały znaczą dla niego więcej niż krew. Jeżeli natomiast chodzi o

Księcia, Który Ma Tysiąc Lat, sprawa jego nie cieszy się popularnością. Z tego, co mówisz, wnioskuję, że ci, którzy występują przeciwko Domowi Życia i Domowi Śmierci, będą uważani za zwolenników Księcia. Książę natomiast o wsparcie nie błagał, a przynajmniej nie do tego stopnia, by miało to jakiegokolwiek znaczenie. Śmiem twierdzić, że ty, Przebudzeńcze, występujesz przeciwko Księciu i zaryzykuję również przypuszczenie, że Generał go wesprze, gdyż Książę jest przecież jakby grupą mniejszościową. A z Generałem, Przebudzeńcze, można wygrać, ale nigdy nie uda ci się go zniszczyć. Zapytaj go zresztą sam, jeśli chcesz. Stoi koło ciebie.

Stalowy Generał zszedł z konia i stoi obecnie przed Vraminem i Przebudzeńcem. Wygląda jak żelazny posąg w letnią, bezksiężycową noc, o godzinie dziesiątej.

- Dostrzegłem twą różdżkę, Aniele Siódmej Stacji.

- Niestety, tytuł przypadł razem ze Stacją, Generale.

- Zawsze respektuję prawa rządu na wygnaniu - powiada tamten, a głos ma tak piękny, że słuchać go można latami.

- Dzięki ci. Obawiam się jednak, Panie, że przybywasz zbyt późno. Sądzę, że ten oto Przebudzeniec, mistrz czasoportacji, chce zabić Księcia i w ten sposób ostatecznie zniszczyć sens naszego powrotu. Czyż nie tak, Przebudzeńcze?

- Jak najbardziej.

- Chyba, że znajdziemy innego mistrza... - mówi Vramin.

- Nie musisz go już szukać - przerywa Generał. - Bez urazy, Przebudzeńcze, najlepiej poddaj się natychmiast.

- Bez urazy odpowiadam: idź do diabła! Gdyby zniszczyć każdy twój członek, nie byłoby Stalowego Generała i nigdy by się nie odrodził! Taki buntownik jak ty zasługuje tylko na anihilację! Stoję przed tobą! Zaczynajmy!

- Wielu myślało podobnie, a ja ciągle żyję i czekam.

- Nie czekaj więc dłużej. Czasu tu mnóstwo - niech się wypełni - mówi Przebudzeniec i rusza do przodu.

Wtedy Vramin otacza Madraka i siebie zielonym ogniem, i obaj patrzą na gotujących się do walki mistrzów.

W tym momencie Spiz staje dęba, a błysk sześciu brylantów przyćmiewa kolory Błogorii.

MIEJSKI JASNOWIDZ Z LIGLAMENTI

Horus dotarł do Światów Wewnętrznych i zatrzymał się na planecie mgieł Mieszkańcy planety nazywają swój Świat Kontentorią, co znaczy „Miejsce Zadowolenia”.

Kiedy zsiada z rydwanu, którym przemierzył czern i bezpowietrzne zimno, słyszy szcęk broni i odgłosy walki dochodzące z nieprzeniknionej mgły pokrywającej całą Kontentorię.

Zabiwszy rękami trzech rycerzy, którzy się na niego rzucili, dochodzi nareszcie do murów Liglamenti. Władcy Liglamenti miewali niegdyś powody, aby uważać go za boga przychylnie do nich usposobionego.

Kontentoria leży, co prawda, w zasięgu pól Mocy, ale nigdy nie nawiedzają jej zarazy, wojny, głód, które dziesiątkują ludność innych Światów. Dzieje się tak dlatego, że mieszkańcy Kontentorii dziesiątkują się sami. Na powierzchni planety rozlokowały się niezliczone grody-państwka i księstwka znajdujące się w stanie nieprzerwanej wojny z sąsiednimi księstwkami czy miastami. Jednoczą się tylko po to, żeby zniszczyć każdego, kto zechce zjednoczyć je na bardziej trwałych podstawach.

Horus staje u wrót Liglamenti i stuka w nie pięścią. Przez miasto toczy się huczący łoskot i brama uchyla się ze skrzypieniem zawiasów.

Strażnik ciska w mrok pochodnię i szyje za nią strzałą, która, jak może być inaczej, chybia celu. Horus bowiem czyta w myślach napastnika i umie przewidzieć trajektorię pocisku. Robi więc tylko krok w bok i strzała świszcze tuż koło niego.

- Otwieraj wrota, bo je wyważę! - żąda stając w świetle pochodni.

- Kim jesteś, że chodzisz bez broni, w przepasce na biodrach jeno i rozkazy mi wydajesz?

- Jam Horus.

- Nie daję temu wiary.

- Pozostała ci minuta życia, jeżeli nie otworzysz bramy. Twa śmierć będzie dowodem, że Horus nie kłamie. Później wyrwę drzwi z zawiasów, wkroczę do miasta i udam się na poszukiwania twego Władcy, depcząc po drodze twe truchło.

- Czekaj! Jeżeliś po prawdzie Horus, zrozum, żem obowiązek jeno spełniał, posłusznym będąc rozkazom Pana mego. Wiedz, iż nie bluźnię wejścia odmawiając każdemu, kto zwie siebie Horusem. Nie, bo skąd pewność, żeś ty nie wróg, który fortel szykuje tak mówiąc?

- Czyż wróg odważy się posunąć aż do takiego szaleństwa? - Być tak może, bo większość ludzi

szaleństwem dotknięta.

Horus wzrusza ramionami i ponownie unosi pięść. Powietrze wiruje jakimś melodyjnym dźwiękiem i wrota Liglamenti poczynają dygotać w zawiasach, a strażnik w swej zbroi.

Horus rośnie i urasta na prawie trzy metry. Jego przepaska czerwieni się jak krew. U stóp migocze pochodnia. Horus bierze zamach.

- Poniechaj mnie, Panie! Już otwieram wrota!

Horus opuszcza rękę i zmniejsza się o jedną trzecią. Muzyka milknie.

Strażnik otwiera ogromną bramę i bóg wkracza do Liglamenti. Gdy dochodzi do pogrążonego we mgle pałacu władcy Liglamenti, Księcia Ligli Mądrego, okazuje się, że wieść o jego przybyciu już tu dotarła. Ponury, czarnobrody Książę, w koronie przytwierdzonej na stałe do czaszki, wyciska z siebie tyle uśmiechu, na ile go stać i demonstruje podwójny garnitur zębów za kurtyną mocno zaciśniętych warg. Skłania lekko głowę.

- Tyś prawdziwie Horus?

- Prawdziwie.

- Powiadają, że ilekroć bóg Horus tędy przechodzi, trudno go rozpoznać.

- I nic dziwnego. To istny cud, że w tej mgle potraficie w ogóle kogokolwiek rozpoznać.

Ligla Mądry wydaje z siebie charkot będący odpowiednikiem śmiechu.

- To prawda - mówi - czasami zdarzają się pomyłki i zabijamy się nawzajem. Lecz ilekroć odwiedzał nas Horus, władca zasiadający aktualnie na tronie Liglamenti poddawał go jakiejś próbie. Ostatnim razem...

- Ostatnim razem - przerywa Horus - zastałem tu Księcia Bulwę. Drewnianą strzałą przeszyłem wówczas siedemdziesięciocentymetrowej grubości bryłę marmuru, tak że grot wystawał z jednej, a lotki z drugiej strony.

- Na boga, pamiętasz!

- Oczywiście, że pamiętam - jam Horus. Czy masz jeszcze tę bryłę?

- Tak, naturalnie.

- Tedy prowadź mnie do niej.

Wchodzą do sali tronowej. Oświetlone pochodniami ściany uginają się pod błyszczącym orężem i tylko włochate skóry drapieźników są tu urozmaiceniem dla oka. Na niskim piedestale ustawionym w niszy po lewej stronie tronu spoczywa bryła szaropomarańczowego marmuru, w której tkwi strzała.

- Jest tam - mówi Ligla Mądry, pomagając sobie gestem ręki. Horus podchodzi i ogląda wystawę.
- Tym razem sam obmyślę sobie próbę - decyduje. - Wydostanę tę strzałę.
- Można ją wyciągnąć! To żaden...

Horus unosi prawą pięść na wysokość ramienia, opuszcza ją na dół i uderza w marmur. Marmur rozlatuje się na kawałki, a on sięga po strzałę i wręcza ją władcy Liglamenti.

- Jam Horus - powiada.

Ligla Mądry gapi się to na strzałę, to na żwir i gruz marmurowy.

- Tyś po prawdzie Horus - przyznaje. - Czym mogę ci służyć, Panie?
- Wróżbici z Kontentorii zawsze cieszyli się zasłużoną sławą. Ci z Liglamenti są szczególnie znani. Dlatego też chciałbym zasięgnąć rady twego najlepszego jasnowiedza. Szukam odpowiedzi na kilka pytań.

- Najlepszy jasnowiedz... Stary Biętaszek bez wątpienia - decyduje Ligla Mądry, otrzepując z pyłu czerwono-zieloną szkocką spódniczkę. - On jest prawdziwie jednym z najlepszych, ale...

Ale co? - zapytuje Horus. - Zdażył już odczytać myśli Ligli Mądrego, ale mimo to grzecznie czeka, aż tamten skończy.

- Biętaszek jest mistrzem w sztuce wróżenia z jelit, lecz przepowiada jeno z wnętrzości ludzkich. Rozumiesz, wielki Horusie, rzadko więzimy jeńców, gdyż pociąga to za sobą określone koszta, a o ochotników jeszcze trudniej.

- A nie można by namówić Biętaszka, żeby wyjątkowo posłużył się wnętrzościami jakiegoś zwierzęcia? - Horus znów czyta myśli rozmówcy i poznawszy odpowiedź, wzdycha.

- Oczywiście, o Mężny, ale wtedy Biętaszek nie zagwarantuje takiej jakości przepowiedni, jaką zdołalby osiągnąć, mając do dyspozycji lepszy materiał.

- Ciekawe dlaczego?

- Nie umiem ci na to pytanie odpowiedzieć, Najpotężniejszy, bo sam nie jestem jasnowiedzem, choć moja matka i moje siostry posiadały dar widzenia. Wiem jednak, że skatolodzy są najbardziej zbzikowani z nich wszystkich. Wracając do Biętaszka, Twierdzi, że jest krótkowidzem, co znaczy, że...

- Zaopatrzenie go w niezbędne materiały i doniesienie mi, kiedy będzie gotów odpowiedzieć na me pytania - przerywa Horus.

- Tak się stanie, o Przemóżny Horusie. Natychmiast zorganizujemy oddział wypadowy, gdyż widzę, że ci pilno.

- Bardzo pilno.

- Mam sąsiada, któremu przyda się nauczka za naruszanie mych granic!

Książę Ligla Mądry wskakuje na tron i sięga po długi golinróg. Po trzykroć unosi go do ust i po trzykroć dmie tak mocno, że policzki mu się rozdymają i czerwienieją, a oczy wychodzą z orbit poza łuki brwi. Potem odwiesza róg na miejsce, zatacza się i wali ciężko na stojący książęcy tron.

- Za moment stawia się do mej dyspozycji wodzowie - sapie.

I za moment stukoczą podkowy. Zjawia się trzech rycerzy odzianych w szkockie spódniczki. Dosiadają trzech jednorożnych golindi i jadą, wjeżdżają i objeżdżają komnatę w kółko. Zatrzymują się dopiero wtedy, gdy Ligla Mądry podnosi rękę i woła:

- Zajazd! Zajazd, moje zuchy! Hajda na Czerwonego Józka! Zanim jutrzienka wstanie i ozłoci poranną mgłę, chcę tu mieć sześciu jeńców! - Rzekłeś jeńców, Panie? - woła opalony rycerz ubrany na czarno.

- Dobrześ słyszał!

- Zanim jutrzienka wstanie, słyszeliście?! - Unosi do góry włócznię. Włócznie dwóch pozostałych rycerzy zadzierają błyszczące szpice.

- Zanim jutrzienka wstanie!

- Rozkaz!

Objeżdżają salę i oddalają się.

O poranku budzą Horusa i wiodą go do komnaty, gdzie leży sześciu nagich mężczyzn. Mężczyźni mają skrępowane ręce i nogi. Ręce są przywiązane z tyłu do kostek u nóg. (ich ciała pokrywają rany i sine pręgi). Komnata jest mała, zimna i oświetlona czterema pochodniami. Jedyne okno wychodzi na ścianę z mgły. Podłoga wyłożona jest kartkami „Timesa”, liglejskiego miesięcznika. j

O parapet opiera się rumiany, niski mężczyzna z zapadniętymi policzkami i wiekową łysiną pośrodku czaszki. Ma zęza i ostrzy na osełce krótkie noże.

Nosi biały fartuch i uśmiecha się niedokończonym uśmiechem. Kieruje wyblakłe oczy na Horusa i kilkakrotnie mu się kłania.

- Domyślam się, że masz do mnie jakoweś pytania - mówi przerywając co kilka słów dla zaczerpnięcia oddechu.

- Dobrze się domyślasz. Mam ich trzy.

- Tylko trzy, Święty Horusie? To znaczy, że jeden komplet wnętrzości z powodzeniem

wystarczy. Pewien jestem, że bóg tak mądry jak ty, Panie, może zadać więcej pytań. Mamy tu niezbędny materiał i szkoda go zmarnować. Minęło tyle czasu, odkąd...

- Niemniej jednak zadam wyroczeni tylko trzy pytania.

- Dobrze więc - wzdycha Biętaszek - w takim razie użyjemy jego flaków - mówi wskazując nożem jakiegoś sinobrodego, który nie spuszcza oczu z jasnowidza. - Zwią go Jajaszkiem.

- Znasz go?

- To mój daleki kuzyn i w dodatku najlepszy jasnowidz Czerwonego Józka. Szarlatan, rzecz jasna. Cóż za szczęśliwy traf, że nareszcie wpadł w moje ręce...

Gdy słyszy to mężczyzna zwany Jajaszkiem, pluje na rubrykę zgonów w „Timesie”.

- Tyś szalbiercą, nie ja, o marny bebechodłubie! - woła.

- Kłamco! - krzyczy Biętaszek rzucając się ku jeńcowi. Chwyta go za brodę.

- Taki oto kres twego haniebnego żywota! - dodaje i rozpruwa brzuch Jajaszka. Sięga w głąb, dobywa garść wnętrzności i rozkłada je na posadzce. Jajaszek krzyczy, jęczy, zamiera. Biętaszek rozcina poskręcane jelita i bada palcami ich zawartość. Kuca i pochyla się.

- A teraz, synu Ozyrysa, jakie masz pytania? - mówi.

- Po pierwsze - odpowiada Horus - gdzie mogę znaleźć Księcia, Który Ma Tysiąc Lat? Po drugie - kto jest emisariuszem Anubisa? I po trzecie - gdzie ten emisariusz obecnie przebywa?

Biętaszek mamrocze i grzebie w masie parującej na ziemi. Jajaszek znowu jęczy i rusza się niespokojnie.

Horus usiłuje odczytać myśli jasnowidza, ale tak się szamoczą, że w końcu zbijają się jakby we mgłę i Horus równie dobrze mógłby teraz wyrzeć przez jedyne okno komnaty.

Biętaszek zaczyna mówić.

- W Twierdzy na Maraczku - powiada - w Centrum Światów Wewnętrznych. Tam spotkasz kogoś, kto zaprowadzi cię przed oblicze tego, którego szukasz. Panie.

- Dziw... Dziwne... Dziwne to - mruży Jajaszek kiwając głową. - Tę część odczytałeś poprawnie, chociaż niezupełnie. Wzrok ci już nie dopisuje i nie zauważyłeś tego kawałeczka otrzewnej. Mylnie go zinterpretowałeś, poplątałeś... - Z potężnym wysiłkiem przetacza się bliżej.

- Nie ostrzegłeś Wielkiego Horusa - charczy - iż znajdzie się tam w straszliwym niebezpieczeństwie i w końcu poniesie fiasko!

- Zamilcz! - krzyczy Biętaszek. - Nie wezwałem cię tu na konsultacje!

- To moje trzewia i nie pozwolę, żeby byle chałturnik z nich czytał!

- Odpowiedzi na następne pytanie nie są jeszcze w pełni jasne, drogi Horusie - orzekł Biętaszek rozcinając inny fragment jelit.

- O fałszywy proroku! - szlocha Jajaszek. - Maraczek zaprowadzi go również do wysłannika Anubisa, którego imię wypisane jest moją własną krwią na stronie z artykułem wstępnym do „Timesa”! O tam! Owo imię brzmi Przebudzenie!

- Bzdura! - woła Biętaszek i tnie dalej.

- Czekaj! - rozkazuje Horus, kładąc rękę na ramieniu jasnowidza. - W tym miejscu twój kolega się nie myli, gdyż wiem, że jego obecne imię brzmi rzeczywiście Przebudzenie.

Biętaszek waha się i spogląda na kartę z artykułem wstępnym.

- Amen - zgadza się w końcu. - Trafiło się ślepej kurze ziarno.

- Wygląda na to - kontynuuje Horus - że jeżeli udam się do miejsca, które nazywają Maraczkiem, przeznaczeniem mym jest spotkać się z Przebudźcem.. Udać się tam zatem muszę. Wracając do drugiego pytania, poza jego obecnym imieniem chcę również dowiedzieć się, kim naprawdę jest. Kim był, nim potężny Anubis dał mu nowe imię i wysłał z misją.

Biętaszek pochyla się, rozgarnia jelita i nacina kolejny fragment.

- Oczy me, wspaniały Horusie, odpowiedzi na to nie widzą. Wyrocznia nie uchyli nawet rąbka tajemnicy...

- Stary głupcze! - sapie Jajaszek. - Tam jest odpowiedź! Masz... Masz ją jak... na dłoni!

Horus rzuca się za myślą wypatroszonego jasnowidza i włosy jeżą się mu na karku, gdy to czyni, ale prorok już dogorywa. W jego mózgu nie gnieździ się żadne groźne budzące imię.

Jajaszek skonał.

Horus zakrywa oczy i przechodzą go dreszcze. Stał u wrót tajemnicy, a wrota zamykają się teraz, oddalają, ulatniają...

Gdy opuszcza ramię, Biętaszek już nie kłęczy. Uśmiecha się spoglądając na zwłoki kuzyna.

- Hochsztapler - mówi pociągając nosem i wyciera ręce o fartuch. Na ścianie widać mały, nienaturalny i nieludzki kształt.

BITWA

Unosząc się i opadając, unosząc się i opadając, brylantowe podkowy tłuką o ziemię. Unoszą się i opadają, a...

Przebudzeniec i Stalowy Generał stoją twarzą w twarz i nie ruszają się z miejsca.

Mija minuta, mijają trzy minuty i kopyta rumaka zwanego Spiżem opadają na ziemię targowiska Błogorii z hukiem grzmotu, gdyż za każdym uderzeniem siła ich ciosu wzrasta.

Powiadają, że walka na czasoportację rozstrzyga się praktycznie już w tych pierwszych morderczych minutach, kiedy to przeciwnicy wpatrują się w siebie, zanim rozpoczną wstępny etap bitwy. Rozstrzyga się w tych chwilach, które produkt ich zmagania zmiecie później z oblicza Czasu tak, jakby ich wcale nie było.

Ziemia trzęsie się teraz pod uderzeniami kopyt Spiża. Z jego nozdrzy bucha niebieski ogień i spada płomienną lawiną na Błogorię.

Przebudzeniec łśni od potu. Palec Generała zaciska się nerwowo; jest to palec ozdobiony pierścieniem z ludzkiej skóry.

Mija jedenaście minut.

Przebudzeniec znika.

Stalowy Generał znika również.

Spiż wali kopytami i namioty zapadają się, budynki zamieniają się w gruz, a w ziemi pojawiają się szczeliny.

Trzydzieści sekund wstecz Przebudzeniec stoi za i przed Generałem, a Przebudzeniec stojący z tyłu, ten, który pojawił się w tej właśnie sekundzie, splata dłonie, unosi je do góry, przygotowując się do zadania miażdżącego ciosu w stalowy czerep Żołnierza. -

- ale trzydzieści pięć sekund wstecz, Stalowy Generał pojawia się za Przebudzeńcem z tamtego okresu Czasu, zamierza się i -

- nic się nie dzieje, gdyż Przebudzeniec sprzed trzydziestu sekund, ten, który gotował się do zadania miażdżącego ciosu splecionymi dłońmi, widzi, że Generał go wyprzedza, więc natychmiast przenosi się w Czasie o dziesięć sekund do momentu, w którym sposobi się do wyemitowania swego przyszłego „ja”, ale -

- Generał, ten sprzed trzydziestu pięciu sekund przed atakiem, widzi sam siebie, widzi, jak się zamierza i dlatego czym prędzej czasoportuje się w Czas o dwanaście sekund wcześniejszy...

A dzieje się tak, gdyż czasawangarda jest niezbędna do zabezpieczenia przyszłej...

...a ariergarda, przeszłej egzystencji...

...podczas gdy cały czas, gdzieś (kiedy), (może teraz) Spiż staje dęba i znów opada na cztery kopyta, a miasto trzęsie się w posadach.

Przebudzeniec sprzed czterdziestu sekund, ten na czterdzieści sekund przed atakiem, dostrzega Generała i cofa się o dwadzieścia sekund (jedna minuta realnego czasu zamazała się w ferworze czasoprzemian, podlegając nieustannym modyfikacjom).

...Stalowy Generał sprzed czterdziestu siedmiu sekund, ten na czterdzieści siedem sekund przed atakiem, cofa się piętnaście sekund wstecz i znowu uderza, podczas gdy jego bliźniaczy obraz z tego momentu Czasu obserwuje Generała sprzed czterdziestu siedmiu sekund i wycofuje się jeszcze głębiej, na sekund osiem, ale -

...Przebudzeniec, ten sprzed minuty, cofa się znowu o sekund dziesięć i -

Czasoportacja!

Przebudzeniec, ten stojący za Generałem i atakujący w Czasie minus siedemdziesiąt sekund, widzi Generała za Przebudzeńcem. Generał atakuje, lecz dostrzegają go obydwaj, a tamci dwaj też widzą ich obu.

W jedenastej, piętnastej, dziewiętnastej i dwudziestej piątej sekundzie znika kolejno cała czwórka,

...podczas gdy cały czas, gdzieś (kiedy), (może teraz) Spiż staje dęba i znów opada na cztery kopyta, wywołując falę wstrząsów.

Wstępna faza bitwy przeciąga się, bo Generał, ten przed Generałem i Przebudzeniec, ten przed Przebudzeńcem, wciąż się zmagają i czasoportują, i czasoportują.

Pięć minut i siedem sekund przyszłości tkwi w zawieszeniu, a dwunastu Generałów i dziewięciu Przebudzeńców mierzy się wzrokiem.

...Pięć minut i dwadzieścia jeden sekund zamiera, a dziewiętnastu Przebudzeńców i czternastu Generałów nieruchomieje w postawach bojowych.

...Na osiem minut i szesnaście sekund przed atakiem, stu dwudziestu trzech Przebudzeńców i stu trzydziestu jeden Generałów taksuje się oczami i decyduje na odpowiednią chwilę...

...Żeby zaatakować en masse w tym jednym, jedynym momencie, a w odwodzie zostawić sobie siebie z przeszłości. Jeżeli natomiast moment ów okaże się nieodpowiedni? Cóż, wtedy jeden z nich legnie i tak zakończy się pojedynek. Wszystko ma swój kres.

Opierając się na błyskawicznych obliczeniach i założeniach, każdy z nich zdecydował, że ta właśnie chwila nada się najlepiej do określenia przyszłości i utrzymania precyzji czasoportacji. I kiedy armie Przebudzeńców i Generałów ścierają się ze sobą, ziemia zaczyna drżeć pod ich stopami. Nawet sam mechanizm Czasu ledwie wytrzymuje nadmierne przeciążenia, które są rezultatem jego własnych dypozycji. Zrywa się wiatr, wszystko staje się nierealne, bo wszystko szamocze się między istnieniem, stawianiem się a zaszcłością. I dzieje się tak, że gdzieś, tam, Spiż miażdży kontynent brylantowymi podkowami i miota nań deszcz niebieskiego ognia. Rozszarpane i zakrwawione zwłoki Przebudzeńców i rozczłonkowane szczątki Generałów miotane huraganem płyną nad zwichrowanymi obszarami poza ognisko walki. To punkt zwrotny wszelkiego prawdopodobieństwa, gdyż ani Przebudzeniec, ani Generał nie mogą teraz zabijać w przeszłości i modyfikują jedynie przyszłość. W centrum natężenie bitwy osiąga punkt kulminacyjny. Armie wgrzają się w siebie z siłą, która wznieca rozszerzające się kręgi falujących przemian w całym wszechświecie. Kręgi wzbierają, opadają, mkną dalej i dalej, a Czas znowu odmierza historię wokół zdarzeń.

Niżej Spiż opada na sześć kopyt i staje tak, że miasto zaczyna się walić. Poeta unosi różdżkę, lecz jej zielone płomienie ulegają powodzi ognia, którym zieje Spiż i który zalewa Błogorię. Na planecie jest już tylko dziewięć miast, a i na te Czas zsyła pożogę. Domy, maszyny, trupy, dzieci, namioty - wszystko porywa ognisty podmuch i rozrzuca bez ładu po targowisku.

Spójrz teraz na kolory. Czy to czerwień? Jest tu brzeg, a na dole rzeka - zielony strumień niosący szkarłatne karpy. Miasto za trzema wapiennobiałymi mostami jest żółtoszaroczarne. Niebo przyobleka kolor śmietankowego morza i dmie wichrem huczącym niczym piła mechaniczna. Zewsząd unosi się zapach dymu i swąd palonego ciała. Powietrze wibruje krzykiem, szczękiem zderzających się pojazdów i nieprzerwanym stukotem butów uciekających ludzi. Odgłosy to jak ryk grzmotu w Noc Czarnego Luda, która nadciąga gwałtownie jak nieświadomość.

- Zaprzestańcie! - woła pośród chaosu Vramin, stając się gorejącym, zielonym olbrzymem. - Zniszczycie cały świat, jeżeli będziecie dalej walczyć! - krzyczy, a jego głos jest jak grom, jak trąby i buczi.

Oni jednak nie przerywają zmagania. Czarodziej bierze Madraka za rękę i usiłuje otworzyć nadprzestrzeń, żeby uciec z Błogorii.

- Ludność cywilna ginie! - woła jeden z Generałów. Jakiś Przebudzeniec parska śmiechem.

- Mundur nie gra żadnej roli w Domu Śmierci! - odpowiada.

Pojawia się zarys wielkich, zielonych drzwi. Drzwi stają się coraz bardziej namacalne, zaczynają się otwierać.

Vramin zmniejsza się. Kiedy drzwi rozwierają się na oścież, on i Madrak zostają zmieceni w tamtą stronę, a na oceanie smaganym wiatrem wciąż ścigają się i załamują ogromne fale.

Zamieć chaosu unosi również armie Generała i Przebudzeńca. Porywa je wichry przemian i niesie, targa, aż i one zbliżają się do zielonej bramy. Jej szeroko otwarte wrota są jak promieniujący magnes, ściek czy oko wiru. Jedna za drugą, ciągle walcząc, wpadają w jej światło i znikają.

Kiedy brama zaczyna się zamykać, Spiż rusza wolniutko w tamtą stronę i udaje mu się przez nią przecisnąć. W chwilę potem wrót już nie ma i chaos wypełnia puste po niej miejsce.

Huk i szarpanina ustają, a cała Błogoria zdaje się oddychać z ulgą. Zniszczenia są wielkie; wielu ludzi umarło lub umiera w tym właśnie momencie. A moment ów można by umiejscowić na trzydzieści trzy sekundy przedtem, jak Przebudzeniec i Generał rozpoczęli czasoportację, która już się nie zaczęła na tym zaśmieconym targowisku, pełnym dymiących kraterów i szczelin.

Wśród zawalonych sklepień, przewróconych wież i spłaszczonych budowli kroczy zbawienie, dzierżąc ognisty miecz. Z Domów Mocy wykrada się cichcem gorączka dnia i słychać, jak gdzieś szczeka pies.

GNIEW CZERWONEJ PANI

Megra z Kalganu ucieka, na wpół ślepo przebijając się przez wielokształtny tłum. Ucieka i słyszy kolejny okrzyk dobywający się z mnogich gardeł. Zaczyna wiać mroźny wiatr, hasa po targowisku, omiatając ludzi i kolory. Megra zadziera głowę do góry i dostrzega coś, co sprawia, że nogi odmawiają jej posłuszeństwa. Staje wśród zniszczonych namiotów i łopoczących proporców.

Widzi Stalowego Generała na grzbiecie Spiża. Opuszczają się na ziemię coraz wolniej i wolniej. Dziewczyna czytała o Generale, słyszała wiele, bo o jego istnieniu mówią apokalipsy wszystkich ludów i narodów.

Ogląda się i widzi jak jakiś namiot pogrąża się w kaskadach zielonego ognia. Wciąż patrzy i dostrzega zieloną racę. Raca mknie po niebie, zawisa nieruchomo w powietrzu i pali się.

Olbrzymi rumak Spiż zmienia kurs, zwalnia, zwalnia z każdym krokiem, aż wreszcie staje na ruinach namiotu, gdzie zostawiła Przebudzeńca i Madraka, tego rycerskiego zakonnika. Ci dwaj mieli się bić. Ogląda się w tamtą stronę, ale, jak zwykle, niski wzrost uniemożliwia jej dostrzeżenie czegokolwiek poza zbitą ścianą ludzi dookoła.

W końcu, gdy nie widzi już nawet Stalowego Generała, rusza dalej, przepychając się przez mnogostopą masę w kierunku namiotu, który nawiedziła śmierć.

Zdaje się teraz na swą siłę i prześlizguje się między ludźmi, nie zwalając ich z nóg. Porusza się wśród nich jakby płynęła żabką, omija ciała wielkie i wielokończyniaste, maszyny o ludzkich twarzach pokrytych pierzem, kobiety ze światełkami migoczącymi na piersiach, mężczyzn z ostrogami u stawów, grupy normalnie wyglądających osób, które reprezentują wszystkie sześć ras, kobietę, z piersi której nieustannie dobywa się dźwięk skrzypiec, wpadający teraz w obłąkane crescendo rozdzierające uszy. Potem mija człowieka niosącego swe własne serce w bucującym pojemniku u pasa, uderza jakieś stworzenie w kształcie otwartego parasola, które oplata ją w szale mackami. Później idzie obok stada krostowatozielonych karłów, skręca w dróżkę między namiotami i przecina plac, gdzie ziemia jest twardo ubita zlepionymi trocinami i słomą. Skręca między dwa inne namioty, a dookoła niej zaczyna stopniowo zapadać półmrok. Wówczas ociera się o jakieś latające stworzenie, które zatacza kręgi dookoła jej głowy i mamrocze.

Odwraca się i widzi coś, czego nigdy przedtem nie widziała.

Tkwi tam czerwony rydwan bez zaprzęgu, wciąż jeszcze dymiąc pyłem z gwiazd. Koła wyłobily w ziemi głębokie koleiny długości około trzech metrów. Koleiny urywają się nagle i dalej nie ma już żadnych śladów.

W rydwanie stoi wysoka kobieta. Jest szczelnie otulona płaszczem i nosi woalkę. Na ramiona spływają jej czerwone pukle włosów. W prawej dłoni, niemal tak czerwonej jak jej paznokcie, trzyma lejce, które umocowane są do pustki przed rydwanem. Na ramieniu kobiety sadowi się teraz owo latające i szwargoczące stworzenie, z którym zderzyła się Megra. Złożyło już błoniaste skrzydła, nie widać ich i tylko nagi ogonek drga mu nerwowo.

- Megro z Kalganu - odzywa się kobieta, a głos ma jak aksamit rękawiczki przyozdobionej klejnotem - jesteś tu, jak sobie tego życzyłam - mówi stojąc w kurzawie gwiazdnych oparów.

Megra dostaje dreszczy czując, jak coś, niczym kawałek czarnego lodu z międzygwiazdnych przestrzeni, dotyka jej piersi.

- Kim jesteś? - pyta.

- Nazywają mnie Izydą, Matką Pyłu.

- Dlaczego mnie szukałaś? Nie znam cię, Pani, to jest... słyszałam o tobie legendy...

Izyda śmieje się, a Megra opiera się o metalowy wspornik podtrzymujący namiot na prawo.

- Szukałam cię, maleńki króliczku, żeby się na tobie wyładować.

- Ale dlaczego, Pani? Nic ci nie zrobiłam.

- Może tak, może nie... Mogę być w błędzie, chociaż nie przypuszczam. Wkrótce się jednak przekonamy. Musimy trochę poczekać.

- Na co?

- Na rezultat bitwy, a sądzę, że ta zaraz się zacznie.

- Miło mi się z tobą gawędzi, Pani, lecz nie zamierzam tu dłużej zostać, bez względu na to, co się zdarzy. Śpieszę do umierającego i...

- O Boże, toż wiem o tym! - przerywa ze śmiechem Izyda.

Megra zaciska rękę na wsporniku tak mocno, że metal wygina się w jej dłoni. Dziewczyna wyszarpuje go z namiotu, a namiot, ten na prawo, chwieje się i trzeszczy.

Śmiech Izydy gaśnie.

- Ty zuchwała dziewucho! Śmiesz podnosić na mnie rękę?!

- Podniosę, jeśli okaże się to konieczne, chociaż wątpię, czy będę jej w ogóle potrzebowała, Pani.

- Więc zamień się w posąg tam, gdzie stoisz! - rozkazuje Czerwona Wiedźma i dotyka

jednocześnie rubinowego wisiorka na szyi. Z jego środka strzela światło i pada na Megrę.

Zmagając się z odrętwiającym bezwładem, który ją ogarnia, Megra ciska metalowy wspornik w Izydę. Pręt wiruje w powietrzu jak wielkie, szarawe koło, jak tarcza piły, jak dysk i mknie w stronę rydwanu.

Rzuciwszy lejce, Izyda unosi do góry rękę, ale wciąż ściska w dłoni swój wisiorek, emitujący obecnie jeszcze więcej promieni. Promienie pochłaniają szybujący wspornik, a ten rozżarza się jak meteor i znika. Na wypaloną poniżej miejsca anihilacji ziemię spada garść żużlu.

W tej samej sekundzie Megra czuje, że krępujący ją dotychczas lodowaty uścisk zelżał, więc skacze w kierunku pojazdu, uderza Izydę ramieniem i zrzuca ją z Dekawanu. Powierniczek czmycha za chwiejące się koło i drży ze strachu.

Megra staje obok gotowa uderzyć otwartą dłonią, ale spostrzega, że woalka Izydy opadła i boi się przez chwilę dotknąć czegoś tak pięknego jak twarz, którą widzi. Piękna to twarz, w kształcie serca, czerwona i buchająca życiem. O dużych i ciemnych oczach, z rzęsami, które sięgają brwi, trzepocząc jak skrzydła purpurowego motyla. A zęby odsłonięte w niespodziewanym uśmiechu, który przychodzi na usta, jeśli długo wpatrywać się w ogień, tak różowe jak ciało.

Zapada coraz większy mrok. Wiatr szaleje i nagle ziemią wstrząsa odległe uderzenie.

Promienie wisiorka znowu trafiają w Megrę. Izyda usiłuje wstać, ale pada na kolana. Marszczy brwi i woła: - O małeństwo ty moje, jakież cię los czeka!

Pamiętając stare legendy, Megra zaczyna się modlić. Modli się nie tylko do aktualnego boga wyznawanej przez większość ludzi religii, ale i do tego, który upadł już dawno temu.

- Ozyrysie, Władco Życia, wybaw mnie od gniewu twej małżonki! Jeżeli nie zechcesz, o Panie, wysłuchać mych błagań, skieruj je do mrocznego Seta, którego małżonka twa kocha i przed którym drży. Ocal me życie! - szepcze i głos zamiera jej w gardle.

Już stojąc, Izyda patrzy na Megrę, a ziemia dudni i huczy, wstrząsana raz po raz straszliwymi ciosami. Południe ciemnieje w zmrok i otula niebo wraz z całym kontynentem. W oddali unosi się niebieskawa poświata i dobiega stamtąd szczęk ścierających się armii. Słychać też wrzaski, krzyki i zawodzenia, a perspektywa faluje jakby świat zalewały strumienie gorąca.

- Myślisz, że nadchodzi wybawienie, co? - woła Izyda. - Że to odpowiedź na twe bluźniercze modły?! Mylisz się! Teraz już wiem, że cię nie zabiję! Nie, zrobię rzecz jeszcze okrutniejszą. Otrzymasz ode mnie dar, który jest mądrością ludziom nie przyrodzoną i ludzką hańbą jednocześnie! Już się bowiem dowiedziałam tego, po co przybyłam na Błogorię i muszę teraz dać

upust zemście! Chodź ze mną! Wskakuj ze mną do rydwanu! Szybko! Ten świat może wkrótce przestać istnieć, bo Generał nie da rady twemu kochankowi! Niechaj będzie przeklęty!

Sztywno i wolno mięśnie Megry podporządkowują się rozkazom Izydy i dziewczyna wdrapuje się na rydwan. Czerwona Wiedźma staje u jej boku i przypina sobie woalkę. W oddali zielony olbrzym chce przekrzyczeć wicher, lecz słów jego nikt nie słyszy. Klębiące się szczątki szaleją dookoła w gigantycznym wirze, który zamiata targowisko. Wszystko zdaje się zacierać, podwajać, potrajać, niektóre obrazy rozpadają się na kawałki, inne trwają dłużej. Ziemia pęka, w oddali miasto obraca się w perzynę, a mały Powierniczek chowa się z krzykiem w płaszcz czarownicy. Zmierzch ustępuje miejsca nocy, a ta wali się na świat jak burza, mieszając w ciemności bryzgi kolorów, które żyć w tych warunkach nie powinny.

Izyda podnosi lejce. Wokół rydwanu buchają płomienie i niczego nie trawiąc, otaczają pojazd jakby sercem z rubinu, jakby jajem feniksa. I nie ma nawet wrażenia ruchu ni odgłosów lotu, nie słycać żadnego dźwięku. Nagle świat zwany Błogorią, ze wszystkimi jego sprawami i troskami, jego chaosem, zarazą i zbawieniem jest daleko od nich, leży w głębi jasnego otworu studni, od której umykają, plując na boki gwiazdami.

OPOWIEŚĆ KSIĘCIA, KTÓRY MA TYSIĄC LAT

W tamte dni, kiedym niepodzielnie panował
jako Władca Życia i Śmierci

- zaczyna Książę, Który Ma Tysiąc Lat -

w tamte dni na ludzką prośbę
zatopiłem Światy Wewnętrzne w polu Mocy,
falującym, powracającym
oceanie, na którego łagodnych pływach odcisnąłem wzorzec narodzin,
życia
i śmierci.

Dałem tedy to wszystko
mym posłusznym Aniołom, by
ze stacyj na granicach
kierowali zmiennymi polami.
I tak rządziłszy przez stuleci wiele,
wygładzając życie,
powściągaając śmierć,
stymulując rozwój i wciąż
rozszerzając granice wielkiego morza,
bo coraz to więcej i więcej Światów Zewnętrznych
wchłaniały grzywacze
piany stworzenia.

Wtedy dnia pewnego,
błądząc po niezmiernych otchłaniach
jednego ze światów, który choć martwy
i nagi,
piękny był, zachęcający
i życiem nie tknięty,

natknąłem się na coś, co spadło
i zbudziłem to niechęcą pocałunkiem Mocy, co mnie niosła.

I bałem się tego, co ze snu wróciło,
co wygrzebało się z wnętrzości ziemi
i mnie napadło,
zaatakowało;
bałem się, że zechce mnie zabić, bo
pożarło życie tamtego świata,
przespało lata, trawiąc,
a teraz wstało głodne i nienawiścią ziejące.

Skosztowawszy Mocy Życia,
obudziło się,
otarło się o ciebie, żono moja
i teraz nie mogę przyoblec cię na powrót w ciało.
Tchnienie jeno zdołałem zachować.

Jak człowiek pije wino,
ono spijało Życie,
więc paliłem doń z każdej
broni w moim arsenale,
ale nie umarło,
nie pogrzyżyło się w spoczynek.
Ba, prędzej już uciec chciało.

Osaczyłem więc je.
Wykorzystując energię mnogich Stacyj
utworzyłem pole
neutralnych energii
i otoczyłem nim cały świat jego.

Miało li podążyć śladem Życia
i zniszczyć inny świat?
Musiałem je zabić.

Próbowałem, przegrałem -
wielu próbowało, wielu przegrało.
Przez pół wieku
więziłem to
na świecie, co nie ma imienia.

A wtenczas Światy Wewnętrzne ogarnął chaos,
gdyż zabrakło mych rządów,
nad życiem, śmiercią i rozwojem.
Srogi ogarnął mnie ból;
nowe Stacje wznoszono zbyt wolno.

To ja winienem był raz jeszcze roztoczyć pole,
lecz nie mogłem przecież uwolnić Tego, Co Nie Ma Imienia.
Nie stawało mi mocy,
by utrzymać więźnia
i Światy Życia jednocześnie.
Wśród Aniołów mych
narastać poczęły skrywane niesnaski.
Szybko zebrałem ich żniwo -
ceną była lojalność,
co już nawet wtedy dobrze wiedziałem.

Ty, Chmurko jedyna,
nie pochwałałaś decyzji mojego
ojca, który, ryzykując gniew
Anioła Ozyrysa, wrócił z kresów,

by spełnić największą z miłości
i zabić.

Nie pochwaliałaś tego,
bowiem Set, mój ojciec,
najmężniejszy z rycerzy,
był jednocześnie naszym synem w tych dniach minionych,
naszym synem, w tych dniach na Maraczku,
kiedym to złamał barierę Czasu,
żeby przeżyć raz jeszcze czas życia cały
dla mądrości, którą daje Przeszłość.

I nie wiedziałem, że gdy czas powróci,
przyjdzie mi splodzić tego, który był przedtem mym ojcem,
słonecznookiego Seta,
Rycerza Ognistego Miecza,
Pana Zbrojnej Rękawicy,
Wszędochodów Właściciela.

Nie pochwaliałaś,
lecz i nie kwestionowałaś niezbędności tej walki,
więc Set sposobił się do bitwy,

bo on nigdy się nie ugiął.
Nie istniało nic, czego by się nie podjął.
Wiedział już, że Stalowy Generał legł
rozczłonkowany przed Tym, Co Nie Ma Imienia,
lecz Set się nie bał.

Wyciągnąwszy przed się prawicę,
nałożył nań Rękawicę, Co Moc Daje.
Ta rozrosła się natychmiast

i okryła zbroją całe ciało tak,
ze przebijał przez nią jeno blask spojrzenia Seta.

Stopy odział w buty,
w których
mógł kroczyć i wodą, i powietrzem.
Czarnym rzemieniem przypasał
pochwę Ognistego Miecza -
broń to zagłady,
dziecię niewidomych kowali z Nornu;
jeno on mógł nim obracać.
Nie, Set się nie bał.

I gotów już był opuścić mą napowietrzną fortecę,
zejść na dół, do świata,
gdzie To, Co Nie Ma Imienia pełzało,
wirowało,
panoszyło się
wściekle i głodne,
gdy jego drugi syn, a mój brat, Tyfon,
cień czarny, z pustki
wrócił,
chcąc go zastąpić.

Lecz Set mu zabronił.
Otworzył klapę,
wyszedł w czerń nocy i
runął w dół, na powierzchnię świata.

Przez trzysta godzin walkę toczyli,
ponad dwa tygodnie podług Starej Rachuby,

zanim To, Co Nie Ma Imienia zaczęło słabnąć.

Set natarł mocniej,

zranił wroga i

gotował się, by zadać cios ostateczny.

A toczyli bitwę na wodach oceanów,

pod oceanami,

potykali się na lądach,

w zimnych strugach powietrza i

na szczytach gór wysokich.

Ścigał potwora wokół planety,

szukając luki, w którą wrazi

Cios Śmierci.

Podmuch walki zmiotł dwa kontynenty,

zagotował oceany i

wypełnił powietrze chmurami.

Skały kruszyły się i topiły,

Niebo spięły huczące grzmoty,

niczym niewidzialne klejnoty z mgły i

pary.

Wiele razy powstrzymywałem Tyfona,

który chciał z pomocą mu iść.

Aż potwór zwinął się, skręcił i umknął

na wysokość pięciu kilometrów

jak dym węzowy.

Set stał wciąż nieugięty,

jedną nogą na wodzie,

drugą na lądzie i

wtedy ten przeklęty intrygi arcymistrz,

Anioł Domu Życia,
Ozyrys,
dał dowód swej zdrady.
Kiedy Set skradł mu żonę, Izydę,
która zrodziła nas obu, Tyfona i mnie,
Ozyrys poprzysiągł zemstę
i wspierany przez Anubisa,
użył pola Mocy tak,
jak używa się go, by wyzwalać energię ze słońc.
Cios to potworny,
gwiazdy do eksplozji niemal
doprowadzający, a ja moment ledwie miałem, by
umknąć. Set nie miał szans.

Na planetę nigdy przedtem nie kierowane,
zniszczyło ten świat.
Ja uciekłem,
przenosząc się w miejsce o lata świetlne odległe.
Tyfon chciał zbiec
w podprzestrzeń, gdzie zbudował swój dom,
ale nie zdążył.

I nigdy już brata nie ujrzał. Ani ciebie, Chmurko droga.
Straciłem ojca - mego syna,
brata,
ciało mej żony -
To, Co Nie Ma imienia ocalało.

Jak, nie wiem,
potwór uszedł rzezi
Młota Gwiazdomiażdża.

Znalazłem go później wśród szczątków świata.
Dryfował w próżni
jak niewielka mgławica
otoczona językami ognia.

Otuliłem go siecią sił i,
osłabiony,
skurczył się jak przekłuty balonik.
Zabrałem go potem do ustronnego miejsca,
z dala od Światów Życia,
gdzie do dziś przebywa
uwięziony w komnacie bez drzwi i okien.

Wiele razy próbowałem go zabić,
lecz nie wiem tego, co odkrył Set,
gdy niósł mu zgubę Mieczem Ognistym,
i potwór wciąż żyje, wciąż krzyczy,

a gdyby go kiedykolwiek uwolnić,
zniszczy wszelkie Życie,
wszystkie Światy Wewnętrzne.

Oto dlaczego nie ukarałem samozwańców,
uzurpatorów mojego tronu
i dlaczego ciągle jeszcze uczynić tego nie mogę.
Muszę pozostać strażnikiem,
dopóki wróg Życia nie zginie.

Dlatego też nie byłem w stanie zapobiec temu,
co stało się później.

Podczas mej nieobecności, wśród Aniołów
licznych Stacyj pojawiły się tarcia
i rzucili się sobie do gardeł,
walcząc o prymat.

Wojny trwały około trzydziestu lat.
Ozyrys i Anubis podzielili się tym, co zostało,
a ocalały jeno dwie Stacje; inne przepadły.

Ci dwaj, rzecz to oczywista, muszą rządzić
skrajnie różnymi polami wielkiej Mocy
i zsyłają na Światy Życia
głód, zarazy i wojny, żeby
osiągnąć niezbędną równowagę,
którą ja uzyskiwałem stopniowym,
łagodnym oddziaływaniem tysięcy Stacyj.

Inaczej jednak postąpić nie mogą.
Boją się podziału Mocy,
nie udzielą nikomu pełnomocnictw,
sami nie umiając dzielić się nią zgodnie.

I tak wciąż szukam sposobu, żeby zgładzić To, Co Krzyczy Nocą,
a kiedy tak się już stanie,
obrócę swą moc
przeciwko dwóm Aniołom
ocalałych Stacyj.

Przyjdzie mi to bez trudu,
choć przygotować muszę nowych ludzi.
Tymczasem

straszliwym błędem byłoby usuwać
tych, którzy największe z możliwych dobro czynią,
gdy jeno dwie pary rąk kierują Mocą.
A gdy i to się w końcu spełni,
użyję energii wszystkich Stacyj,
by przywrócić ciało tobie, moja Chmurko.

Nad morzem Nefyta zanosí się płaczem.

- To za długo! To się nigdy nie stanie! - łka, a Książę, Który Ma Tysiąc Lat zrywa się i podnosi ręce.

W chmurze, która zawisła tuż nad nim, pojawia się zarys kobiecego ciała. Pot skrapla się na brwiach Księcia, a sylwetka kobiety wolno się oddala. Książę rzuca się naprzód, chcąc ją objąć, lecz ramiona obejmują dym, a w uszach dźwięczy szloch jego imienia, imienia Tota.

I zostaje sam nad morzem i pod morzem, i światełka na niebie są już tylko brzuchami ryb, trawiących rybnie pożywienie.

I oczy zachodzą mu łzami i płacze, bo wie, że ona może położyć kres swej własnej egzystencji. Wykrzykuje jej imię i nawet echo nie wraca.

I postanawia, że To, Co Nie Ma Imienia musi umrzeć.

I rzuca kamień na wodę, a kamień też nie wraca.

Skrzyżowawszy ramiona znika, a jego ślady zacierają się w piasku.

W wilgotnym powietrzu krzyczą już tylko morskie ptaki Nieco dalej jakiś olbrzymi gad wysuwa zielony łeb dziesięć metrów nad powierzchnię wody, po czym, kołysząc długą szyją, zanurza się z powrotem w głębiny.

MARACZEK

Przypatrz się teraz Twierdzy na Maraczku, w Centrum Światów Wewnętrznych...

Martwota to tylko, martwota i martwota w kolorze pyłu.

Jest to miejsce, gdzie często medytuje Książę, Który Ma Tysiąc Lat.

Na Maraczku nie ma żadnych oceanów. Nieliczne musujące źródelka śmierdzą mokrym psem, są ciepłe i słonawe. Słońce Maraczka to bardzo zmęczona, mała, czerwona gwiazdka, zbyt szanująca się albo zbyt leniwa na to, żeby wreszcie eksplodować jako nova. Daje nikłe i anemiczne światło, co tłumaczy długie, niebieskawe cienie za groteskowymi rzeźbami kamieni na ogromnych, wypalonych równinach koloru brązu i pomarańczy. Taki jest właśnie Maraczek tutaj, gdzie szaleją wiatry i skąd można dojrzeć gwiazdy nawet w południe. Świecą wtedy blado, ale wieczorem lśnią nad smaganym huraganem pustkowiec jak neon, jak acetylen czy lampa błyskowa. Maraczek to w większości równiny, ale dwa razy w ciągu dnia równiny te przemieszczają się względem siebie. Dzieje się tak wtedy, gdy wichur sięga zenitu i przerzuca piach z miejsca na miejsce, rozdrabniając ziarenka na coraz to drobniejszy i drobniejszy pył, tak że złotawe kurzawy mgieł poranka i zmroku wiszą w powietrzu przez cały dzień, co jeszcze bardziej odcina planetę od słonecznego oka aż w końcu wszystko wyrównuje się i osiada: i góry, które się spłaszczyły, i skały na tysiące sposobów rzeźbione, wciąż grzebane i ciągle z martwych wstające - tak wygląda powierzchnia Maraczka, która, oczywiście, była niegdyś sceną chwały, potęgi, sławy i pompy, bo to przecież szablon. Ale jest na Maraczku, w Centrum Światów Wewnętrznych, ponura budowla, która świadczy o prawdziwości powyższego stwierdzenia - Twierdza, która, bez wątpienia, istnieć będzie aż do końca tego świata, chociaż, co prawda, zdarzyć się może, że piach zasypie ją i odkopie wiele razy, nim nastanie dzień jej ostatecznego rozpadu i śmierci. Twierdza - tak stara, że nikt nie da głowy za to, że w ogóle ją kiedykolwiek zbudowano; Twierdza - najstarsza być może konstrukcja we wszechświecie - burzona i odbudowywana w nieskończoność (kto wie ile razy na tych samych fundamentach, tworzona, być tak też może, od wymaganego początku abstrakcji zwanej Czasem; już sam fakt, że tam jeszcze stoi, jest świadectwem tego, że niektóre rzeczy, jakkolwiek zniszczone, wciąż jednak trwają na przekór wszelkim przeciwnościom losu - pisał o tym Vramin w „Dumnej Skamienielinie”: „Słodkawy odór rozkładu nigdy nie owionął twych murów, albowiem przeznaczenia wystarczy - utrwali je niczym bursztyn”. Utrwały się więc mury kompleksu

Maraczek - Karnak, miasta pierwotnego, które dzisiaj zamieszkują tylko małe, bojaźliwe stworzenia, głównie insekty i gady zjadające się nawzajem. Jedno z nich (ropucha) istnieje tutaj teraz, dokładnie w tym momencie Czasu, i kiedy chorowite słońce wygrzebuje się ociężale z pyłu i mroku, a gwiazdy nieco bledną, ona siedzi na wiekowym stole w najwyższej (północno-wschodniej) wieży na Maraczku, przykryta odwróconą do góry nogami czarą. Taki oto jest Maraczek.

Właśnie tutaj przybywają Vramin i Madrak. Przybywają z Błogorii przez bramę nadprzestrzeni i kładą swe ciężary na wiekowym stole zrobionym z jednego kawałka różowej i nieznanej materii, której nawet sam Czas nie może pożreć.

Jest to miejsce, gdzie w marmurowej pamięci szaleją duchy Seta i potworów, z którymi walczy. A pamięć ta to niszczona i od nowa wznoszona Twierdza, najstarsza, wieczna.

Vramin wymienia Generałowi lewą rękę i prawą stopę. Odwraca mu przekreśloną do tyłu głowę, a następnie robi na szyi zaczepy, aby czerep dobrze się trzymał.

- A drugi w jakim jest stanie? - pyta.

Madrak skończył już oględziny źrenic Przebudzeńca i zmierzył mu puls.

- Według mnie to szok. Czy kiedykolwiek wyrwano kogoś z samego ognia bitwy na czasoportacje?

- O ile wiem, nie. Odkryliśmy pewnie nowy symptom. Nazwiemy go... „zmęczenie czasoportacyjne” albo... „szok czasoprzemienny”, co? Będą o nas jeszcze pisać w podręcznikach.

- Co z nimi zrobimy? Potrafisz ich ożywić?

- Całkiem prawdopodobne. Ale wtedy znowu zaczną i pewnie nie skończą, dopóki i tego świata nie obrócą w perzynę.

- Niewiele tu do obracania... A może najpierw sprzedajmy bilety, a potem niech się leją, co? Wpadłby niezły grosz.

- Ach ty cyniczny kupczyk ludzkich namiętności! Tylko facet w habicie może wpaść na coś takiego!

- Wcale nie! Nauczyłem się tego na Błogorii. Pamiętasz?

- Prawda... Tam, największy show życia stał się tym, co życie czasami zabija... Wracając do tych tu, sądzę że mądrzej byłoby wysłać ich do dwóch różnych światów i tam zostawić własnym myślom.

- Więc dlaczego ściągnąłeś ich tutaj?

- Nikogo tu nie ściągałem! Wessało ich w nadprzestrzeń razem z nami. Wybrałem to miejsce, bo do Centrum zawsze najłatwiej się dostać, ot co.

- Musimy zatem postąpić tak, jak mówisz. I to natychmiast.

- Odpocznijmy najpierw troszkę. Oni się nie obudzą. Równie dobrze możemy ich tu zostawić i znów skoczyć w nadprzestrzeń. Co ty na to?

- To niezgodne z moją etyką, bracie.

- Nie mów mi tu o etyce, ty okrutny humanisto! Ty lino ratownicza śmiertelników! Ty święty sanitariuszu od siedmiu boleści!

- Gadaj sobie, co chcesz - ja nie opuszczę człowieka w potrzebie.

- No cóż, dobrze... spójrz no! Ktoś tu już przed nami był! Chciał zadusić tę ropuszkę...

Madrak spogląda na czarę.

- Słyszałem, że ropuchy mogą przetrwać całe wieki w maleńkich, bezpowietrznych kryptach. Ciekawe, jak długo ta tutaj siedzi?... Ach, gdyby tak przemówiła! Pomyśleć tylko jakiej wspaniałej przeszłości świadkiem być musiała!

- Nie zapomnij, że to ja jestem poetą i bądź uprzejmy pozostawić domniemania tym, którzy umięją się lepiej wysławić i uczynią to z należytą powagą, ja... - Vramin podchodzi do okna. - Mamy towarzystwo - mówi nagle. - Teraz z czystym sumieniem możemy zostawić tu tych dwóch.

Spiż, niczym olbrzymi posąg, rży jak gwizdząca lokomotywa, unosi do góry trzy nogi, a potem wali nim o blanki murów obronnych. Tryska promieniami lasera w światłość budzącego się poranka, a rzędy jego oczu bezustannie mrugają,

Ktoś się zbliża, choć dokładnie nie widać, bo to noc jeszcze i kurz dokoła.

- Więc jak? Pryskamy?

- Nie.

- Myślę podobnie.

Myśląc czekają.

SEKSKOMPUTER

Nie wszyscy wiedzą, że niektóre maszyny uprawiają miłość i dzieje się tak wbrew metafizycznym rozważaniom Świętego Jakuba Mechanofila. Święty Jakub Mechanofil uważa bowiem człowieka za organ seksualny maszyny, która go stworzyła i sądzi, że istnienie człowieka jest niezbędne dla wypełnienia się misji życiowej tegoż mechanizmu. Twierdzi on, że maszyna wytwarza kolejne generacje maszynotypów, a wszystkie stadia owej mechanicznej ewolucji przeplývają przez człowieka aż do momentu, w którym osiągnięta zostaje absolutna doskonałość produktu i człowiek, zrobiwszy swoje, może poddać się Wielkiej Kastracji.

Święty Jakub jest, rzecz jasna, heretykiem. Jak zostało udowodnione w wypadkach zbyt licznych, by je tu przytaczać, maszyna jako całość musi dysponować płcią. Ponieważ człowiek i maszyna wymieniają się Często składnikami lub nawet całymi systemami, złączone razem stają się tworem, który może zaistnieć w dowolnym miejscu mechaniczno-ludzkiego spektrum i przebyć całość cyklu. Dlatego człowiek, ów organ zarozumiały, osiągnął swą apoteozę, czy też doskonałe zespolenie, z Uszczelkotłokiem poprzez ofiarę i pokutę. Wchodzi tu również w rachubę pomysłowość, lecz pomysłowość sama w sobie jest, oczywiście, formą mechanicznej inspiracji. Nie można więc już dłużej tolerować idei Wielkiej Kastracji, rozważać możliwości odłączenia maszyny od tego, co ją stwarza. Człowiek na zawsze pozostanie częścią Wielkiego Obrazu.

Wszyscy wiedzą, że maszyny uprawiają miłość. Oczywiście nie w sensie dosłownym, inaczej niż to robią kobiety i mężczyźni, którzy, pomijając tu rodzaj pobudek ekonomicznych, jakimi się kierują, odnajmują swe ciała na rok czy dwa jednemu z drobnych towarzystw handlowych, pozwalając zespolić się z maszyną, karmić dożylnie, gimnastykować izometrycznie, pograć się w podświadomość (lub zachować pełnię władz umysłowych, jeżeli tego sobie życzą), narażają mózg na implantacje stymulujące odpowiednimi ruchami przez okres nie dłuższy niż piętnaście minut na jedną monetę, dają się umieszczać na kanapach ekstrawaganckich klubów (coraz częściej w zamożniejszych domach, ale też i w tanich budkach na rogach ulic) ku uciechu i dla rozrywki swych pobratymców. Nie. Maszyny kochają się jak człowiek, lecz ponieważ opisywano już przypadki przeniesienia funkcji, robią to zazwyczaj odruchowo.

Zajmijmy się teraz jedynym w swoim rodzaju fenomenem, który dopiero co pojawił się na rynku: Sekskomputer - komputer-wyrocznia; który udziela odpowiedzi na pytania z każdego zakresu i odpowiada tak długo, jak długo pytający zdoła go utrzymać w stanie odpowiedniego

podniecenia. Ilu to z was zdążyło już odwiedzić ten zaprogramowany buduar, aby rozważyć, rozstrzygnąć jakiś problem olbrzymiej wagi? Ilu toż was zauważyło, jak szybko mija tam czas?... Właśnie. Wygląda niczym antycentaur (człowiek od pasa w dół), jest wcieleniem wszystkiego, co najlepsze u maszyny i u istoty ludzkiej, i jest symbolem doskonałej fuzji tych dwóch form. Jak zawsze w takich wypadkach, powstała już rzewna historyjka miłosna o mężczyźnie, który wchodzi do Kabiny Pytań, żeby dowiedzieć się o losy swej ukochanej. A Maszyna mu na to, że... - nie, o tym później. Dzieje się tak przecież zawsze i wszędzie, i nierzadko nie znajdujemy nic równie wzruszającego.

WÓDZ NACZELNY

Nadchodzi Horus. Widząc na murach Spiża, przystaje i woła:

- Otwórzcie tę przeklętą bramę, bo wysadzę ją kopem! Na to Vramin wychyla się zza blanki i rzece:

- Ponieważ jej „nie zamykałem, nie zamierzam jej otwierać. Sam sobie znajdziesz wejście albo nałykasz się pyłu.

Horus rzeczywiście rozbija bramę kopniakiem (zadziwia to nieco Madraka) i wchodzi po krętych schodach na najwyższą wieżycę Twierdzy. Wpada do komnaty, spogląda wrogo na poetę i rycerskiego zakonnika, po czym zapytuje:

- Który z was wzbraniał mi wejścia?

Madrak i Vramin robią krok do przodu.

- Banda głupców! Wiecie li że jestem bóg Horus?! Żem wprost z Domu Życia przybył?!

- Wybacz nam, Horusie, że nie jesteśmy tym należycie wstrząśnięci - mówi Madrak - ale nam też nikt wrót nie otwierał; samiśmy weszli.

- Jak się nazywacie, o wy, których za chwilę uśmiercę?

- Vramin, do usług, ale nie wszystkich.

- ... i Madrak.

- Aha! Słyszałem o was coś niecoś! Dlaczego tutaj siedzicie i co to za truchło leży na stole?

- Jesteśmy tutaj, bo nie ma nas gdzie indziej, proszę pana - odpowiada Vramin. - A na stole? Dwóch ludzi i ropucha - ty im do pięt nie dorastasz.

- Biedy sobie napytasz za grosze, a ich spleta może ci kark skrócić... - ostrzega Horus.

- Cóż, jeżeli spytać można, sprowadza naszego kuso odzianego boga zemsty w to zgniłe moralnie towarzystwo? - To Vramin.

- Zemsta, rzecz oczywista, cóżby innego! Czy któryś z was, domokrażcy, spotkał gdzie ostatnio Księcia, Który Ma Tysiąc Lat?

- Szczerze zaprzeczyć temu muszę.

- ... i ja.

- Szukam go.

- Tutaj?

- Przepowiednia mówi, że tu mi szczęście będzie sprzyjać... No dobrze. Nie mam ochoty walczyć

z herosami - tak o was też mówią. Ale i wy przeprosić mnie winniście za to „życzliwe przyjęcie”.

- W porządku - godzi się Madrak - gdyż wiedz, że nasze rozsierdzenie spowodowane jest jedną z ostatnich bitew. Spędziliśmy tu godziny łagodząc gniew. Czy łyk dobrego czerwonego wina z jedynej, bez wątplenia, flaszki na tym świecie wyrazi szczerą naszych uczuć?

- Powinien, jeśli gatunku przedniego to wino.

- Uzbrój się zatem w cierpliwość.

Madrak wydobywa pękata karafkę, ciągnie długi łyk, żeby pokazać, iż wino nie zatrute i rozgląda się po komnacie.

- Nada się w sam raz - mówi i podnosi ze stołu odwróconą do góry nogami czarę. Wytarłszy ją do czysta suknem, napelnia i podaje Horusowi.

- Dzięki ci, waleczny zakonniku. Przyjmuję ten puchar z takimi samymi uczuciami, z jakimi mi go ofiarujesz. Cóż to za bitwa wytrąciła was z równowagi do tego stopnia, że aż się zapomnieliście?

- Bitwa na Błogorii, Brązowooki, między Stalowym Generałem i tym, którego zwał Przebudzeńcem-Tułaczem.

- Stalowy General?! Być to nie może! On od stuleci nie żyje! Sam go uśmierciłem!

- Wielu go uśmiercało, nikt go nie pokonał.

- Ta kupa złomu na stole?! Czyż możliwe, że to ów Książę Buntowników, który niegdyś stawiał mi czoło bogom podobny?

- On był potęgą, zanim jeszcze zrodziła się twa pamięć rzeczce Vramin. - Kiedy ludzie zapomną już o Horusie, Stalowy General nadal żyć będzie. Po czyjej stronie walczy? Nie ma znaczenia, gdyż czy wygra, czy przegra on duchem rebelii, a ta jest wieczna.

- Podobać to mi się nie podoba - odzywa się Horus. - Gdyby tylko zliczyć wszystkie jego części, zniszczyć każdą po kolei i z osobna i rozrzucić je po całym Kosmosie, General przestałby istnieć.

- I tego próbowano. Przez mnogie wieki jego stronnicy gromadzili szczątki, lecz w końcu złożyli maszynę w całość. Przed bitwą, która zniszczyła świat, - mówi dalej Vramin - ten tu Przebudzeniec wyraził podobną opinię. Jedynym co powstrzymuje ich teraz od zrujnowania - wybacz niezręczne słowa i tego świata jest to, że nie pozwalam im ocknąć się z szoku.

- Przebudzeniec?! Więc to jest straszliwy Przebudzeniec! Tak, on ci to, wystarczy spojrzeć jak śpi... Czy wiesz może, kim on naprawdę jest? Mistrzowie nie zjawiają się znikąd.

- Nie wiem o nim nic prócz tego, iż tęgi z niego zapaśnik i mistrz czasoportacji. Nawiedził

Błogorię w jej dni ostatnie, nim pola śmierci się nad nią starły. Może być, że przybył, aby przyspieszyć złe Moce...

- To wszystko, co o nim wiesz?

- To wszystko.

- A ty, dzielny Madraku?

- Taką i moja wiedza.

- A gdyby go obudzić i wypytać?

- Dotknij go tylko, a zerwę cię twego życia! - ostrzega Vramin i unosi różdżkę. - On jest zbyt niebezpieczny, a my przybyliśmy tu na odpoczynek.

Horus kładzie dłoń na ramieniu Przebudzeńca i lekko nim potrząsa. Przebudzeniec jęczy.

- Wiedz, że różdżka życia jest też i włócznią śmierci! - krzyczy Vramin i gwałtownym pchnięciem kłuje ropuchę, która momentalnie ucieka i siada tuż obok lewej ręki Horusa.

Ten nie robi nawet kroku w stronę Vramina, bo żaba nagle eksploduje z ostrym sykiem uchodzącego powietrza, które formuje się na środku stołu w wyniosłą postać.

Złote włosy puszą mu się na głowie, cienkie wargi rozciągają w uśmiechu, a zielone oczy tkwią w blacie u stóp.

Książę, Który Był Ropuchą dotyka czerwonej pręgi na ramieniu.

- Czy wiesz, że napisano: „Bądź dobry dla ptaków i zwierząt”? - pyta.

- Kipling! - odgaduje z uśmiechem Vramin. - I Koran.

- Ty zmiennokształtny łotrze! - wykrzykuje Horus. - Czyżbyś był tym, którego szukam?! Tym, którego zwą Księciem?!

- Tak, do tego tytułu się przyznaję. Wiedz, że zakłóciłeś mi medytacje.

- Gotuj się na śmierci spotkanie - mówi Horus, dobywając zza pasa strzałę, jedyną broń, jaką posiada. Odłamuje jej czubek.

- Czy sądzisz, że nie świadom twój mocy, bracie? - pyta Książę, kiedy Horus podnosi grot do góry, trzymając go między kciukiem a palcem wskazującym. - Czy sądzisz, bracie, że nie wiem, iż siłą umysłu potrafisz wpłynąć na masę lub prędkość dowolnego ciała, zwiększając jedno lub drugie po tysiąckroć?

W okolicach dłoni Horusa wykwitła migotliwy krąg, po czym słychać głośny trzask po drugiej stronie komnaty. Książę pojawia się nagle o metr od miejsca, gdzie stał dotychczas, a grot szybuje dalej we mgłę i wiatr poranka, przebiwszy piętnastocentymetrowej grubości ściankę z

żelaza.

- A czyż nie wiesz, bracie, że z taką samą łatwością, z jaką uniknąłem twej strzały, mógłbym przenieść się do miejsca niewyobrażalnie stąd odległego? Tak, nawet poza Światy Wewnętrzne.

- Nie nazywaj mnie bratem - rzecze Horus, podnosząc drzewce strzały.

- Ależ tyś brat mój! - Książę na to. -A przynajmniej z jednej jesteśmy matki! Horus puszcza drzewce na ziemię.

- Nie wierzę ci!

- W takim razie jak myślisz, po kim odziedziczyłeś boską moc? Po Ozyrysie?! Chirurgia plastyczna dała mu łeb kurczęcia, a jego wątpliwe pochodzenie skłonności do matematyki, lecz ty i ja, bracie, obdarowani mocą kształtów przemiany, jesteśmy synami Izydy, Czerwonej Wiedźmy Balkonii!

- Przeklęte niech będzie imię matki mojej!

Książę staje nagle na podłodze komnaty tuż przed Horusem i wymierza mu policzek wierzchem dłoni.

- Mogłem cię po stokroć zabić, kiedyś tak stał - powiada. - Pohamowałem się jednak, boś mi bratem. Teraz też cię mogę zabić, ale nie uczynię tego, boś ty brat mój. Nie mam broni, gdyż mnie broń niepotrzebna. Nie mam do nikogo urazy, gdyż ugiąłem się wtenczas pod brzemieniem życia mego. Lecz nie waż się mówić źle o naszej matce, bo ona sama odpowiada za to, co robi. Nie pochwalam jej czynów, ale i nie ganię. Wiem, żeś przybył tu, żeby mnie zabić. Jeżeli więc życzysz sobie mieć jeszcze ku temu sposobność, nie miel ozorem na jej temat, bracie.

- Zatem nie mówmy już o niej.

- Dobrze. Wiesz, kim był mój ojciec, więc wiesz również, że nieobce mi rzemiosło wojenne. Dam ci szansę Staniemy twarzą w twarz, lecz najpierw musisz coś dla mnie zrobić. W przeciwnym razie zniknę i poszukam sobie kogoś innego do pomocy, a ty życie strawisz, nim mnie odnajdziesz.

- Przepowiednia jednak się sprawdza i źle mi wróży... - rzecze Horus.

- Wszak nie mogę stracić okazji, żeby spełnić misję, nim ten Przebudzeniec, wysłannik Anubisa, spełni ją za mnie. Nie wiem, do czego jest zdolny, a mocą przewyższać może nawet ciebie. Dobrze, zawieszam broń, uczynię, czego pragniesz, a potem cię zabiję.

- Więc ten człowiek jest nasłanym mordercą z Domu Śmierci - dziwi się Książę.

- Tak.

- Wiedziałaś o tym, mój Aniele Siódmej Stacji?
- Nie, Panie - odpowiada Vramin, skłaniając się lekko.
- Ani ja - śpieszy Madrak.
- Zbudźcie go. I Generała.
- Nasz układ nieważny, jeżeli to zrobisz! - ostrzega Horus.
- Zbudźcie ich obu - powtarza Książę i składa ręce. Vramin unosi różdżkę. Tryskają z niej zielone ognie i spowijają dwa rzucone na stół ciała.

Na dworze wzmaga się wiatr. Horus omiata obecnych niespokojnym spojrzeniem.

- Stoisz do mnie plecami, bracie - powiada. - Odwróć się, stań do mnie twarzą, bym mógł cię zabić. Powiedziałem - układ nieważny.

Książę odwraca się.

- Ci ludzie są mi również potrzebni - tłumaczy.

Horus potrząsa głową i zamierza się.

Nagle:

- Istny zjazd rodzinny! - słychać, a głos niesie się po całej komnacie.

- Wszyscy trzej bracia razem nareszcie!

Horus cofa rękę jak oparzony, bo widzi, że między nim a Księciem kładzie się cień czarnego rumaka. Bóg zakrywa dłonią oczy i spuszcza głowę.

- Zapomniałem - wyznaje - że zgodnie z tym, czegom się dzisiaj dowiedział i w tobie krew moja płynie.

- Nie przejmuj się. Ja wiem o tym od wieków i jakoś z tym żyję - mówi Tyfon i Przebudzeniec wraz z Generałem budzą się wśród śmiechu, który przypomina śpiew wiatru.

STUK, PUK I BULG

- Podaj mi, proszę, szczypięże.
- Słucham?
- Szczypięże! Szczypięże!
- Nie mam ich.
- Ja je mam.
- No to czego nie mówisz?!
- Bo mnie nie pytałeś.
- Dobra. Przepraszam. Dawaj. Dzięki.
- Właściwie po co to znowu grędzisz? Przecież już gotowe.
- Ot, dla zabicia czasu.
- Poważnie, sądzisz, że on po to przyśle?
- Skądże znowu! Ale to jeszcze nie powód, żeby wypuszczać pośledniejszy wyrób.
- A ja sądzę, że przyśle.
- A ciebie kto pyta?
- Sam z siebie wygłaszam opinię.
- Po co mu to potrzebne? Narzędzie, którego nikt nie będzie w stanie użyć...
- Jeżeli złożył zamówienie, wie, co robi. Nikt inny z jego rodzaju nie przyjeżdża tu robić z nami interesów. Poza tym jest dżentelmenem. Pewnego dnia po to przyśle albo i sam wpadnie.
- Już to widzę!
- A zobaczysz, zobaczysz. Poczekaj tylko.
- A co innego nam zostało?
- Trzymaj swoje szczypięże. - Możesz je sobie...

CERBER ZIEWA

Pies przerzuca rękawicę z jednego pyska do drugiego, ale ziewa, gubi ją i rękawica spada na ziemię.

Pies wyciąga ją spośród kości leżących między łapami, merda ogonem, zwija się w kłębek i zamyka dwie pary oczu. W zawieszistej ciemności panującej za Nie Tymi Drzewami pozostałe ślepia żarzą się jak rozpalone węgle.

Gdzieś wyżej, w przeciwnym kierunku, wydziera się Minotaur.

BÓG JEST MIŁOŚCIĄ

Na stadionie sześciu wykastrowanych kapłanów wiedzie pięćdziesiąt tysięcy zagorzałych czcicieli Starych Butów, a wszyscy intonują monotennie podniosłą litanię.

Tysiąc odurzonych narkotykiem rycerzy (Chwała! Chwała! - wychwalają) kiwa się wraz z włóczyniami przed ołtarzem Nieznaszalnych.

Zaczyna kropić deszcz, ale prawie nikt tego nie zauważa.

JUŻ NIGDY...

Ozyrys bierze czaszkę, wciska ozdobny ćwiek w jej skroń i przemawia:

- Niegdyś, śmiertelnikiem będąc zakwitłaś jasno na kości kręgosłupa szczycie i... uwiedłaś. Taki oto twój kres, o ty, prawdziwa kiedyś...

- Kto mi sen przerywa? - odzywa się czaszka. - Czy to Władca Domu Życia zakłóca mi spokój?

Ozyrys na to:

- Wiedz też, że używam cię jako przycisku do papieru.

- Jeżeliś kiedykolwiek miłował mnie prawdziwie, roztrzaskaj mnie teraz i pozwól umrzeć! Nie utrzymuj dłużej przy życiu fragmentu tej, która cię niegdyś kochała!

- Hola, miła pani, dnia pewnego, i tak być może, zwrócę ci ciało, żebyś znów mnie pieściła.

- Myśl o tym wstręt we mnie budzi.

- We mnie też. Ale kto wie, miewam różne zachcianki...

- Czy zawsze torturujesz wszystkich, którzy ci niemili?

- Nie, nie, ty kościana skorupo, śmierci pełna! Nie śmieję nawet tak myśleć! Zgoda, Anioł Dziewiętnastej Stacji usiłował mnie zabić i wplotłem jego system nerwowy między nici dywanu, na którym teraz stoję. Prawda i to, że moi inni wrogowie istnieją w szczątkowej formie porzrzućci po całym Domu: w kominkach, pojemnikach na lód, w popielniczkach i tak dalej. Ale nie myśl, że mściwy! Nigdy! Przenigdy! Jako Władca Życia czuję się zobligowany wyrównywać rachunki ze wszystkim, co zagraża Życiu.

- Jam nigdy Życiu nie zagrażała, Panie.

- Zagrażałaś spokojowi mej duszy.

- Bom podobna była do żony twej, Izydy?

- Zamilcz!

- Tak! Byłam podobna do tej Królowej Ladacznicy. Do twej narzeczonej, Panie! I dlatego mnie pożądałeś! Dlatego chciałeś mej zguby! - tu urywają się słowa, gdyż Ozyrys cisnął czaszkę w ścianę.

Kiedy kość się rozpęka i czerep rozpada na kawałeczki, rozsiewając po dywanie kłębowisko mikroobwodów i substancji chemicznych, Ozyrys przeklina, dopada biurka i szaleje wśród przełączników. Wgnięta je, one wyzwalają dziesiątki głosów, na tle których wyróżnia się szczególnie jeden.

- O sprytna czaszko! Tak podejść to boże szkaradztwo!

Zerknąwszy na tablicę rozdzielczą i upewniwszy się, że to dywan szydzi, Ozyrys biegnie na środek komnaty i zaczyna po nim skakać. Słysząc coraz głośniejsze jęki.

PSA UROK

Dwaj herosi, Madrak i Tyfon, wkraczają tam, gdzie ciemność i hańba. Wysłani przez Tota Hermesa Trismegistusa do świata zwanego Mortuarią po rękawicę mocy niezwyklej, przybyli, żeby stoczyć bój z jej strażnikiem.

Mortuaria, świat zdewastowany dawno temu, jest kryjówką bandy istot, które mieszkają pod powierzchnią ziemi w jaskiniach i lochach, z dala od królestwa dnia i nocy. Ciemność, wilgoć, mutacja, bratobójstwo, kazirodztwo i gwałt to słowa najczęściej używane przez garstkę tych, którzy podejmują się próby opisanie Mortuarii.

Przetransportowani tutaj dzięki jednej z kosmicznych sztuczek znanych tylko Księżciu, zwyciężą lub polegą. Wędrują obecnie wąwozami i kierują się, jak im doradzono, rykiem Minotaura.

- Czy jesteś pewny, cieniu czarnego rumaka, że brat twój wyciągnie nas stąd w odpowiedniej chwili?

- Tak - mówi cień sunący obok. - A nawet jeżeli nie, nic mnie to nie obchodzi. Sam potrafię zabrać się stąd, kiedy tylko zechcę.

- No tak, ale ja nie potrafię.

-- Więc się martw, grubasku. Mnie to nie obchodzi. Zgłosiłeś się na ochotnika, żeby mi towarzyszyć. Ja tego nie chciałem.

- Zatem oddaję swe ciało w ręce Tego, Cokolwiek Się Stanie i co potężniejsze od życia i śmierci

- jeżeli, rzecz jasna, akt ów okaże się pomocny w zachowaniu mnie przy życiu. Jeżeli bowiem nie, wycofuję ofertę. Jeśli natomiast słowa me zabrzmia arogancko i tym samym zostaną źle odebrane przez To, Czymkolwiek To Jest, a co zechce mnie wysłuchać, odżegnuję się od mej modlitwy i o wybaczenie proszę, jeżeli niezbędne. Jeśli nie, to nie. Z drugiej jednakże strony...

- Amen! I cisza już, proszę! - dudni Tyfon. - Słyszałem coś. Ryk jakby... Tam, na lewo - dodaje i niewidzialny ślizga się po ciemnej ścianie, mija zakręt, pędzi dalej.

Madrak lustruje teren przez lornetkę na podczerwień, której promień, niczym błogosławieństwo, omiata wszystko na swej drodze.

- Te jaskinie muszą być głębokie i rozległe... - szepcze. Nikt mu nie odpowiada.

Aż nagle staje przed drzwiami, które mogą okazać się Nie Tymimi Drzwiami. Otwiera je i natyka się na Minotaura.

Już podnosi laskę, ale stwór znika w okamgnieniu.

- Gdzie się podział?

- Schował się. - Głos Tyfona brzmi niespodziewanie blisko. - Ukrył się gdzieś w zakamarkach swego legowiska.

- A dlaczegoż to?

- Najpewniej istoty tobie podobne często tutaj polują na stwory takie jak on, żeby zdobyć pożywienie, no i myśliwskie trofeum: człowieka z głową bydłęcia. Unika bezpośredniej walki i ucieka, bo on tylko rogi, a ludzie broń mają. Obyśmy go już nigdy nie ujrzeli. Wejźmy do labiryntu. Gdzieś tam znajduje się przejście do niżej położonych komór, których szukamy.

Pół dnia błądzą, bezskutecznie poszukując Nie Tych Drzwi. Po drodze natrafiają na trzy wejścia, ale za wrotami walają się tylko kości.

- Ciekawe jak się wiedzie tamtym? - pyta waleczny zakonnik.

- Lepiej, gorzej, a może tak samo jak nam - odpowiada ze śmiechem Tyfon.

Madrak się nie śmieje.

Wkracza w środek kręgu rozrzuconych puszczeli i w ostatnim ułamku sekundy dostrzega szarżującą bestię. Podnosi laskę i walka się rozpoczyna.

Zakonnik uderza Minotaura między rogi i w skroń. Dźga, wali na prawo i lewo, rąbie, tnie, zwiera się z nim i mocuje.

Zmagają się raniąc wzajemnie, aż wreszcie Minotaur dźwiga Madraka do góry i ciska na drugi koniec lochu. Osłaniając się lewym ramieniem, Madrak pada na stos kości. Kiedy wyteża siły, by wstać, loch pogrąża się w ryku, od którego pękają bębenki. Minotaur opuścił łeb i znowu atakuje. Madrak znajduje oparcie dla nóg i zaczyna się podnosić.

Wtem czarny cień konia pochłania bestię i bestia znika. Całkowicie i na zawsze.

Madrak skłania głowę i odmawia Możliwie Najodpowiedniejszą Modlitwę Na Okoliczność Śmierci.

- Wspaniale - parska jego towarzysz, gdy zabrzmiało finalne „Amen”. - A teraz słuchaj, grubasku. Myślę, że odnalazłem Nie Te Drzwi. Ja mogę tam wejść nie otwierając ich, ale ty tego nie potrafisz. Więc jak będzie?

- Zaczekaj chwilę - mówi Madrak. - Kilka kropelek tej mikstury i będę jak nowonarodzony. I silniejszy niż przedtem. Wtedy wejdziemy tam razem.

- Dobrze, zaczekam.

Madrak wstrzykuje sobie eliksir i po pewnym czasie czuje się niczym młody bóg.

- A teraz pokaż mi te drzwi i wejdźmy.

- Chodźmy tędy.

I rzeczywiście, są tam drzwi - duże, nie przyzwalające i bezbarwne w podczerwieni.

- Otwórz je - rozkazuje Tyfon i Madrak wypełnia polecenie.

Bawi się w świetle ognia, tarmosząc rękawicę. Jest wielkości dwóch i jeszcze połowy słonia i figluje w najlepsze na szczycie sterty kości. Jeden z pysków wietrzy strugę powietrza zza Nie Tych Drzwi, dwie paszcze warczą, trzecia upuszcza zabawkę.

- Czy rozumiesz moją mowę? - zapytuje Tyfon, lecz z trzech par krwistych oczu łypie tylko niema głupota, a trzy ogony psa wiją się nerwowo. Wreszcie, łuszczy i nieprzenikniony w migotliwej poświacie, wstaje.

- Śliczny piesek, dobry piesio mówi Madrak, a Cerber macha wszystkimi ogonami, otwiera wszystkie paszcze i rzuca się w jego kierunku.

- Zabij go! - wrzeszczy zakonnik.

- Nie da rady - odpowiada Tyfon - to jest, nie w tej chwili.

OL TARZ STARYCH BUTÓW

Zbliżywszy się do świata zwanego Interludoria, Przebudzeniec i Vramin przekraczają próg zielonej bramy, którą ten ostatni rozwarł był szybko w czarnej nadprzestrzeni. I tak znajdują się na zwariowanej planecie ulewnych deszczów i nieprzebranych religii. Idą szparko po wilgotnej darni i wkrótce docierają do jakiegoś miasta otoczonego strasznymi, czarnymi murami.

- Teraz wejdziemy - oznajmia Vramin szarpiąc niebieskozieloną brodę. - Wejdziemy przez furtkę, tam, na lewo. Ja ją otworzę. Jeżeli natkniemy się na strażę, zahipnotyzujemy je i podporządkujemy naszej woli. Później przebijemy się do centrum miasta, do wielkiej świątyni.

- Żeby skrać buty dla Księcia - uzupełnia Przebudzeniec. - Zaprawdę, dziwna to misja dla kogoś takiego jak ja. Gdyby nie to, że przyrzekł zwrócić mi imię, moje prawdziwe imię, zanim go zgładzę, nigdy bym się na coś takiego nie zgodził.

- Zdaję sobie z tego sprawę, Lordzie Randalu, synu mój - rzecze na to Vramin - lecz powiedz mi, co zamierzasz uczynić z Morusem, który też ma ochotę zgładzić Księcia i który wypełnia jego rozkazy jedynie po to, żeby później skorzystać z tej samej okazji?

- Jeśli będzie trzeba, zabiję najpierw Horusa.

Fascynuje mnie psychologiczny aspekt tej sprawy. Ufam więc, że udzielisz mi odpowiedzi na jeszcze jedno pytanie: co to za różnica, kto kogo zgładzi, Horus czy ty? Książę i tak będzie trupem.

Przebudzeniec nie odpowiada natychmiast, jakby po raz pierwszy rozważał tę kwestię.

- To ja mam zabić Księcia, nie Horus - oświadcza w końcu.

- Ale przecież tak czy siak Książę będzie martwy - powtarza Vramin.

- On musi polec z mojej ręki.

- No dobrze, ale w dalszym ciągu nie widzę różnicy.

- Ani ja. Jednak to mnie, nie jemu, przydzielono zadanie.

- Może Horus też dostał rozkaz?

- Ale nie od mego Pana.

- A po cóż ci w ogóle pan, Przebudzeńcze? Dlaczego nie jesteś sam sobie panem?

Przebudzeniec pociera czoło.

- Nie wiem... Doprawdy, nie... Muszę wykonywać polecenia.

- Rozumiem - mówi Vramin i wykorzystując roztargnienie towarzysza, kieruje na jego kark

małą zieloną iskierkę, która wyskakuje z czubka różdżki. Przebudzenie klepie się i drapie po szyi.

- Ki diab...

- Tutejsze owady - powiada Vramin. - Chodźmy do furtki

Furtka otwiera się na stuknięcie różdżki, a na widok krótkiego rozbłysku jej zielonego płomienia strażę usypiają. Przywłaszczwszy sobie ich okrycia, Przebudzenie i Vramin ruszają dalej, do centrum miasta.

Świątynię znajdują bez żadnych kłopotów. Jednak znaleźć, a wejść do środka, to duża różnica - przed drzwiami stoją odurzone narkotykami warty.

Dwaj wędrowcy zbliżają się odważnie i żądają, by ich wpuścić.

Osiemdziesiąt osiem włóczy Warty Zewnętrznej kieruje się wprost na nich.

- Następną publiczną adoracją dopiero w czasie deszczu na zachód słońca - mówią strażnicy, odpychając ich do tyłu.

- Poczekamy - decyduje Vramin i czekają.

W strugach deszczu o zachodzie słońca przyłączają się do procesji ociekających wodą bałwochwalców i wchodzą do świątyni zewnętrznej.

Chcą iść dalej, ale zatrzymuje ich trzystu pięćdziesięciu dwóch włóczy odurzonych narkotykami, którzy strzegą następnego wejścia.

- Czy posiadacie odznaki czcicieli świątyni wewnętrznej? - zapytuje kapitan.

Jak najbardziej - odpowiada Vramin unosząc różdżkę.

I w oczach kapitana muszą je rzeczywiście posiadać, gdyż zezwala im przejść dalej.

Potem, kiedy znajdują się już blisko właściwego Sanktuarium, zatrzymuje ich oficer dowodzący pięciuset dziesięcioma znarkotyzowanymi wartownikami blokującymi ostatnie wejście.

- Wykastrowani czy nie wykastrowani? - pyta.

- Jasne, że wykastrowani! Dajcie nam przejść - pieje Vramin wspaniałym sopranem. Oczy rozbłyskują mu zielenią i oficer usuwa się z drogi.

Wchodzą i dostrzegają ołtarz otoczony pięćdziesięcioma strażnikami i sześcioma dziwnymi kapłanami.

- Są tam, na ołtarzu.

- Jak je wydostaniemy?

- Najlepiej jak złodzieje - rzuca Vramin i przepycha się bliżej ołtarza, chcąc zdążyć przed

rozpoczęciem nabożeństwa transmitowanego przez telewizję.

- Ale jak?

- Może udałoby się nam podmienić buty... Zostawimy któreś z naszych i damy nogę w tych uświęconych u ołtarza, co?

- Zgoda.

- A więc, gdyby je tak skradziono pięć minut temu...

- Rozumiem - powiada Przebudzeniec i pochyla głowę jakby się modlił Zaczyna się nabożeństwo.

- Chwała Wam, o Buty, stóp nosiciele! - intonuje pierwszy kapłan.

- Chwała! - skanduje pięciu pozostałych.

- O dobre, szlachetne, błogosławione i łaski pełne Buty!

- Chwała!

- O Wy, które zstąpiłyście do nas z chaosu...

- Chwała!

- ...żeby ulżyć naszym sercom i podtrzymać nas na nogach!

- Chwała!

- O Wy, na których od zarania cywilizacji wspierał się człowiek!

- Chwała!

- O jamy najpełniejszej jamistości! O stóp otoczyciele!

- Chwała!

- Chwała Wam, sponiewierane Koturny Cudowne!

- Wielbimy Was!

- Wielbimy Was!

- Cześć Wam oddajemy w ideale Chodakowości Waszej!

- Chwała!

- O protoplasto stopostroju!

- Chwała!

- O Najwyższe Spełnienie Idei Buta!

- Chwała!

- Cóż by nam czynić bez Was?

- Ach cóż!

- Jeno siniaczyćć palce, ranić pięty i nabawić się płaskostopia!
- Chwała!
- Ochraniaj nas, twych wiernych czcicieli, o dobra, błogosławiona stopouprzeży!
- Która zstąpiłaś do nas z chaosu i otchłani...
- ...owego dnia mrocznego i posepnego...
- ...gorejąca...
- ...lecz nie spopieliała...
- ...O Buty, których posłannictwem pocieszać nas i kierować nami...
- ...dźwigać i ożywiać nas.
- Chwała!
- Zawsze prosto, zawsze przed siebie, zawsze sztorcem!
- Na wieki wieków! Przebudzeniec znika. Zaczyna wiać przerażający, zimny wiatr.

Wiatr towarzyszący czasoportacji - ołtarz okrywa zamazująca kontury mgielka.

Siedmiu włóczników, uprzednio odurzonych narkotykiem, leży teraz bez czucia na ziemi. Ich głowy wygięte są w jakiś nienaturalny sposób. Nagle, tuż koło siebie, Vramin słyszy głos Przebudzeńca.

- Na Boga, otwieraj nadprzestrzeń! Żywo!
- Masz je na nogach?
- Mam!

Vramin unosi różdżkę.

- Boję się, że będziemy mieli niewielkie opóźnienie - powiada, a oczy skrzę się mu jak dwa szmaragdy.

Wtem wszyscy w świątyni spoglądają na nich.

Czterdziestu trzech podnieconych narkotykami włóczników wydaje zgrany okrzyk wojenny i rzuca się do przodu.

Przebudzeniec kuca i rozkłada ramiona.

- Takie oto jest królestwo niebieskie - stwierdza Vramin, a pot niczym krople absyntu, lśni zimno na jego czole. - Ciekawe, jak to wszystko wyjdzie na taśmach video...

OGNISTY MIECZ

- Gdzie my właściwie jesteśmy?! - wykrzykuje Horus. Stalowy Generał zatrzymuje się jak wryty i spręży jakby w oczekiwaniu ciosu. Nic się jednak nie dzieje.

- Przybyliśmy do krainy, która nie jest światem, lecz po prostu miejscem - wyjaśnia Książę, Który Ma Tysiąc Lat. - Nie ma tu ziemi, co daje oparcie dla nóg, bo ziemi tu nie trzeba. Nie ma tu prawie światła, ale ci, którzy tutaj mieszkają, są niewidomi, więc i ten szczegół nie jest istotny. Temperatura dopasowuje się do potrzeb każdego żywego organizmu, gdyż taka jest wola tych, którzy tu przebywają. Pożywienie czerpie się z powietrza, tak jak i wodę która nas teraz otacza i dlatego nie musi się tutaj w ogóle jeść. Co więcej, miejsce to ma i ten plus, że nie odczuwa się tu potrzeby snu.

- To wygląda raczej na Piekło - konstatuje Horus.

- Nonsens - odzywa się Generał. - Ja nie narzekam, a przecież żyję w podobnych warunkach, bo zawsze wlokę z sobą cały mój świat.

- To Piekło... - utrzymuje Horus.

- Chwyćcie mnie w każdym razie za ręce, a poprowadzę was przez ciemność naznaczoną pyłkami jasności do tych, których szukam.

Złączają dłonie, Książę owija się płaszczem i tak żeglują na tle oblanego szarzejącym blaskiem krajobrazu, którego nie ogranicza żaden horyzont.

- A gdzie znajduje się to miejsce, co światem nie jest? - pyta Generał.

- Nie wiem - rzecze Książę. - Może istnieje tylko w jakimś głębokim, lecz jasnym zakamarku mojego skalnego i mrocznego umysłu? Ja wiem tylko, jak tam dotrzeć.

Opadając i unosząc się przez czas, co czasem nie jest, natrafiają w końcu na namiot podobny do szarego kokonu, który błyszczy nad (pod) przed nimi.

Wówczas Książę puszcza ręce Horusa i Generała i koniuszkami palców, dotyka ścianki namiotu. Ścianka drży, zjawia się w niej otwór. Książę wkracza do środka, kiwając na swych towarzyszy, żeby poszli w jego ślady.

W namiocie siedzą Stuk, Puk i Bulg i robią coś, co według naszych norm byłoby obrzydliwe i niespotykane. Tutaj jest to zupełnie normalne i naturalne gdyż Stuk, Puk i Bulg nie są ludźmi i kierują się innymi normami.

- Bądźcie pozdrowieni, kowale z Nornu - mówi Książę. - Przyszedłem po to co obstalowałem

jakiś czas temu.

- A mówiłem, że przyjdzie! - wrzeszczy jedna z szarawych kupek, strzygąc długimi, mokrymi uszami.

- Przyznaje, że miałeś rację, odzywa się druga.

- Tak. Gdzie są szczypięże? Muszę to jeszcze raz przegrędzić zanim...

- Bzdura! Nie masz już nic robić.

- A więc wszystko gotowe? - dopytuje się Książę.

- Oczywiście! Już od lat! Proszę - mówi jeden z kowali i z czarnej pochwy wyciąga przyciętą smugę zimnego, niebieskiego światła. Wręcza ją Księżciu.

Książę bierze miecz do ręki, waży go i ogląda, po czym wkłada z powrotem do pochwy.

- Znakomity - chwali.

- A zapłata?

- Mam tutaj. - Książę wydobywa z fałdów płaszcza czarną szkatułkę i stawia ją w powietrzu tuż koło siebie. Szkatułka, rzecz jasna, wisi tam i nie spada.

- Który z was pierwszy?

- On! I

- Ona!

- Ono!

- Ponieważ nie możecie się zdecydować, zdecyduję za was. Kiedy Książę otwiera szkatułkę, która zawiera narzędzia chirurgiczne i punktową lampę operacyjną, trzy stworki z Nornu zaczynają drzeć.

- Co się dzieje? - pyta Horus. Dopiero co wszedł i stoi teraz obok Księcia.

- Zaraz zoperujemy naszych przyjaciół. Będę potrzebował twej niezwykłej mocy, Horusie, jak i siły Generała.

- Zoperujemy? W jakim celu? - dziwi się Generał.

- Oni są ślepi - wyjaśnia Książę - ale przejrzą znowu. Przyniosłem z sobą trzy pary oczu i zamierzam je im wszczepić.

- Ale to wymaga skomplikowanego procesu adaptacji neurologicznej!

- Już przez to przeszli.

- A któż tym kierował?

- Ja. Ostatnim razem, kiedy podarowałem im oczy...
- A co się z nimi stało?
- Och, rzadko się przyjmują, bo po pewnym czasie organizm odrzuca obce ciało. Najczęściej jednak oślepiają ich sąsiedzi.
- A to dlaczego?
- Myślę, że ci tutaj przechwalają się, że ze wszystkich współplemieńców tylko oni widzą. A to z kolei prowadzi do błyskawicznego zdemokratyzowania sprawy.
- Straszne! - sapie Generał, którego oślepiano tyle razy, że pogubił się w rachunkach. - Jestem skłonny zostać i walczyć o ich prawa.
- Odmówiliby pomocy, Generale - twierdzi Książę. - Nieprawdaż?
- Oczywiście! - potwierdza jeden z kowali.
- Nie zaangażujemy najemnika przeciwko własnemu ludowi! - dodaje drugi.
- To oznaczałoby pogwałcenie naszego prawa! - podsumowuje trzeci.
- Jakiego prawa?
- Jak to jakiego? - Prawa do oślepienia nas, oczywiście! Musisz chyba pochodzić z jakiegoś barbarzyńskiego świata!
- Wycofuję ofertę pomocy.
- Dziękuję.
- Dziękuję.
- Dziękuję.
- Jak ci mamy pomóc? - zapytuje Horus.
- Chwycicie we dwójkę każdego z nich po kolei i przytrzymacie na czas operacji.
- Dlaczego?
- Ponieważ oni nie potrafią zapaść w nieświadomość, a żaden miejscowy środek znieczulający na nich nie działa.
- Zdziwiasz mnie! Chcesz operować ot tak, na żywcą?! To bardzo skomplikowany i delikatny zabieg!
- Tak, dlatego potrzebuję was dwóch do unieruchomienia pacjentów. Oni są całkiem silni...
- Czy musisz to robić?
- Muszę, bo oni sami tego chcą. Taką cenę uzgodniliśmy za ich usługi.
- Ale po co im to wszystko? Żeby pooglądać świat przez te kilka tygodni? I co tu jest właściwie

do oglądania? Pył, mrok i jakieś anemiczne światełka!

- Oni chcą obejrzeć siebie i swoje narzędzia. To najwspanialszy rzemieślnicy we wszechświecie.

- Tak, ja chcę znów zobaczyć szczypięże -jeżeli Bulg ich jeszcze nie zgubił.

- A ja chcę zobaczyć gulbotnicę!

- A ja brzdęgle!

- Za to, czego pragną, zapłacą bólem, ale w ten sposób kupią wspomnienia, które wystarczą im na całe wieki.

- Zgadza się, to warte tego pod warunkiem, że nie będę pierwszy - odzywa się jeden ze ślepców.

- Ani ja!

- Ani ja!

Księżę rozkłada w powietrzu instrumenty i sterylizuje je.

- Trzymajcie tego - decyduje wskazując palcem i zaczyna się okropny wrzask.

Generał wyłącza słuch i większą część swego ludzkiego „ja” na czas kilku następnych godzin.

Horusowi przypominają się eksperymenty ojca i Liglamenti na Kontentorii.

Ręka Księcia nawet nie drgnie.

Kiedy jest już po wszystkim, na twarzach trzech stworzeń widnieją bandaże, których nie wolno im zdjąć jeszcze przez jakiś czas. Wszystkie potworki jęczą i popłakują. Księżę wyciera dłonie.

- Dzięki ci, Księżę, Któryś Był Chirurgiem - zaczyna jeden.

- ...za to, coś dla nas uczynił.

- ...i dla mnie!

- Nie ma za co, poczciwi Nornowie. Ja dziękuję wam za dobry miecz.

- Och, to drobnostka.

- Daj nam tylko znać, kiedy będziesz potrzebował następnego.

- Cena się nie zmieni.

- Dobrze. Muszę już iść.

- Żegnaj.

- Adieu.

- Do widzenia.

- A wam dobrego widzenia, przyjaciele - rzecze Księżę i bierze za ręce Horusa i Stalowego Generała, kierując się w drogę ku Maraczkowi, który jest ledwie o krok stąd.

Kiedy odchodzą, Nornowie znów podnoszą lament, robiąc szybko i frenetycznie rzeczy Nornom zwyczajne i tylko im właściwe.

Horus, Generał i Książe docierają do Twierdzy, ale na moment przedtem Horusowi, który wie, czym jest lśniący miecz, udaje się wyciągnąć go z pochwy u boku Księcia.

Miecz jest wierną kopią broni, której tysiąc lat temu użył słonecznooki Set w walce z Tym, Co Nie Ma Imienia.

KUSZENIE ŚWIĘTEGO MADRAKA

Madrak dostrzega tylko jedną szansę wyjścia z opresji. Rzuca laskę i daje nura na ziemię.

Wybór okazuje się słuszny, bowiem pies przeskakuje nad nim i zatraskuje kły właśnie na lasce.

Ręka Madraka dotyka tkaniny dziwnej rękawicy, którą tarmosiło zwierzę. I nagle ogarnia go przekonanie o własnej niezwyciężalności. Przekonanie jest tak głębokie, że nawet eliksir nie byłby w stanie natchnąć go skuteczniej.

Szybko decyduje się i naciąga rękawicę na prawą dłoń.

Kiedy pies zawraca, Tyfon staje dęba i spada cieniem między Madraka i Cerbera.

Rękawica rozrasta się, łaskocząc i pełzając, sięga już łokcia, pokrywa pierś i kark zakonnika.

Pies skacze jeszcze raz i nagle zanosi się skowytem, bo muska go czarny Tyfon. Jedna paszcza Cerbera zwisa bez życia, a dwie pozostałe warczą.

- Uciekaj, Madraku! Uciekaj na umówione miejsce! - woła Tyfon. - Ja zajmę to bydłę i zniszczę je, a potem ruszę za tobą na własną rękę!

Rękawica sunie już po lewym ramieniu Madraka, a osłania dłoń, klatkę piersiową i brzuch. Zakonnik, który zawsze sływał z niespotykanej siły, wyciąga prawą rękę i rozbija w proch pobliski głaz.

- Nie boję się go, Tyfonie! Sam go zabiję!

- W imieniu brata mego zaklinam cię, odejź!

Madrak kłania się i odchodzi. Za nim unoszą się odgłosy zażartej walki. Mija legowisko Minotaura i stromymi lochami kieruje się w górę.

Zaczepiają go jakieś albinosowate stwory z żarzącymi się zielono ślepiami. Zabija je gołymi rękami i idzie dalej.

Ma chwilę czasu na medytację, nim inna banda opryszków zagrozi mu drogę. Tym razem Madrak nie zabija i chce się z nimi dogadać.

- Lepiej by dla was było rozważyć pierwej fakt, iż być może jakaś część waszego organizmu przetrzyma destrukcję ciała jako takiego. Dla lepszego zrozumienia kwestii nazwijmy ową hipotetyczną część duszą. Zaczniemy zatem od tego, że dusza owa...

Ale stwory atakują i Madrak zmuszony jest się z nimi rozprawić.

- Szkoda - mówi do siebie i znowu odmawia Możliwie Najodpowiedniejszą Modlitwę Na Okoliczność Śmierci.

Idzie dalej i dochodzi w końcu do umówionego miejsca.

I zatrzymuje się tam.

Stoi u Bram Hadesu.

Na Mortuarii...

- Piekło żem splądrował - mówi - i na wpół niepokonanym teraz... To musi być zbrojna rękawica Seta. Dziwne, ledwie do połowy mnie chroni... A może jestem większy od niego?... (Spogląda na brzuch) Chyba nie... Jakaż moc w niej tkwi... Potęga! Rzucić na kolana wszystkich, których dusze skalane i przyczynić się do ich nawrócenia! Może to dlatego wpadła mi w ręce?... Czy Tot jest istotą boską? Zaprawdę, nie wiem. Tak sobie myślę, że jeżeli jest, skrzywdzę go nie oddawszy rękawicy. Chyba że taka jest jego tajemna wola, oczywiście. Spogląda na ręce pokryte zbrojną siatką). Mam teraz moc nieograniczoną. Jak jej użyć?... Całą Mortuarię mógłbym tym nawrócić, gdyby jeno czasu stało... (Za chwilę). Lecz on wyznaczył mi konkretne zadanie! A jednak... (Uśmiecha się). (Zbrojna sieć nie osłania mu twarzy). A co, jeżeli on jest bogom podobny? Synowie, którzy płodzą własnych ojców mogą równać się z bogami... Tak, pamiętam mit o Raju. Ta węzowata rękawica to Owoc zakazany (Wstrząsa nim dreszcz). Ileż jednak dobra mógłbym uczynić... Nie! To pułapka! Ale... Ale Słowo! Mógłbym natchnąć ich Słowem! Zrobię to! I niech mnie piekło pochłonie, jak powiada Vramin!

Lecz kiedy się odwraca, wpada w wir, który rzuca go w dół szerokiej, zimnej studni i dusi słowa w gardle.

Za nim szaleją cienie. Otchłań Mortuarii rozszerza się i Madrak znika, gdyż Książę wezwał go do siebie.

GRZMOTOCHODY

...Ale Przebudzeniec wdział przecież buty i staje teraz w powietrzu, zanosząc się śmiechem. Każdy jego krok jest grzmotem, który przetoczywszy się przez świątynię, miesza się z odgłosami burzy. Strażnicy i wierni pochylają głowy.

Przebudzeniec wbiega po ścianie na sufit i tam się zatrzymuje.

Za plecami Vramina ukazują się zielone drzwi.

Przebudzeniec schodzi na dół i przekracza ich próg.

Vramin za nim.

- Chwała?... - proponuje nieśmiało jeden z kapłanów, ale odurzeni narkotykiem włócznicy rozszarpują go na strzępy.

Wiek po cudownym wstąpieniu Vramina i Przebudzeńca nastanie dzień, kiedy cała galaktyka męźnych rycerzy wyruszy na Wyprawę Po Święte Buty.

Ale teraz ołtarz jest pusty i zaczynają się wieczorne ulewy.

ODZYSKANIE OGNISTEGO MIECZA

I tak oto stoją wszyscy w Twierdzy na Maraczku, mając jeszcze przed oczami wydarzenia ostatnich sekund.

- Zdobyłem buty - powiada Przebudzeniec. - Dostaniesz je w zamian za moje imię.

- Mam rękawicę - mówi Madrak i odwraca wzrok.

- A ja mam miecz! - woła Horus, ale miecz wypada mu z ręki.

- Nie przeszył mnie, gdyż nie ukuto go ani z materii, ani z żadnej innej rzeczy którą mógłbyś władać - mówi Książę i zamyka swe myśli przed telepatycznym spojrzeniem Horusa.

Horus postępuje krok do przodu i jego lewa noga staje się dłuższa niż prawa, lecz on doskonale utrzymuje równowagę, bowiem posadzka nie jest teraz równa; za plecami Księcia okno żarzy się niczym słońce i Stalowy Generał zamienia się w strumień płynnego złota; Vramin pali się jak woskowa świeca a Madrak, przemieniony w grubą kukłę, huśta się w dół i w górę na kawałku gumki; ściany wydają głęboki pomruk i zaczynają pulsować, zapadając się, to wybrzusząc w rytm monotonnej muzyki wygrywanej przez ocierające się o siebie kraty cienia, który drga na posadzce w odległym końcu tunelu uwiecznionym oknem, muzyki, która rozlewa się niczym płynny miód, skacze jak tygrys wokół monstrualnie wielkiego miecza i która jest zbyt delikatna na to, by zachować się po wieczność w tej komnacie na wieżycy Twierdzy Maraczka, w Centrum Światów Wewnętrznych, gdzie Książę raczył zdobyć się na uśmiech.

Horus robi następny krok i w jego mniemaniu staje się nagle zupełnie przezroczysty, tak że wszystko, co w nim, staje się natychmiast widoczne i zatrważające.

Ach, księżyc wstaje niczym dzin

z czarnej lampy nocy,

a ona tunelem mego wzroku kroczy.

To ona unosi dywany dni,

po których chadzałem;

w zamian z otchłani niebios drogę jej wyrzycowałem.

Słysząc głos, dziwny, podobny, a jednak niepodobny do głosu Vramina.

I Horus podnosi rękę na Księcia.

Ale Księżę trzyma go już za przegub, a jego uścisk jest gorący jak płomień.

I Horus podnosi drugą rękę na Księcia.

Ale Księżę trzyma go już za drugi przegub, a jego uścisk jest mroźny jak lód.

I podnosi następną rękę, którą szarpie elektrowstrząsami.

Ale on podnosi swoją i ręka czernieje i usycha.

I podnosi jeszcze sto innych rąk, ale te zmieniają się w węże i zaczynają ze sobą walczyć, więc naturalnie szepcze:

- Co się dzieje?!

- To świat, do którego się przenieśliśmy, Horusie - wyjaśnia Księżę.

- To nie fair, że wybrałeś takie pole walki. Świat to zbyt podobny do tego, który poznałem o krok zaledwie stąd, świat dziwnie zwichrowany - narzeka Horus, mówiąc gładko i płynnie, a słowa jego mienia się wszystkimi kolorami Błogorii.

- Nie fair jest to, że chcesz mnie zabić.

- Takie powierzono mi zadanie i taka też jest moja wola.

- Ale nie udało ci się - konstatuje Księżę, zmuszając Horusa, by ukląkł na Drodze Mlecznej, która obraca się nagle w zwój jelit targany gwałtownymi skurczami ruchu robaczkowego.

Odór jest nie do zniesienia.

- Nie! - szepcze Horus.

- Tak, bracie, pokonałem cię. Nie możesz mnie unicestwić. To ja wyprowadziłem cię w pole. Czas, byś z tym skończył, zrezygnował z walki i udał się do domu.

- Nie uczynię tego, dopóki nie wypełnię swej misji!

W jego wnętrzościach czerwienieją gwiazdy niczym wzbierające ropą wrzody i Horus znowu mocuje się z kalejdoskopem transformacji Księcia. A on przyklęka na jedno kolano a wraz z tym przyklęknięciem rozbrzmiewa podniosła hosanna, rozbrzmiewa z niezliczonych kwiatów w kształcie psiego pyska, które rozkwitają mu na czole jak krople potu, by zlać się w jedno, w maskę ze szkła, by następnie pęknąć i z rys wyrzucić błyskawice. Horus wznosi ramiona do dziesiętnastu księżyców, które giną zżerane przez węże jego palców i cóż jak nie sumienie ojca o głowie ptaka, ojca zasiadającego na niebieskim tronie i wypłakującego własną krew, zawodzi teraz: O Boże? Poddać się? Nigdy! Wracać do domu ? Uderza więc w coś, co ma twarz jego brata, a w odpowiedzi słyszy z dołu szkarłatny śmiech.

- Ustąp i giń!

A potem rzucony...

...w dal

...daleką, gdzie Czas jest jeno pyłem,

a dni nieprzebranymi liliami, gdzie noc jest purpurowym bazyliżkiem i zwie się niezapomnianym zapomnieniem...

...Staje się zrąbanym drzewem bez wierzchołka i wali się, i wali w nieskończoność.

Gdy nieskończoność dobiega kresu, Horus leży na plecach i patrzy na Księcia, Który Jest Jego Bratem. Książę stoi wyprostowany i więzi go wzrokiem.

- Pozwalam ci odejść, bracie, gdyż zwyciężyłem cię sprawiedliwie – padają zielone słowa.

Horus skłania głowę, świat znika i wraca świat poprzedni.

- Bracie, wolałbym, żebyś mnie był zabił - wykrztusza, masując siniaki.

- Nie potrafię.

- Nie odsyłaj mnie, kiedym zhańbiony taką porażką.

- Cóż innego mogę uczynić?

- Nie wiem, okaż choć trochę litości.

- Więc wysłuchaj mnie i odejdz z tarczą. Wiedz, że chętnie zabiłbym twego ojca, lecz przez wzgląd na ciebie zaniecham tego, jeśli zechce mi dopomóc, kiedy nadejdzie pora.

- Kiedy?

- To zależy od niego.

- Nie pojmuję...

- Bo nie możesz. Mimo to przekaż mu tę wiadomość. Zgoda?

- Zgoda - odpowiada Horus i podnosi się.

Gdy się prostuje, zdaje sobie sprawę, że stoi w Komnacie Stu Arrasów i że jest sam. Tuż przedtem jednak, w ostatnim, bolesnym ułamku sekundy, dowiedział się czegoś.

Śpieszy, by to zanotować.

PRAWDZIWE OBLICZE PRZEBUDZEŃCA

- Gdzie Horus? - dopytuje się Madrak. - Był tu przed chwilą.
 - Wrócił do domu - odpowiada Książę, nacierając ramię. - Wyłuszcę teraz mój problem...
 - Imię! Moje imię! - woła Przebudzeniec. - Oddaj mi imię! Natychmiast!
 - Właśnie. Oddam ci je. Jesteś po części problemem, który zamierzałem wyłuszczyć.
 - Natychmiast! - domaga się Przebudzeniec.
 - Czy czujesz się choć trochę inaczej, mając na nogach te buty?
 - Tak.
 - Jak więc się czujesz?
 - Nie wiem... Nie... Wróć mi imię!
 - Daj mu rękawicę, Madraku.
 - Nie chcę żadnej rękawicy!
 - Nałóż ją, bo nie poznasz swego imienia.
 - No dobrze... - Nakłada rękawicę.
 - A teraz wiesz już, jak masz na imię?
 - Nie... Ja...
 - No?
 - Ja... Ciało okrywa mi zbrojna siatka... Tak, znam... Chyba znam skądś to uczucie...
 - Oczywiście!
 - Nieprawdopodobne! - woła Madrak.
 - Czyżby? - drwi Książę. - Weź teraz do ręki ten miecz, Przebudzeńcze. Tak, zamocuj najpierw pochwę u pasa...
 - Co ty ze mną wyprawiasz?!
 - Zwracam ci to, co ci się prawnie należy.
 - Jak to „prawnie”?
 - Weź do ręki miecz.
 - Nie chcę! Nie zmusisz mnie do tego! Obiecałeś, że oddasz mi imię! Mów! Powiedz!
- Książę robi krok w stronę Przebudzeńca. Przebudzeniec cofa się.
- Nie!
 - Weź go!

Książę podchodzi bliżej. Przebudzenie cofa się jeszcze dalej.

- Ja... Ja nie mam prawa!

- Masz prawo!

- Coś mi mówi... Tak! Zabroniono mi dotykać tej broni! Weź miecz do ręki, a poznasz swe imię!
Prawdziwe imię!

- Nie! Ja... Nie chcę go już znać! Zatrzymaj je sobie! Zatrzymaj!

- Musisz go wziąć!

- Nie!

- Napisane jest, że musisz to zrobić.

- Gdzie?! Kto napisał?!
-

- Ja to napisałem, kiedy...

- Anubisie! - krzyczy Przebudzenie. - Usłysz mą modlitwę! Wzywam cię ze wszystkich sił!
Przybądź z pomocą, bom zewsząd otoczony wrogami! Ten, którego mam zabić, jest tutaj!
Wesprzyj mnie! Daruję ci go!

Vramin otacza siebie, Madraka i Generała zbitą masą strzelistych, zielonych płomieni.

Ściana za plecami Przebudzenia roztapia się wolno i zije nieskończoną otchłanią.

Wyziera z niej psilby Anubis z bezwładnym ramieniem. Uśmiecha się szyderczo.

- Doskonale, mój sługo! - mówi. - Odnalazłeś go i przyparłeś do muru. Jeszcze tylko jeden cios i twoja misja skończona. Użyj czasoportacji!

- Nie - rzecze Książę - nic nie wskóra nawet Czasoportacja, bo mam tu coś dla niego. Ty rozpoznałeś go już dawno temu, gdyś go po raz pierwszy zoczył. A on za chwilę usłyszy swe prawdziwe imię. Pozna jego brzmienie.

- Nie słuchaj go! - rozkazuje Anubis. - Zabij go, Przebudzenie! Teraz!

- Panie, czy to prawda, że on zna moje prawdziwe imię?

- Kłamstwo! Zabij go!

- Nie kłamie. Weź do ręki miecz, a dowiesz się prawdy.

- Nie dotykaj tego! To podstęp! Zginiesz!

- Czyż wysiłałbym się aż na takie sztuczki, żeby cię zniszczyć, Przebudzenie? Bez względu na to, który z nas zginie z rąk drugiego, ten kundel i tak będzie triumfował. On o tym wie i wysłał cię z potworną misją. Spójrz tylko, jak się śmieje!

- Bo wygrałem! On cię zaraz zabije!

Przebudzenie zbliża się do Księcia, schyla się i podnosi miecz.

Wtenczas krzyczy tak donośnie, że nawet Anubis się cofa.

A później krzyk przeradza się w śmiech.

Przebudzenie unosi miecz do góry.

- Milcz, psie! Wykorzystałeś mnie! Straszliwie mnie wykorzystałeś! Przez tysiąc lat uczyłeś mnie zabijania, bym bez mrugnięcia okiem zamordował mego syna i ojca! Ale teraz spójrz! Jam jest Set Destruktor, a dni twe policzone!

Stoi nad posadzką i oczy mu błyszczą za zbrojną siecią, która okrywa całe jego ciało. Niebieska smuga miecza tnie powietrze, ale Anubisa już nie ma - zniknął z ledwie słyszalnym jękiem, wykonując na wpół urwany gest.

- Synu mój... - mówi Set, dotykając ręki Tota.

- Synu mój... - odpowiada Książę, pochylając głowę.

A za nimi tańczą strzeliste, zielone ognie.

Gdzieś daleko mroczny potwór szarpie krzykiem noc i rozdziera światło.

SŁOWA, SŁOWA, SŁOWA...

Między tobą a mną -
słowa
jak cement,
co spaja i rozdziela
kawałeczki nas samych.

Wypowiedzieć je,
rzucić je cieniem na papier
to akt wiążący obopólne pasje,
to wiedza, że tam, w środku,
pod skórą, ty i ja, i my jesteśmy tacy sami;
wypowiedzieć je to wzniesć katedry
strzelające ku nieskończoności ostrymi wieżycami.

Bowiem jutro jest już dzisiaj
i jeżeli to nie kropla
wieczności
lśni na stalówce,
to inkaust naszych głosów
ogarnie nas jak mrok nieskończony
i tylko spoiwo określi granice naszych komórek...

- Co to znaczy?! - pyta Księżę Józiek Czerwony.

Wraz z dwudziestoma rycerzami wyprawił się na granicę, by dać nauczkę Ligli Mądrymu z Liglamenti.

We mgle oddział pochyla się nad głazem, na którym wryto słowa.

- Słyszałem o tym, Panie - stwierdza Kapitan. - To sprawa tego poety, niejakiego Vramina. Vramin rozpowszechnia swoje wiersze w ten sposób: rzuca je na najbliższy świat i gdziekolwiek spadną, wgrzyzają się w najtwardszy materiał, na jaki się natkną. On się chwali, że publikował już

przypowieści, kazania i poematy na kamieniach, liściach i na strumieniach.

- Ach tak... A co znaczy ten tutaj ? Mam go wziąć za jakiś dobry znak, czy co ?

- Nic nie znaczy, Panie, gdyż wszyscy wiedzą, że Vramin jest szalony jak parzące się golindi.

- Ach tak... Cóż, zatem naszczajmy *na* to i ruszajmy do walki.

- Tak jest, Panie.

WIDMO I MATERIA

- Ojciec?... -- mówi cień czarnego rumaka na murach Twierdzy.

- Tak, Tyfonie.

- Ojczel! - krzyczy cień tak głośno, że bolą uszy. - Anubis powiedział, że zginąłeś!

- Kłamał. Ozyrys użył Młota, mówiąc pewnie, że chce ocalić wszechświat, bo przegrywam bitwę, co?

- To prawda - potwierdza Książę.

- A ja wcale nie przegrywałem, przeciwnie - wygrywałem. On chciał zabić mnie, a nie To, Co Nie Ma Imienia.

- Jak z tego wyszedłeś?

- Kwestia refleksu. Zacząłem czasoportację na moment przedtem jak Ozyrys zadał cios. Doświadczyłem jakiś odłamek i straciłem przytomność. Tak odnalazł mnie Anubis. Rozrzucił mój oręż po Światach Wewnętrznych i czym prędzej zabrał mnie do Domu Śmierci. Tresował mnie; miałem stać się jego bronią.

- I zabić Tota?

- Takim zadaniem mnie obarczył.

- Więc zdechnie! - woła Tyfon i cały w ogniu staje dęba.

- Zaniechaj go, bracie! -krzyczy Książę. -Wszak mu się nie udało i może być nam jeszcze pomocny!

Ale cień Tyfona już się rozmył i Książę opuszcza głowę. Potem spogląda na Seta.

- Mamy go ścigać i zatrzymać?

- Po co? Anubis przeżył o tysiąc lat za długo, niech więc teraz sam się broni. Zresztą w jaki sposób? Nawet gdybyśmy chcieli to uczynić, nic nie powstrzyma Tyfona, kiedy ogarnie go wściekłość.

- To prawda... - zgadza się Książę i zwracając się do Vramina, mówi:

- Jeżeli chcesz mi dalej służyć, mój były Aniele Siódmej Stacji, ruszaj do Domu Śmierci. Wkrótce będzie tam potrzebny ktoś, kto umie obsługiwać aparaturę.

- Ale to Tyfon był Władcą Ognia - odpowiada Vramin.

- Tak, lecz obawiam się, że dokonawszy zemsty, nie zechce pozostać w Domu Śmierci. Jeżeli znam swego brata, ruszy natychmiast na poszukiwania tego, który użył Młota - będzie ścigał

Ozyrysa.

- W takim razie przeniosę się tam. Czy dotrzymasz mi towarzystwa.

Madraku?

- Jeśli nie będę potrzebny Księżciu...

- Nie. Możesz iść.

- Panie - mówi Vramin - ufając mi ponownie, okazujesz swą łaskę. Wiesz bowiem, jaką rolę odegrałem w Gwiezdnym Wojnach...

- Tamte dni już nie wrócą i jesteśmy obecnie innymi ludźmi, nieprawdaż?

- Chyba tak... I dzięki ci, Panie. Księżę krzyżuje ramiona i skłania głowę. Madrak i Vramin znikają.

- A jak ja ci mogę pomóc? - pyta Stalowy Generał.

- Jeszcze raz wyruszmy na bitwę z Tym, Co Nie Ma Imienia - odpowiada Księżę, Który Ma Tysiąc Lat. - Czy pójdziesz ze mną i zechcesz stanąć w rezerwie?

- Tak. Przywołam tylko Spiza.

- Uczyń to.

Wiatry Madraczka unoszą kurz. Słońce przebija się przezeń ku następnemu, dniu.

WŁADCA DOMU ŚMIERCI

Vramin stoi w olbrzymiej Sali Tronowej Domu Śmierci, dzierżąc różdżkę podobną teraz do umajonego słupa, wokół którego odbywają się zabawy ludowe. Z różdżki wyrastają serpentyny i docierają do wszystkich widocznych i ukrytych przejść zbiegających się w tym właśnie miejscu. Madrak stoi u boku Vramina przestępując z nogi na nogę i rozglądając się wokoło.

Oczy Vramina są jasne i tańczą w nich iskierki światła.

- Pusto... Ani żywego ducha... Nigdzie - stwierdza.

- Więc Tyfon go dopadł - konstatuje Madrak.

- Tyfona też tu nie ma.

- Zabił go i pewnie odszedł. Szuka teraz Ozyrysa.

- Chyba nie...

- No to co się dzieje?

- Nie wiem... Cóż, z rozkazu Księcia obecnie ja tu jestem panem. Muszę odszukać siłownię i nauczyć się ją obsługiwać.

- Chociaż kiedyś zawiodłeś nadzieje, jakie w tobie pokładał...

- Fakt, ale wybaczył mi.

Vramin sadowi się na tronie Anubisa, a Madrak oddaje mu hołd.

- Bądź pozdrowiony, Vraminie, Władco Domu Śmierci!

- Nie musisz zginać przede mną karku, stary przyjacielu. Wstań, proszę. Będę potrzebował twojej pomocy, bo miejsce to różni się wiele od Siódmej Stacji, którą niegdyś kierowałem.

Przez całe godziny Vramin bada tajną rozdzielnię koło tronu.

Nagle:

- Anubisie! - słyszy i wie, że to nie głos Madraka woła.

- Tak? - odpowiada, naśladując z powodzeniem skowyt i warknięcie Anubisa.

- Miałeś rację! Horus pokonany! Wrócił tutaj, ale znowu gdzieś wybył. - To głos Ozyrysa.

Vramin wykonuje gest różdżką i w powietrzu ukazują się duże okna.

- Jak się masz, Ozyrysie - powiada.

- Więc Książę zrobił w końcu pierwszy ruch... - mówi tamten. - Teraz kolej na mnie, co?

- Mam nadzieję, że nie. Mogę przysiąc, że osobiście słyszałem, jak Książę zapewniał Horusa, iż nie będzie się na tobie mścił - w zamian za współpracę.

- Więc cóż się stało z Anubisem?

- Nie wiem na pewno. Tyfon był tu, żeby go zabić. Ja przychodzę posprzątać po wizycie Tyfona i objąć Stację. Albo go zabił i odszedł, albo Anubis uciekł, a Tyfon go teraz ściga. Ale wysłuchaj mnie, Ozyrysie. Mimo zapewnień Księcia jesteś w niebezpieczeństwie. Tyfon nic nie wie o obietnicy brata, bo w tym momencie już go nie było. Dowiedziawszy się prawdy od samego Seta, prawdy, którą potwierdził Książę, szukał będzie najpewniej zemsty na tym, który użył Młota...

- To Set żyje?!

- Tak. Występował przez jakiś czas jako Przebudzeniec.

- Emisariusz Anubisa!

- Nie kto inny. Ten kundel wyprał go ze wspomnień i nasłał na własnego syna i ojca. To właśnie rozwścieczyło Tyfona.

- Niechaj syfilis zeżre całą tę cholerną rodzinę! A co z moim synem? Zostawił mi tylko tę kartkę i... No jasne!

- Co jasne?

- Jeszcze nie jest za późno. Wy...

- Uważaj! Z tyłu! Na ścianie! - krzyczy Vramin. - Tyfon!

Mimo kruchej postaci Ozyrys porusza się z szybkością, o jaką nie podejrzewał go Vramin. Pędzi w kierunku zielonego arrasu, odrzuca go na bok i kryje się zań.

Cień sunie tuż za nim i staje dęba.

Kiedy opada, w arrasie i w ścianie zajeździ dziura w kształcie Tyfona.

- Tyfonie! - woła Vramin.

- Jestem tutaj - odpowiada głos. - Dlaczego go ostrzegłeś?

- Ponieważ Tot darował mu życie.

- Nie wiedziałem o tym.

- Wyruszyłeś, nim Książę zdążył cię o tym powiadomić. Teraz jest już za późno.

- Nie. Boję się, że mi zwiął.

- Jak to?

- Nie było go w tamtej izbie, gdy ją zniszczyłem.

- To i lepiej. Posłuchaj, możemy wykorzystać Ozyrysa...

- Nigdy! Dopóki on żyje, nigdy nie będzie pokoju między naszymi rodzinami! I to bez względu na sentymentalne rycerskości, jakimi rzuca wkoło mój braciszek! Kocham go, ale nie zdzierzę,

jeżeli wybaczy Ozyrysowi. Nigdy! Przeszukałem cały Dom, znajdę to ptaszydło i wrzucę w Otchłań Skagganauka!

- Tak jak Anubisa?

- Nie! Anubis też mi umknął! Ale do czasu! - krzyczy Tyfon. Staje dęba, otacza się płomieniami i już go nie ma.

Vramin wykonuje gest jakby ścinał różdżką kwiatek stokrotki i okno się zawiera.

- Anubis wciąż żyje - odzywa się Madrak zerkając przez ramię.

- Jak widać...

- Co robimy?

- Dalej rozpracowujemy zasady działania Domu Śmierci.

- Chcę odpocząć.

- No to odpoczywaj. Znajdź sobie gdzieś w pobliżu komnatę i odsapnij. Wiesz, gdzie jest jedzenie?

- Wiem.

- Więc do zobaczenia.

- Do zobaczenia, Panie.

Madrak wychodzi z Sali Tronowej i błąka się przez jakiś czas, aż trafia do komnaty pełnej zmarłych, którzy stoją tam jak posągi. Siada wśród nich i medytuje.

- Byłem mu wiernym sługą. Słyszysz mnie, ty tam, z cyckami jak arbuzy?! Byłem wiernym sługą! Nasz wierszokleta poszedł na wojnę razem z innymi Aniołami, chociaż wiedział, że postępuje wbrew woli Księcia. A ten mu przebacza! I jeszcze na stanowisko wynosi! A ja co? Sługa sługi!

To nie fair.

- Ciesz się, że się ze mną zgadzasz. A ty, koleżko z dodatkowymi ramionami? Czy szerzyłeś wiarę i moralność? Czyżeś zwyciężył potwory i inne dziwadła wśród nieoświeconych, mając do dyspozycji tylko dwie ręce?

Naturalnie, że nie.

- Więc widzisz - klepie się po udach - sam widzisz, że nie ma sprawiedliwości, a prawdziwą cnotę ciągle się wykpiwa, zdradza i narzuca siłą. Spójrz tylko, co się stało ze Stalowym Generałem, który życie poświęcił człowiekowi. To właśnie życie odebrało mu człowieczeństwo! I to ma być sprawiedliwość?

Nie powiedziałbym.

- A sprowadza się to do jednego, bracia - wszyscy stajemy się posągami w Domu Śmierci, bez względu na to, jakie życie wiedliśmy. Wszechświat nigdy nie dziękuje. Ten, który daje, nigdy nie otrzyma zwrotu... O ty, Który Być Może Istniejesz, dlaczego stworzyłeś rzeczy takimi, jakimi są i jeżeli zaprawdę je takimi stworzyłeś, to dlaczego? Próbowałem służyć Tobie i Księżciu, Wcieleniu Twojemu. Dlaczego mnie to spotyka? Miejsce na koźle przy woźnicy i nora za schronienie... I dobrze, że Set walczyć będzie z Tym, Co Nie Ma Imienia bez swojej cudownej rękawicy...

Co?!

Madrak podnosi wzrok i dostrzega posąg, którego tam uprzednio nie było. I jeszcze coś - w przeciwieństwie do innych figur, ta się porusza!

Głową jest łeb czarnego psa. Strzyka i zawija czerwonym jęzorem.

- Ty?! Jaksz się ukrył przed Vraminem?! I Jak uszedłeś Tyfonowi?!

- To mój Dom i wieki przeminą nim obcy pozna jego wszystkie sekrety. Madrak wstaje i puszcza laskę w ruch.

- Nie boję się ciebie, Anubisie! Walczyłem w każdym klimacie, wszędzie, gdzie tylko byli ludzie gotowi na przyjęcie Słowa. Wielu wysłałem do tego Domu i sam przybywam tu jako zwycięzca, a nie ofiara!

- Przegrałeś już dawno temu, Madraku, i dopiero teraz zdałeś sobie z tego sprawę.

- Milcz, kojocie! Stoisz przed tym, w którego rękach jest twoje życie!

- A ty przed tym, od którego zależy twa przyszłość.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Wspomniałeś, że Set znów wybiera się na bitwę z Tym, Co Nie Ma Imienia...

- Zgadza się. A kiedy wygra, nastanie czas wiecznej szczęśliwości!

- Zaoszczędź mi metafizyki, kaznodziejo. Odpowiedz na pytanie, a sprzedam ci dobrą nowinę.

- Na jakie pytanie?

- Co się stało ze zbrojną rękawicą?

- Ach o to ci chodzi... - rzecze Madrak. Spod ciemnej narzuty wyciąga rękawicę i nakłada ją na prawą dłoń. - Kiedy ją zdobyłem, sądziłem, że można tym światy na wiarę nawrócić. - Gęsta sieć dosięga łokcia, potem ramienia. - Nie wiedziałem, że Przebudzeniec jest Setem i kusiło mnie, żeby zatrzymać ją dla siebie. Więc podmieniłem rękawicę i Setowi zostawiłem własną. Też się

rozrasta, ale jest orężem pospolitym, często spotykanym w pewnych rejonach Światów Wewnętrznych. Ta, którą mam tutaj, posiada szczególną moc, tamta zaś była ledwie zwykłą zbroją. - W tym momencie rękawica wybrzusza się i okrywa pierś i plecy Madraka.

- Doprawdy, chętnie bym ucałował twe tłuściutkie policzki! - woła Anubis.

- Szansę Seta w walce z Tym, Co Nie Ma Imienia są więc znikome! I pomyśleć, że przez cały czas knuleś zdradę! Jesteś dużo sprytniejszy niż myślałem, Ojczulku!

- Wykorzystano mnie, wystawiono na pokusę...

- Już nikt cię nie wykorzysta! O nie! Masz teraz rękawicę i proponuję ci przymierze.

- Cofnij się, psie! Nie lepszyś od innych! Mam coś, na czym ci zależy i widzę, żeś gotów całować mnie w tyłek, co?! Nie, nie. W jakikolwiek sposób użyję mej nowej mocy, przyniesie ona korzyść tylko jednej osobie: mnie!

- Przymierze, które proponuję, będzie obopólnie korzystne.

- Wystarczy, że podniosę alarm, a zwiążą cię tak mocno, że cała twoja chytryść cię nie oswobodzi. Wystarczy, że zakręcę laską w odpowiedni sposób i twój mózg zbryzga ściany. Pamiętaj o tym, jaszczurczy ozorze i gadaj teraz, może cię wysłucham.

- Jeżeli Ozyrys żyje i jeżeli zdołamy do niego dotrzeć, w trójkę zglądzimy Tota.

- Jestem pewien, że żyje, lecz jak długo żyć będzie nie wiem. W tej chwili ucieka przed Tyfonem w Domu Życia.

- Trafia się nam okazja, bardzo dobra okazja, żeby wszystko odzyskać. Ty masz zbrojną rękawicę, ja wiem, jak dostać się do Domu Życia, a chodzi mi też po głowie plan uratowania Ozyrysa.

- Co z tego? Nie wiesz nawet, gdzie toczy się bitwa z Tym, Co Nie Ma Imienia.

- Wszystko w swoim czasie. Więc jak?

- Udam się do Domu Życia, bo Tot chce oszczędzić Ozyrysa. Spróbuję zatem wypełnić wolę Księcia, a tymczasem wszystko sobie rozważę.

- W porządku.

- Widzisz, jak rozrasta się rękawica?! Teraz sięga dalej niż poprzednio! Zakrywa mi uda!

- Znakomicie! Im więcej osłoni, tymżeś bardziej niepokonany! I tym lepiej dla nas wszystkich!

- Chwileczkę. Poważnie myślisz, że nasza trójka może pokonać Tota, Seta i Stalowego Generała?

- Jak najbardziej.

- Jak?

- A Młot? Znowu może zagrmieć...

- Więc Młot jeszcze istnieje?

- Tak, Ozyrys ma go.

- No dobrze. Uwzględniając to wszystko i zakładając, że nawet Vramin, obecny władca twego Domu, ulegnie - co z innymi? Co z cieniem olbrzymiego rumaka, który będzie nas ścigał do końca swych dni, który żyje w obcych nam otchłaniach, którego nie można unicestwić i z którym nie sposób się dogadać, kiedy ogarnie go szal?

Anubis odwraca głowę.

- Tak, jego się boję... - przyznaje. - Wieki temu skonstruowałem pewną broń - nie, nie broń - raczej narzędzie - i sądziłem, że posłuży mi do okiełznania Tyfona. Ale kiedy ostatnio spróbowałem, cień je pochłoniął i zniszczył, moje ramię... Przyznaję, że na Tyfona nie mam nic oprócz własnego rozumu. Ale któż rezygnuje z imperium ze strachu przed jednostką?! Gdybym tylko znał źródło jego mocy tajemnej...

- Mówił coś o Otchłani Skagganauka. Nigdy o czymś takim nie słyszałem. A ty?

- Nie ma takiego miejsca. To tylko legendy, fantazja i fikcja.

- A co mówią legendy?

- Tracimy czas na głupstwa.

- Odpowiadaj na pytanie, jeżeli chcesz mej pomocy! Spójrz, zbroja sięga mi kolan!

- Otchłań Skagganauka - nazywają ją czasem rozpadliną niebios - to miejsce, gdzie wszystko zamiera i nic nie może istnieć. Tak mówią.

- We wszechświecie jest wiele dziur...

- Tak, ale Otchłań jest dziurą bez przestrzeni. Jest jak bezdenna studnia, co studnią nie jest. To jakby otwór w samej materii przestrzeni, jakby nicość. Niektórzy powiadają, że to centrum całego wszechświata - olbrzymie wyjście prowadzące donikąd, poza wszystko, nad wszystkim i pod tym, co nam znane. Taka jest Otchłań Skagganauka.

- Wygląda na to, że Tyfon ma podobne cechy, co?

- Fakt, przyznaję. Ale to i tak niczego nie wyjaśnia. Przeklęty niech będzie płód Seta i Izdy! Bydlę nieokrzese! Potwór!

- Nie zaplujaj się, Anubisie. Czy Tyfon zawsze był taki? Jak Wiedźma mogła coś takiego urodzić?

- Nie wiem. Jest starszy ode mnie. A w ogóle cała rodzina to jedna tajemnica i paradoks... Lepiej

chodźmy już do Domu Życia. Madrak kiwa głową.

- Prowadź, Anubisie.

MIŁOŚĆ PRYZSTOI HORUSOWI

Przemierza ulice światła i mocy i nikt nie zna tu jego imienia. Jeżeli jednak zapytać o to którąkolwiek z przechodzących obok istot, odpowiedziałyby, że nie jest jej obcy. Jest bogiem i siła jego przeogromna. A mimo to uległ Księciu, swemu bratu, który go zgubił, ratując własne życie i bieg rzeczy, którego jest uosobieniem.

Horus skręca obecnie w dobrze oświetloną alejkę, gdzie kłębią się przeróżne stwory. Otacza go moc i jasność.

Konkretna ulica, konkretny świat - nie przybył tu bez powodu: Horus wciąż się waha i chce wysłuchać zdania innych. Uwielbia wróżby.

Szuka rady.

Czerń nieba i potoki światła zabawy - Horus mija jaskinie rozrywki i rozochoconych klientów.

Jakiś człowiek zagradza mu drogę. Horus próbuje go ominąć i zbacza na ulicę. Człowiek idzie za nim i chwyta go za rękaw.

Bóg leniwie chucha na niego, a tchnienie ma siłę huraganu. Porywa tamtego, zmiata go i Horus rusza dalej.

Po chwili znajduje się w dzielnicy wróżbitów. Astrologi, zwolennicy kart Taroka, odczytujący przepowiednie z liczb i z Księgi Przemian i Cing kiwają na boga w czerwonej przepasce, lecz on nie zatrzymuje się.

Aż dochodzi tam, gdzie nie ma ludzi. Stoją tu maszyny, które wróżą. Na chybił trafił wybiera kabinę i otwiera ją.

- Czym mogę służyć? - odzywa się kabina.

- Zapytania - rzuca Horus.

- Chwileczkę.

Słychać metaliczny szcęk i otwierają się ukryte drzwi.

- Proszę wejść do środka.

Horus wchodzi do maleńkiego pokoiku. Nie ma tu nic z wyjątkiem czegoś w rodzaju łoża. Na łożu leży kocięty tułów podłączony do błyszczącej konsoli. W ścianie tkwi wbudowany głośnik.

- Proszę zająć miejsce w zespole informacyjnym - słyszy. Zrzuciwszy przepaskę, Horus postępuje według instrukcji.

- Przepisy mówią, że na pytania będzie się odpowiadać dopóty, dopóki sprawiac mi będziesz

rozkosz. Cóż chcesz wiedzieć?

- Mam problem. Popadłem w konflikt z bratem. Chciałem go pokonać, lecz nie udało się. Nie mogę się zdecydować, czy powinienem go znów odszukać i spróbować jeszcze raz, czy...

- Brak wystarczających danych - pada w odpowiedzi. - Jaki to konflikt? Jakiego rodzaju brat? Do jakiego gatunku ludzi należysz?

Smutno kwitnie bez, a różane pasażerki są ciemnymi żywopłotami. Ogród wspomnień mieni się oszalałymi bukietami...

- Chyba źle trafiłem...

- Może tak, może nie. Z pewnością jednak nie znasz przepisów.

- Przepisów? - Horus spogląda na nieprzeniknioną ścianę głośnika. Głośnik cedzi suchym, monotonnym głosem:

- Nie jestem jasnowidzem ani wróżbitą. Jestem elektromechaniczno-biologicznym wyznawcą boga Logiki. Moją ceną przyjemność i za tę cenę odwołam się do boga dla każdego mężczyzny. Aby to jednak uczynić, muszę dysponować bardziej konkretnymi pytaniami. Jak dotąd nie dostarczyłeś mi wystarczających danych. Kochaj mnie więc i powiedz coś więcej.

- Nie wiem, od czego zacząć... - mówi Horus. - kiedyś mój brat władał wszystkim...

- Stop! Zdanie nielogiczne, nieprecyzyjne...

- ... i absolutnie poprawne. Moim bratem jest Tot, zwany niekiedy Księciem, Który Ma Tysiąc Lat. Wszystkie Światy Wewnętrzne należały do jego królestwa.

- Zapis mojej pamięci wskazuje na istnienie mitu o Władcy Życia i Śmierci. Zgodnie z przekazem on nie miał braci.

- Stop! Poprawka. Takie sprawy nie wychodzą z reguły poza rodzinę. Izyda miała trzech synów: jednego z prawego łóżka, od Ozyrysa, dwóch spłodził Set Destruktor. Setowi urodziła Tyfona i Tota. Ozyrysowi - Horusa-Mściciela, czyli mnie.

- Tyś Horus?

- Rzekłś.

- Chcesz zabić Tota?

- Takie otrzymałem polecenie.

- Nie możesz tego zrobić.

- Ach tak...

- Nie odchodź, proszę. Może chcesz mi zadać jakieś inne pytania?
 - Nic mi nie przychodzi do głowy.
- Horus nie może jednak odejść, gdyż ogarnia go ogień.
- Kimże jesteś? - pyta w końcu.
 - Już ci mówiłam.
 - Ale jak się to stało, że jesteś tym, czym jesteś - pół kobietą, pół maszyną?
 - To jedyne pytanie, na które nie mogę odpowiedzieć bez niezbędnych dyspozycji. Aczkolwiek spróbuję cię pocieszyć, gdyż widzę, żeś w rozterce.
 - Dziękuję. Miła jesteś.
 - Cała przyjemność po mojej stronie.
 - Byłaś niegdyś człowiekiem, czyż nie tak?
 - To prawda.
 - Dlaczego przestałaś nim być?
 - Pytałeś już. Nie mogę odpowiedzieć.
 - Czy mogę ci pomóc i wpłynąć jakoś na to, czego pożądasz?
 - Tak.
 - W jaki sposób?
 - Nie mogę odpowiedzieć.
 - Czy jesteś stuprocentowo pewna, że Horus nie jest w stanie pokonać Tota?
 - Moja znajomość legend mówi, że to wysoce nieprawdopodobne.
 - Gdybyś była zwykłym śmiertelnikiem, skłonny byłbym okazać ci dobroć.
 - Co to znaczy?
 - Kochałbym cię za twą przerażającą szczerłość.
 - Boże! Mój Boże! Zbawiłeś mnie!
 - Co chcesz przez to powiedzieć?
 - Byłam skazana egzystować tak dopóty, dopóki ktoś, kto jest czymś więcej niżli człowiekiem tylko, spojrzy na mnie z miłością.
 - Właśnie tak bym na ciebie patrzył. Czy uważasz, że to niemożliwe?
 - Tak, bom zbyt zużyta.
 - A więc nie znasz jeszcze Horusa.
 - Ależ prawdopodobieństwo takiego zdarzenia jest równe zeru!

- Nie mam nikogo, więc Kocham Ciebie.
- Bóg Horus mnie Kocha?
- Tak.
- Tyżeś mój Księciem i wreszcie się zjawiłeś!
- Nie rozumiem...
- Uzbroj się tylko w cierpliwość - wiele jeszcze się zdarzy.
- Poczekam - mówi Horus i wstaje.

SERCE MATKI

Vramin zwiedza Dom Śmierci. Gdybyśmy mogli rozejrzeć się wokół tego miejsca, nie dostrzeglibyśmy absolutnie nic. Jest tu zbyt ciemno, żeby oczy się na coś przydały. Lecz Vramin widzi.

Przemierza olbrzymią komnatę. Wtem pojawia się światło. Jest mdłe, pomarańczowe, wtłoczone w zaułki.

I wyłaniają się teraz z przezroczystych prostokątów, które rozwarły się w posadzce, wyłaniają się z nieruchomymi powiekami, nie oddychają i spoczną zaraz na niewidzialnych katafalkach zawieszeni metr nad podłogą, w różnokolorowych strojach i o skórach różnych kolorów oblekających ciała różne wiekiem. Teraz już widać, że niektórzy z nich mają skrzydła, inni - ogony i rogi, a jeszcze inni - długie szpony. Niektórzy wyposażeni są w to wszystko naraz, innym wbudowano w ciała fragmenty jakichś mechanizmów, a jeszcze innych pozostawiono takimi, jakimi byli.

Słychać jęk, skrzypienie łamliwych kończyn, poruszenie.

Szeleszcząc, klekocząc i ocierając skórą o skórę siadają, wstają.

A później wszyscy skłaniają się przed Vraminem i w powietrzu dźwięczy jedno słowo:

- Panie!

Spogląda na tłum zielonymi oczami i nagle słyszy czyjś śmiech.

Jego różdżka wiruje, kręci się, obraca, a potem jakiś gwałtowny ruch i... widzi ją tuż obok.

- Vraminie, twój nowy poddany hołd ci składa!

- Pani, jak się tu dostałaś?

Lecz ona śmieje się tylko i nie odpowiada na pytanie.

- Chcę ci też cześć należną oddać. Bądź pozdrowiony, Vraminie, Władco Domu Śmierci!

- To miło z twojej strony, Pani.

- Więcej niż miło. Koniec już bliski i wkrótce spełni się to, o czym marzę.

- Czy to ty obudziłaś zmarłych?

- Oczywiście.

- A czy może wiesz, gdzie jest teraz Anubis?

- Nie, ale mogę pomóc go znaleźć.

- Dajmy więc zmarłym wieczny odpoczynek i wówczas poproszę cię o pomoc. Spytam cię

również, o czym to marzysz, Pani.

- A ja ci odpowiem, Panie.

Zmarli kładą się na powrót i znikają w grobach. Światło gaśnie.

- Czy wiesz, dlaczego Anubis uciekł? - zapytuje Vramin.

- Nie, przybyłam tu dopiero przed chwilą.

- Uciekł przed twym synem, Pani, przed Tyfonem. Czerwona Wiedźma uśmiecha się pod welonem.

- Więc Tyfon żyje! Cieszy mnie to niezmiernie - mówi. - Gdzie on się podziewa?

- Dybie na życie Ozyrysa, a może załatwił przy okazji i tego kundla. Wiedźma wybucha śmiechem, a Powierniczek wskazuje jej na ramię i obiema rękami trzyma się za brzusek.

- Jak by to było wspaniale! Vraminie, koniecznie musimy to sobie obejrzeć.

- Dobrze, Pani - odpowiada poeta i wyrysowuje w mroku zielony ekran. Izyda przysuwa się nieco bliżej i ujmuje jego dłoń. Na ekranie pojawia się nagle ruchomy obraz. To obraz samotnego końskiego cienia sunącego po ścianie.

- To nie to - powiada Vramin.

- Nie, ale dobrze jest znowu ujrzeć syna, którego ciałem jest Otchłań Skagganauka. Gdzie też może być jego braciszek?

- Ze swoim ojcem. Udają się razem na bitwę z Tym, Co Nie Ma Imienia. Izyda spuszcza wzrok i obraz migocze.

- Chciałabym to obejrzeć - decyduje po chwili.

- Przedtem wolałbym ustalić, gdzie są Ozyrys i Anubis - jeżeli jeszcze żyją. No i Madrak.

- Zgoda - rzecze Izyda.

Na szmaragdowym ekranie zaczynają rysować się jakieś kształty.

NA BRZEGU TYM, NA TEJ MIELIŹNIE...

...stojąc, obserwuje To, Co Krzyczy Nocą.

Krzyku jednak nie słyszeć.

Oswobodzone z więzów, pochyła się ku niemu jak słup dymu, jak wiecheć brody bez podbródka...

Unosząc miecz, przesywa je wpół ognistym ściegiem.

Ono wciąż jednak się zbliża.

Ogień mieni się wszystkimi barwami tęczy i gaśnie.

Stwórz drży. On tylko mocniej ściska miecz.

Stwórz okręca się dookoła niego i nagle się cofa.

A on tam, nad chmurami, ponad wszystkim i spuszcza nań błyskawice.

Słyszeć jakiś wibrujący dźwięk.

To Miecz Ognisty jaśnieje i drga w jego dłoni jęklwym tonem.

To, Co Nie Ma Imienia wali się w tył. Set pędzi przez niebo i atakuje.

Potwór spada, ucieka i bieży ku powierzchni ziemi.

Ścigając go, Set stąpa po wierzchołku góry. Gdzieś tam, za księżycem, czekają Książę i Generał.

Set śmieje się i żar eksplodującego słońca ogarnia sylwetkę wroga.

Wtem stwór zawraca i uderza, a Set umyka przez kontynent, znacząc swój odwrót grzybami kłębiącego się dymu.

Burze taroszą ich kędzierzawe czupryny. Po niebie toczy się piorun kulisty. Wieczny półmrok nagle jaśnieje, gdyż na prześladowcę Seta spada jezior ognia.

Ale potwór atakuje i góry się walą tam, gdzie kroczy. Daleko, w dole drży ziemia. To buty Seta odciskają na niej grzmiące ślady, gdy ten uchodzi, a później znowu zawraca.

Chmury gęstnieją i rozpętują się gwałtowne ulewy. Niżej wirują leje zakończone ognistymi koronami.

Potwór nadciąga i razi, pozostawiając za sobą to żar, to popiół.

Miecz dzwięczy jak dzwon i morza występują z brzegów.

Potwora atakują teraz wszystkie żywioły, a on mimo to wciąż się zbliża.

Set rzuca przekleństwo i skały ścierają się na pył. Wichry zrywa namiot nieba, przełamuje go wpół, zawija do góry i tam łączy razem.

To, Co Nie Ma Imienia wydaje jeszcze jeden krzyk. Set, lewą nogą w morzu, uśmiecha się pod zbroją rękawicy i zsyla nowe wiry i wstrząsy.

A stwór jest już blisko. Robi się coraz chłodniej.

Spod ręki Seta wyrasta tajfun. Błyskawice strzelają bez ustanku i ziemia się rozstępuje, zapada.

Nagle uderzają jednocześnie i w dole ginie kontynent.

Oceany zaczynają wrzeć i niebo zaciąga zorzą polarną, grającą wszystkimi kolorami.

Wtem trzy białoswietliste igły przesywają upiora, tak że cofa się w kierunku równika.

Set za nim. Za Setem chaos.

Nad równikiem podnosi się grzmot, świst, trzask i gwizd miecza tnącego nieboskłon.

W powietrzu snuje się dym koloru trawy, a w tle Czas, ów lokaj przeznaczenia, odmalowuje ozdobne kurtyny.

Krzyk i znów jakby dzwony - to pękają okowy morza i woda podnosi się, kołysze niczym filary Pompei dnia pamiętnego, dnia, kiedy legły w gruzach, kiedy zalała je lawa. I ten skwar unoszący się z gotującego się morza, ten ukrop, to gęste powietrze, którym nie sposób oddychać. Set wyprzedza czas i rozpląszcza przeciwnika na pogorzelsku nieba, lecz on nadal krzyczy, odpiera ciosy, robi uniki. Zbroja Seta jest wciąż nienaruszona. Zwyczajna to zbroja, ale potwór nie musnął jej jeszcze. A teraz Set strzela koralami ognia, które buchają jak fajerwerki w noc Guy'a Fawkesa. To, Co Nie Ma Imienia rozrywa się w dziewiętnastu ranach i zapada w siebie. Wtedy rozbrzmiewa potężny ryk i znowu smagają błyskawice. To, Co Krzyczy Nocą zmienia się nagle w kulę bilardową, w bilę przegraną i rozdziera powietrze straszliwym wrzaskiem. Set zatyka czym prędzej uszy, ale nadal kąpie wroga w blasku Ognistego Miecza, aż wreszcie sam miecz wydaje z siebie krzyk przeraźliwy i topi ofiarę w różowym płomieniu.

To, Co Nie Ma Imienia rośnie teraz na kilometry w górę i przekształca się w starucha z długą brodą.

Unosi jedną rękę i Seta zalewa jasność.

Lecz Set zasłania się mieczem i mrok tę jasność pozera. Wtedy uderza zielonym trójzębem i godzi starucha w pierś.

To, Co Krzyczy Nocą spada, zmienia się w sfinksa i maltretuje swą twarz ultradźwiękami.

Potem się kurczy, jest teraz satyrem, a Set kastruje go srebrnymi cęgami.

Raniony, wycofuje się na pięć kilometrów w górę niczym kobra czarnego dymu.

Set już wie, że nadchodzi kres. Podnosi Ognisty Miecz i bierze zamach.

INTERMEZZO

Na Kontentorii ścierają się armie, a na grobach zabitych parzą się golindi; głowę Ligli Mądrego oskalpowano z korony; sąsiedzi po raz kolejny oślepiają Stuka, Puka i Bulga; na Mortuarii tylko ciemność i zawodzenie; z ruin Błogorii znowu wyrasta życie; na Maraczkę martwota, martwota i martwota w kolorze pyłu; na Interludorii Wielka Schizma, wieczorne deszcze i mnich Bros, któremu - być może we śnie narkotycznym - objawiły się rzekomo Święte Buty; Tam, Dokąd Serce Wiodło, głęboko pod morzem, szaleją potworne, straszliwe wiatry, a wśród mgieł jesieni baraszkują zielony, jaszczurczy gad.

RÓDZKA, WISIOREK, DEKAWAN I... W DROGĘ

Otoczają ramieniem i oglądają razem obraz docierający aż tu, na ekran w Domu śmierci. Widzą, jak Ozyrys przemierza samotnie niebo, siedząc okrakiem na czymś w rodzaju ogromnej kuszy - to Młot Gwiazdomiażdż. Żółte oczy Ozyrysa nie znają ruchu powiek, tak jak jego twarz nie wie, co to wyraz. Widzą czarną muszlę, która unosi Anubisa, Madraka i zbrojną rękawicę mocy.

Vramin kreśli czubkiem różdżki trajektorie obu pojazdów. Obraz zmienia się i widać teraz miejsce, gdzie linie się przecinają. Leży tam świat wiecznego półmroku, a jego powierzchnia wrze. Patrzą.

- Jak się dowiedzieli, gdzie to jest? - pyta Izyda.

- Nie mam pojęcia... Chyba, że... Ozyrys! Znalazł jakąś kartkę! Widziałem jego twarz, gdy ją czytał.

- No i...?

- To Horus. Horus musiał zostawić mu namiary!

- Ale skąd je wytrzasnął?!

- Walczył z Totem - najpewniej z potęgą umysłu Tota również. A Horus potrafi wnikać w ludzkie myśli i dowiedzieć się wszystkiego. W którymś momencie potyczki musiał skraść Księciu owe dane, chociaż Książę jest zwykle odporny na takie penetracje. Tak, Tot musiał się chyba na chwilę odsłonić... Trzeba go ostrzec!

- Może Tyfon go ubezpieczy?

- A gdzie on teraz jest? Spoglądają na ekran i obraz znika. Wszędzie czerń, mrok i ciemność. Pustka.

- Jakby w ogóle nie istniał... - mówi Vramin.

- Nie - Izyda na to - popatrz na Skagganauk, na Otchłań, Vraminie. Tyfon wycofał się z wszechświata i mknie teraz poza znaną ludziom przestrzenią. Może on też znalazł zapiski Horusa...

- To nie jest wystarczające ubezpieczenie dla Księcia. Cały plan może wziąć w łeb, chyba że tam pośpieszymy.

- Więc pędź do niego! Szybko!

- Nie mogę.

- Ale przecież... Twój sławny skok w nadprzestrzeń...

- To działa tylko w obrębie Światów Wewnętrznych - czerpię moc z pola. Poza nimi nic mi nie wychodzi. Pani, jak tu przybyłaś?

- Dekawanem.

- Dekawanem Dziesięciu Niewidzialnych Mocy?

- Tak.

- Więc skorzystajmy z Dekawanu!

- Boję się... Posłuchaj, Vraminie, musisz mnie zrozumieć. Jestem kobietą i kocham mojego syna, lecz kocham też życie. Boję się. To miejsce gdzie się biją, napawa mnie strachem. Nie myśl o mnie źle, ale nie pojedę z tobą. Weź Dekawan i pędź tam. Ja nie dotrzymam ci towarzystwa.

- Nie myślę o tobie źle, Pani...

- Weź też mój wisiołek. Ułatwi kierowanie zaprzęgiem i doda ci sił. - Czy to działa poza Światami Wewnętrznymi?

- Tak - mówi Izyda i wsuwa się w ramiona poety. Przez chwilę jego zielona broda ociera się o szyję kobiety, a Powierniczek zgrzyta maleńkimi ząbkami i splątuje ogon w dwa supły.

Później Izyda odprowadza Vramina na dach Domu Śmierci, do zaprzęgu. Vramin zajmuje w nim miejsce, prawą ręką unosi wysoko wisiołek i przez moment jest częścią żywego, mistrzowsko wyreżyserowanego obrazu otoczonego szkłem czerwonej butelki. A potem staje się odległą, migoczącą gwiazdą na tle nieba, w które spogląda Izyda.

Wstrząsana nieprzyjemnym dreszczem, wraca teraz tam, gdzie zmarli, żeby znów rozmyślać o tym, którego się obawia, a który teraz zмага się z bezimiennym potworem.

Vramin patrzy przed siebie szmaragdowymi oczami. Tańczą w nich iskierki złotawego światła.

TAM GDZIE OGIEŃ

Księżę patrzy na płonący w dole świat. Na dziobie łodzi Księcia stoi rumak, którego ciałem zbroja. Jeździec na jego grzbiecie, równie lśniący, też spogląda na pole bitwy.

Olbrzymia kusza jest coraz bliżej i bliżej. Muszla rusza do przodu. Młot Gwiazdomiażdż jest już odbezpieczony; odwiedziony kurek spada z trzaskiem i wówczas pojawia się ognista kometa. Smaga gorejącym ogonem, jarzy się podczas lotu, jaśniej coraz bardziej.

Nagle włącza się gdzieś banjo. Spiż staje dęba, a Generał przekręca głowę nad lewym ramieniem, żeby uspokoić wierzchowca. Wyrzuca rękę w jego kierunku, lecz łeb Spiża jest nadal w górze i unosi się jeszcze wyżej, gdyż zwierzę opiera się teraz na swych najbardziej w tył wysuniętych nogach. Wtem wyskakuje z łodzi Księcia i robi ledwie trzy kroki. Znika. Razem z jeźdźcem. W miejscu, gdzie zniknęli, niebo zasnuwa się mgiełką, marszczy się, a gwiazdy falują tak, jakby odbijały się w stawie, którego tafle wzburzono. Kometę wchłania Wicher Przemiany. Pocisk spłaszcza się do dwóch wymiarów i ginie bez śladu. Szczątki rozerwanej kuszy trzymają się trajektorii, którą mknął pojazd przed rozczłonkowaniem. Muszla kieruje się ku powierzchni świata; zakrywa ją dym, kurz i ogień. Dobrą chwilę nie dzieje się nic - martwa natura żywego obrazu - ale tuż potem muszla pojawia się znowu i błyskawicznie umyka. Teraz znajduje się w niej trzech pasażerów.

Vramin zaciska ręce na smudze krwawego światła i Dekawan rozpoczyna pościg.

Powierzchnią planety nadal targają zmagania. Cały świat wygląda jak płynny, wrzący bąbel, który nieustannie zmienia kształty, tryskając naokoło wściekłymi fontannami. I wtenczas nadchodzi potężny wstrząs, seria olbrzymich wybuchów ognia i przeraźliwa, oślepiająca jasność. Świat rozpada się na dwoje, a później, wśród pyłu i chaosu, na drobniejsze fragmenty.

To właśnie widzi Vramin swymi szmaragdowymi oczami, w których tańczą iskierki złotawego światła.

OTCHŁAŃ

Z rękami założonymi do tyłu, Książę, Który Ma Tysiąc Lat przygląda się zagładzie świata.

Rozłupana planeta, a raczej jej zgruchotane i zmiażdżone kawałki, wirują pod nim jak spłaszczone, wydłużone i gorejące bez końca ognie.

Książę okrąża miejsce kataklizmu i spogląda przez jakiś przyrząd podobny do różowej lornetki z anteną. Od czasu do czasu słychać cichutki trzask i antena lekko drga. Książę kilkakrotnie odrywa ją od oczu i znowu podnosi. Wreszcie odkłada przyrząd.

- I cóż tam widzisz, bracie?

Książę odwraca się. U jego boku tkwi czarny cień.

- Wśród tej zawieruchy widzę jasny promyk życia - mówi. - Skurczony jest, zniekształcony i ledwie pulsujący, ale żywy... Wciąż żywy...

- Więc naszemu ojcu nie powiodło się...

- Obawiam się, że nie.

- Dość tego! - i Tyfona już nie ma.

A Vramin ścigający muszlę Anubisa widzi coś, czego pojąć się nie da.

Na rozdartą wybuchem stertę tego, co było światem, spada jakaś mroczna plama. Rozszerza się wśród światłości, pyłu i chaosu, rośnie, aż wreszcie można rozpoznać jej kształt.

To cień czarnego konia ogarnia pogorzelsko.

Cień rozrasta się i rozrasta, i osiąga wielkość kontynentu.

Stając dęba wchłania wszystko i puchnie, rozciąga się i wydłuża, aż przykrywa sobą całą planetę.

Wtedy pojawia się ognista obwódka.

W środku nie ma już absolutnie niczego. Kompletnie niczego.

Potem płomień się zmniejsza. Cień kurczy się i cofa, ucieka w dół długiego, zupełnie pustego korytarza.

I już tylko pustka.

Tak jakby planeta nigdy nie istniała. Totalne kaput, nie ma jej, zniknęła, a z nią To, Co Nie Ma Imienia i Krzyczy Nocą. Ale Tyfona też nie ma.

Vraminowi przypomina się werset: „Die Luft ist kühl und es dunkelt, und ruhig fließt der Rhein”. Nie może sobie uświadomić, skąd go zna, ale cytat odzwierciedla dokładnie to, co czuje.

Z ognistą strzałą na wyciągniętej w górę ręce dalej ściga boga śmierci.

OKRĘT GŁUPCÓW

Set budzi się wolno i cichutko jęcząc, sprawdza wytrzymałość krepujących go więzów. Leży przykuty krzyżem do stalowego stołu, a jaskrawe światło razi jego złote oczy i kłuje mózg setkami elektrycznych igieł.

Nie ma na sobie zbroi. Błada poświata sącząca się z rogu przypomina kształtem Ognisty Miecz, a wszędochodów nigdzie nie widać.

- Jak się masz, Destruktorze? - pozdrawia go aktualny właściciel zbrojnej rękawicy. - Masz szczęście, że z tego wyszedłeś.

- Madrak?...

- Zgadza się.

- Nie widzę cię... To światło...

- Stoję za tobą, a światło pali się tylko dlatego, żebyś nie czasoportował się z naszego pojazdu, zanim ci nie pozwolimy.

- Nie rozumiem...

- Na dole szaleje bitwa. Oglądam ją przez iluminator. Wygląda na to, że znowu jesteś na wierzchu. Za moment uderzy Gwiazdomiażdż, a ty, oczywiście, uciekniesz tak jak ostatnim razem. Nie ma to jak Czasoportacja, co? Dlatego przed chwilą udało się nam cię stamtąd zabrać. Podobnie uczynił kiedyś Anubis, a fakt, że się czasoportowałeś potwierdza nasze przypuszczenia, iż wkrótce zdarzy się to, co ma się zdarzyć. O! Już! Ozyrys uderza! Młot zaczyna spadać i... Nie! Anubisie! Co się dzieje? To... to jakaś przemiana! Młot! Nie ma go!

- Widzę - słyhać charakterystyczne warknięcia - i już rozumiem. Ozyrys też zniknął... Stalowy Generał - to jego sprawka...

- Co teraz zrobimy?!

- Nic. Absolutnie nic. Taki obrót rzeczy to woda na nasz młyn. Ukazanie się Seta, jego Czasoportacja, zapowiada jakiś kataklizm i to zaraz. Prawda to, Destruktorze?

- Prawda.

- Zapewne twoje finalne starcie z Tym, Co Nie Ma Imienia zniszczy planetę, co?

- Zapewne. Nie czekałem, żeby sprawdzić.

- Tak! Zgadza się! Już się zaczyna!

- Wspaniale! Mamy teraz Seta, pozbyliśmy się Ozyrysa, a Generał już nie może nas ścigać. Tot

natomiast jest dokładnie tam, gdzie chcieliśmy. Bądź pozdrowiony, Madraku, nowy Władco Domu Życia!

- Dziękuję ci, Anubisie. Nie spodziewałem się, że pójdzie nam tak gładko. A To, Co Nie Ma Imienia?

- Tym razem pewnie oberwało. Set nam opowie.

- Nie wiem. Uderzyłem całą mocą Ognistego Miecza.

- Więc wszystko gra. Posłuchaj mnie teraz, Destruktorze. Nie knujemy twej zguby ani nie skrzywdzimy ci syna, Tota. Uratowaliśmy cię, a mógłbyś tam zgnieć...

- To dlaczego mnie więzicie?

- Bo znam twój temperament i siłę. Chcemy tylko dogadać się z tobą, a potem cię uwolnimy. Inaczej nie dałbyś nam dogodnej ku temu okazji. Zabezpieczyliśmy się więc. Słuchaj, chcemy, żebyś pośredniczył w naszym układzie z Totem...

- Boże! - krzyczy Madrak. - Spójrz na to pogorzelsko! Ogarnia je jakiś potworny cień!

- To Tyfon?

- Tak. Co on wyprawia?!

- Wiesz coś o tym, Destruktorze?

- To znaczy, że przegrałem i że To, Co Nie Ma Imienia znów krzyczy gdzieś tam, wśród zgliszczy... Tyfon kończy me dzieło.

- Pojawia się ogień i... Nie! Nie mogę wprost patrzeć na tę pustkę!

- Otchłań Skagganauka!

- Tak - potwierdza Set - Tyfon to Otchłań Skagganauka. On wypędza To, Co Nie Ma Imienia, wypędza z wszechświata.

- Kim było To, Co Krzyczało Nocą?

- Bogiem - odpowiada Set - starym bogiem, któremu, jak sądzę, nie stawało już boskości.

- Nie pojmuję - odzywa się Madrak.

- On tylko żartuje. Ale co z Tyfonem? Jak się z nim rozprawimy?

- Pewnie nie będziecie musieli rzecze Set - To, co uczynił, pociągnęło niechybnie jego wygnanie z wszechświata.

- A więc wygraliśmy, Anubisie! Zwyciężyliśmy! Bałeś się tylko jednego - Tyfona, nieprawdaż?!

- Tak. Teraz Światy Wewnętrzne są w moich rękach...

- Zapominasz o moich.

- Jak mógłbym! Sam widzisz, Destruktorze, co mówią gwiazdy. Powiedz, przystaniesz do nas? Zostaniesz prawą ręką Anubisa. Twój syn może zostać Regentem i wybierze sobie zajęcie, bo ja doceniam jego mądrość. Co ty na to?

- Muszę pomyśleć, Anubisie

- Ależ oczywiście! Nie śpiesz się. Pamiętaj tylko, że jestem obecnie nie do pokonania.

- A ty pamiętaj, zem boga pokonał.

- To nie mógł być bóg - odpowiada Madrak - gdyż boga byś nie zwyciężył.

- Nieprawda - rzecze Set. - Widziałeś Go pod koniec walki, byłeś świadkiem Jego mocy. On nawet jeszcze teraz żyje. Przebywa tylko na wygnaniu.

Madrak spuszcza głowę i zakrywa twarz rękami.

- Nie wierzę ci! Nie mogę...

- Ale to prawda! I ty maczałeś w tym palce! Ty odstępny kaznodziejo, ty bluźnierco, ty odszczepieńcu!

- Milcz! - rozkazuje Anubis. - Nie słuchaj go Madraku. On widzi twoje słabości, tak jak dostrzega słabości wszystkiego i wszystkich, których spotka. Próbuje wciągnąć cię w walkę innego rodzaju, w walkę, w której zmagać się będziesz sam z sobą i ulegniesz złudnemu poczuciu winy. Nie zwracaj na niego uwagi!

- A jeśli mówi prawdę? Stałem i gapiłem się tylko. Co mi z tego przyjdzie...

- Właśnie! - wtrąca się Set. - Głównie moja to wina, lecz dźwigam ją z dumą. Ty jednak brałeś w tym udział. Stałeś i gapiłeś się, rozmyślając o korzyściach, jakie osiągniesz, podczas gdy On, a jemu służyłeś, legł u mych stóp pobity...

Anubis wymierza straszliwy cios, który rozcina policzek Seta.

- To tak?! Zdecydowałeś się więc i oto mam odpowiedź: chcesz przekabacić Madraka na swoją stronę! Nic z tego! Madrak nie jest tak naiwny jak sądzisz, prawda, Ojczulku?

Madrak milczy i wciąż wygląda przez iluminator.

Set usiłuje rozerwać kajdany, ale te nie ustępują.

- Anubisie! Ścigają nas!

Anubis zostawia Seta i ginie w ciemności. Światło nie przestaje razić.

- To Dekawan - oświadcza Anubis.

- Izdy?! - dziwi się Madrak. - Dlaczegoż miałby nas śledzić?!

- Bo Set był kiedyś jej kochankiem. Może nadal nim jest. No, jak tam stoją wasze sprawy, co,

Destruktorze?

Set nie odpowiada.

Jakkolwiek stoją, ona nas dopędza - mówi Madrak. - Jaką mocą dysponuje Czerwona Wiedźma? Może nam sprawić kłopoty?

- Nie była znów aż tak potężna i bała się swego pierwszego pana i władcy, Ozyrysa. Unikała go przez całe wieki, a ja z pewnością dorównuję mu siłą. Nie damy się przecież pokonać kobiecie, gdy osiągnęliśmy tak wiele.

Madrak opuszcza głowę i mruczając coś pod nosem, zaczyna bić się w piersi.

- Przestań! Robisz z siebie pośmiewisko!

Set wybucha śmiechem.

- Serce ci za to wydrę! - charczy Anubis i rzuca się na niego.

Lecz Set podnosi do góry zakrwawioną lewą rękę, którą dopiero co wyrwał z okowów. Trzyma ją przed sobą.

- Spróbuj, psie! Twoja jedyna ręka przeciwko mojej! Twoje berło i jakakolwiek inna broń, jaką posiadasz, przeciwko lewej ręce Seta! No, podejź bliżej! - woła. Oczy błyszczą mu jak dwa słońca i Anubis cofa się poza zasięg jego ręki.

Światło wciąż oślepia i wiruje.

- Zabij go, Madraku! - krzyczy Anubis. - Na nic się nam już nie przyda! Masz zbrojną rękawicę! On nic przeciwko niej nie wskóra! Madrak jednak nie odpowiada. Zamiast tego:

- Przebacz mi, Kimkolwiek Jesteś lub Byłeś. Gdziekolwiek Teraz Przebywasz czy też Nie Przebywasz, przebacz mi, zależnie od okoliczności, za zbrodnie i błędy, których się dopuściłem i których się nie dopuściłem w związku z ostatnimi wydarzeniami - klepie, wciąż bijąc się w piersi. - A gdyby...

- To dawaj rękawicę mnie! - woła Anubis. - Żywo!

Ale Madrak go nie słyszy i nie przerywa modlitwy.

Nagle korpusem muszli targa jakiś wstrząs. Podwójnie zabezpieczone drzwi otwierają się gwałtownie na oścież i do środka wkracza Vramin, który będąc poetą, zna się na tego rodzaju sztuczkach, tak jak każdy czarnoksiężnik.

Vramin wymachuje różdżką i uśmiecha się.

- Dzieńdoberek, moi mili!

- Madraku! Bierz go! - krzyczy Anubis.

Ale Vramin podchodzi bliżej, a Madrak gapi się tylko przez okno i coś tam mamrocze.

Wtedy Anubis wysuwa swe berło.

- Aniele Siódmej Stacji nisko upadły, odejź! - wzywa.

- Używasz mego starego tytułu - odpowiada Vramin. - Obecnie jestem Władcą Domu Śmierci.

- Łżesz!

- Nie. Przez Księcia mianowany, zajmuję twe dawne stanowisko.

Potężnym szarpnięciem Set uwalnia prawą rękę.

Vramin dynda przed sobą wisiorkiem Izydy i Anubis się cofa.

- Madraku! Rozkazuję ci! Zabij Vramina! - woła.

- Vramina? - odzywa się Madrak. - O nie, nigdy. Vramin jest dobry. Vramin jest moim przyjacielem.

Set oswobadza prawą nogę.

- Madraku, jeżeli nie chcesz zabić Vramina, to przytrzymaj Seta!

- ... Ojciec nasz, być może, któryś jest, kto wie, w niebie... - zawodzi Madrak.

Wówczas Anubis warczy i celuje we Vramina swym berłem, posługując się nim jak pancerfaustem.

- Ani kroku dalej! - ostrzega. Ale Vramin robi ten zakazany krok.

Wali się na niego gorejąca lawina, lecz szkarłatne promienie wisiorka neutralizują wybuch.

- Za późno, kundlu - mówi poeta.

Anubis krąży teraz i zbliża się do iluminatora, gdzie stoi Madrak.

Set uwalnia lewą nogę, rozciera ją i wstaje.

- Jesteś trupem - powiada ruszając do przodu.

Lecz w tym momencie Anubis natyka się na nóż Madraka. Sztylet wbija się mu w szyję tuż nad obojczykiem.

- Nie miałem złych intencji! - usprawiedliwia się zakonnik - a to jest częściowa splata mej winy.

Ten pies zwiódł mnie. Żałuję za grzechy i daję ci w darze jego życie.

- Ty głupcze! - osadza go Vramin. - Chciałem go wziąć żywcem!

Madrak zaczyna łkać.

Anubis bluzga fontanną krwi.

Set opuszcza wolno głowę i przeciera oczy.

- Co robimy? - zapytuje Vramin.

- ...Święć się imię Twoje, jeśli takowe masz i życzysz sobie, żeby się święciło... - mruczy zakonnik.

Set milczy, gdyż zamknął już oczy i zapadł w sen, który potrwa wiele dni.

FEMINA EX MACHINA

A ona leży na ramie maszynerii wybrzuszona dzieckiem. Ścianka kabiny zniknęła. Kable odpadły z jej głowy i kręgosłupa, odcinając zimną logikę rozumowania, lodowate dyski pamięci, sekskomputerowy przymus i sztuczne odżywianie. Rozprogramowano ją.

- Horusie, książkę mój...

- Leż spokojnie, Megro.

- Odczarowałeś mnie.

- Któż postąpił z tobą tak okrutnie?

- Czerwona Wiedźma.

- Matka! Ona zawsze była szalona, Megro. Tak mi przykro... - Dotyka jej ręki. - Dlaczego ci to zrobiła?

- Powiedziała, że mam urodzić dziecko Seta. To dlatego... Ale ja nie zdawałam sobie sprawy, że...

- Set! - Palce Horusa zostawiają odciski wryte w metal stołu. - Set... Wziął cię siłą?

- Niezupełnie...

- Set... Co do niego teraz czujesz?

- Nienawidzę go.

- To wystarczy.

- Nie obchodzi go życie...

- Wiem. Już nie będę cię pytał o niego. Pójdiesz ze mną do Domu Życia, Megro z Kalganu i tam mieszkać będziemy po wsze czasy.

- Ale Horusie, boję się, że muszę urodzić tutaj. Zbliża się mój czas i zbyt słaba jestem, żeby odbywać dalekie wędrówki.

- Niech i tak będzie. Pozostaniemy tutaj jakiś czas.

I Megra oplata brzuch rękami i zamyka błękitnokobaltowe oczy. Jej policzki jaśnieją od połysku maszynerii.

Horus siada przy niej.

Wkrótce Megra zaczyna krzyczeć.

NIEBO I PIEKŁO - (UKŁAD)

Twierdza na Maraczku. Jest tu kto? Nikogo. A jednak ktoś jest... I znowu nikogo. Dlaczego?

Posłuchaj tylko...

Zwrócony twarzą do potwora Set nie ustępuje. Potwór rzuca się na niego.

Zmagają się przez dłuższą chwilę na dziedzińcu.

Potem Set łamie mu kark i potwór leży jęcząc.

Oczy Seta rozbłyskują niczym słońca i znowu kierują się tam, dokąd zmierzał.

Wtedy Tot, jego syn, ojciec i Książę, Który Ma Tysiąc Lat, otwiera butelkę „Potwora Na Poczekaniu” i wyjmuje z niej kolejne nasiono.

Zasiewa je w pyle i następne straszycło wykwita spod jego ręki, a później skręca ku Setowi.

Szaleństwo oczu słonecznookiego uderza potwora i znów rozpoczyna się bitwa.

Stając na zdruzgotanym truchle, Set pochyla głowę i znika.

Ale Tot rusza jego śladem rozsiewając potwory, a duchy Seta i straszycel, z którymi walczy, miotają się wśród marmurowej pamięci niszczonego i od nowa wznoszonego Maraczka, tego miasta najstarszego, wiecznego.

I za każdym razem, gdy Set zabije, zwraca natychmiast oczy ku miejscu, gdzie bił się z Tym, Co Nie Miało Imienia, gdzie świat zniszczył i gdzie bucha ogniem stający dęba cień syna jego. Natychmiast też rusza ku temu miejscu, uważając na odrzut anihilacji. Ale Tot pędzi za nim i odwraca jego uwagę potworami.

A dzieje się tak dlatego, że Set to destrukcja i może zniszczyć sam siebie, jeżeli nie znajdzie nic odpowiedniego w zasięgu ręki lub wzroku, w czasie lub w przestrzeni. Książę jednak zdaje sobie z tego sprawę, bo jest mądry. To właśnie dlatego gna za ojcem, który czasoportuje się do ołtarza zagłady, wyrwawszy się z odrętwienia po walce z Tym, Co Krzyczało Nocą. Tot bowiem wie, że jeżeli uda mu się odciągnąć uwagę Seta od pielgrzymki na odpowiednio długi czas, pojawić się może coś nowego, do czego Set zechce przyłożyć rękę. A to z kolei dlatego, że z reguły coś takiego się pojawia.

Teraz jednak wędrują poprzez czas - straszliwy ojciec-syn i mądry Książę - wypełniając go chyba zupełnie - przyjąwszy bieżącą chwilę za początek czasu - bez końca okrążając skraj Otchłani, która jest Skaggenaukiem, synem, bratem i wnukiem.

Oto dlaczego duchy Seta i potworów, z którymi walczy, szaleją w marmurowej pamięci

niszczonego i od nowa wznoszonego Maraczka, tego miasta najstarszego, wiecznego.

SEN CZERWONEJ WIEDŹMY

Śpi w Domu Śmierci, w mrocznej, głęboko zakopanej krypcie, a jej świadomość, stopiwszy się jak płatek śniegu, rozmyła się teraz na dobre. Lecz śmigający tuż obok motocykl Czasu strzela z gaźnika i w lustrze pamięci odbijają się ostatnie dni walki: śmierć Ozyrysa i odejścia Seta. I słyszy też zielony śmiech Vramina - szaleńca i poety. Niezbyt to odpowiedni partner dla Wiedźmy Balkonii. Lepiej nie nastawiać budzika. Przespać tak z wiek i zobaczyć, co zdziałał Tot. Spać, tutaj, w kurzu sypiącym się z mumii, wśród wypalonych świec, gdzie nikt nie posiada imienia ani go nie szuka, gdzie nikt nikogo nie znajdzie; tutaj, spać. Spać, a Światy Wewnętrzne niechaj sobie wirują nieświadome istnienia Szkarłatnej Pani, która jest Chucią, Okrucieństwem, Mądrością, Matką i Kochanką Inwencji oraz niepohamowanego Piękna.

Stwory światła i ciemności tańczą na wargach gilotyny a Izyda uwielbia ich taniec. Stwory światła i ciemności wdziewają i zrzucają z siebie maski człowieka, maszyny i boga a Izyda uwielbia ich taniec. Stwory światła i ciemności rodzą się chmurami, umierają w ułamku sekundy, mogą znów powstać lub też nie, a Izydzie podobają się ich maski.

Śniąc jej sny i drżąc ze strachu, Powierniczek, to maleństwo, które krzyczy nocą, przytula się mocno.

Wraz z obrotami kół, ryk motocykla staje się coraz bardziej monotony, co także jest rodzajem ciszy.

ANIOL DOMU ŻYCIA

Nadchodzą w środku nocy. Idą w trójkę, razem przemierzając krainy prawdziwe i zmyślone. Mijają ulice rozpusty, gdzie tłoczy się wiele gatunków ludzi, aż skręcają w końcu w dobrze oświetloną Aleję Wyroczni i idą dalej obok astrologów, zwolenników kart Taroka, odczytujących przepowiednie z liczb z Księgi Przemian I Cing.

Teraz, kiedy są już blisko, przechodzą ze światła w światłość mniej intensywnej, z półmroku i wilgoci w półcień i plugastwo. Nad nimi czyste niebo i świecące gwiazdy. Ulica staje się coraz węższa, budynki chylą się ku ziemi, a ścieki pełne są odpadków. Prawie nic nie ważące dzieci z zapadniętymi oczami gapią się na nich z ramion matek.

Depczą to śmietnisko, idą wprost przed siebie i nikt nie śmie ich zaczepić. Siła bije od nich niczym jakiś zapach, a cel wizyty dodaje jeszcze dystynkcji.

Poruszają się z gracją i są bogato przyodziani. Wkoło drą się koty i walają stłuczone butelki, a oni idą tak, jakby tego wszystkiego nie było.

Na niebie, wysoko nad nimi, pojawia się jasny błysk. To światło planety, którą zniszczył Set, dotarło wreszcie tutaj, rozbłyskując na firmamencie jak nowa gwiazda i kapiąc ich najpierw w błękicie, a potem w czerwieni.

Wieje zimny wiatr, ale nie zwracają na to uwagi. Na ścianie - słowo oznaczające kopulację nabazgrane w dziewięćdziesięciu czterech językach. Nie robi to na nich wrażenia.

Dopiero kiedy dochodzą do zniszczonej maszyny, zatrzymują się na moment przed wulgarnym rysunkiem zdobiącym wejście.

PIERWSZY WĘDROWIEC

To tutaj.

DRUGI WĘDROWIEC

Więc wejdźmy.

TRZECI WĘDROWIEC

Tak, wejdźmy.

(Pierwszy Wędrowiec dotyka drzwi różdżką uwieńczoną srebrną głowicą, i drzwi otwierają się na oścież.

Wchodzi, a za nim dwaj pozostali.

Korytarzem dochodzą do następnych drzwi, które też się otwierają za dotknięciem. Wtedy wszyscy zamierają w progu.)

HORUS

To ty?!

(Wędrowiec, którego oczy rozświetlają cień zielonkawymi błyskami, kiwa głową.)

Po co przychodzisz?

CZŁOWIEK NOSZĄCY ŻELAZNY PIERŚCIEŃ

Aby ci powiedzieć, że twój ojciec nie żyje.

HORUS

Kim jesteś?

CZŁOWIEK NOSZĄCY ŻELAZNY PIERŚCIEŃ

Znałeś mnie jako Stalowego Generała. Zabiłem Ozyrysa, ale sam też nieźle oberwałem. Książę poskładał mnie i dał ciało, które długo się pewnie nie zachowa. Przychodzę, żeby opowiedzieć ci, jak się rzeczy miały. Chcę ci też powiedzieć prosto w twarz, że nie był to czyn ani zdradziecki, ani złośliwy tylko uczciwa akcja bojowa w czasie wojny.

HORUS

Jesteś człowiekiem prawdomównym. Spośród wszystkich stworzeń, twemu słowu wierzę. I nie pragnę satysfakcji, jeżeli czyn twój był fair i zdarzyło się to w czasie wojny. A jak się potoczyły losy tejże bitwy?

GRUBASEK UBRANY NA CZARNO, KTÓREGO JEDYNE OKO JEST JAK SZARE,
TOCZĄCE SIĘ KOŁO

Książę znów włada Światami Wewnętrznymi.

VRAMIN

A my jesteśmy jego posłami. Przychodzimy prosić cię, żebyś wrócił do Domu Życia i panował tam jako Anioł miast twego ojca.

HORUS

Rozumiem. A co z Setem?

VRAMIN

Set odszedł. Nikt nie wie dokąd.

HORUS

To mi się podoba... Nawet więcej niż bardzo. Tak, myślę, że wrócę...

MADRAK

(klękając na jedno kolano obok Megry z Kalganu)

Co to za dziecko?

HORUS

To mój syn.

MADRAK

Syn Horusa... Czy wybrałeś już dla niego imię?

HORUS

Jeszcze nie.

MADRAK

Moje gratulacje.

GENERAL

Właśnie.

VRAMIN

Serdeczne.

HORUS

Dzięki wam.

VRAMIN

Daruję mu wisiołek Izydy, a rzecz to potężna. Wiem, że Izyda pragnęłaby, żeby jej wnuk to nosił.

HORUS

Dzięki ci.

GENERAŁ

Ja daruję mu pierścień, który jest częścią mego ciała. Ciało to służyło mi wiernie i w potrzebie zawsze przypominało, że jestem człowiekiem.

HORUS

Dzięki ci.

MADRAK

Daruję mu moją łaskę, żeby podnosiła go na duchu. Istnieje stara tradycja, która mówi, że laski potrafią to jakoś zrobić. Nie mam pojęcia jak.

HORUS

Dzięki ci.

MADRAK

Muszę już iść i rozpocząć pokutniczą pielgrzymkę. Bądź zdrowy, Aniele Domu Życia.

HORUS

Szerokiej drogi, Madraku.

(Madrak odchodzi)

GENERAL

Muszę wesprzeć pewną rewolucję. Idę odszukać konia. Bądź pozdrowiony, Aniele Domu Życia.

HORUS

Udanej rewolucji, Generale.

(Generał odchodzi)

VRAMIN

A ja ruszam do Domu Śmierci, którym obecnie władam. Żegnaj, Aniele Domu Życia. Pewnego dnia Książę skontaktuje się z tobą z Maraczka, a Aniołowie innych Stacji zgromadzą się, żeby oddać ci hołd.

HORUS

Życzę ci znakomitych wierszy i szalonego natchnienia, Vraminie.

VRAMIN

Dzięki ci. I to chyba mniej więcej wszystko, co mamy do powiedzenia.

HORUS

Na to wygląda.

(Vramin unosi różdżkę. Na podłogę spada jakiś wiersz i jasno płonie.

Horus schyla się, żeby go odczytać, a kiedy podnosi głowę, zielonego poety już nie ma.

Gdy wiersz się rozmywa, Anioł Domu Życia wie, że głosił jakąś prawdę, lecz nie pamięta już słów. I tak być powinno.)